Biblioteka pisarzy polskich



LIPSK, F. A. BROCKHAUS.

Cybulski 1903.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXI.

POEZYE

CYPRIANA NORWIDA.

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE.

F. A. BROCKHAUS.

1863.

POEZYE

CYPRIANA NORWIDA.

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE.

F. A. BROCKHAUS.

1863.

SPIS RZECZY.

PRÓBY.

(JAKO WSTĘP DO ZARYSÓW OBYCZAJOWYCH PIĘCIU.)

Błogosławione pieśni malinowe,
Błogosławione pieśni kalinowe;
Błogosławione otchłanne niebiosy,
Obłoki, wiatrem gnane jako stada
I kołysane wiatrem ciężkie kłosy —
 Duch się w harmonję męką nie układa,
By w pieśni stanąć, dość stanąć pod progiem;
Odetchnąć dosyć, by odetchnąć Bogiem!

Błogosławiona jest gorycz wiośniana,
Wśród pękających drzew rozpowietrzana,
Drzew, co od ziemi jak kolumny rosną;
Gdy w niebie miękkich gałęzi obręcze
Podobne mają, do harf strojnych wiosną
I psalmem: «święty!» tak, że patrząc, klęczę.

Błogosławione jest i obce dalej
Powietrze, które się jak myrra pali,
Rozpustujące z dzikiej lauru woni;
Pomarańcz złotem kapiące — i niebem
Pod którym każdy głaz jak Memnon dzwoni,
Każdy lazaron gdy zechce, jest Febem.

Błogosławiony i step ów bez końca
Oceanowej przestrzeni — na której
Nie mają spocząć gdzie promienie słońca,
Szmaragdowemi odpychane góry.

Z dumą żywiołu, co jak chaos stary,
Mało się komu dał deptać — bez wiary!

Błogosławione są Islandskie mroki
I cichość morska, taka — że umarli
Nie mając w grobach zarówno głębokiej,
Możeby śmierci swoich się zaparli.
— Otchłanie morza i niebios otchłanie
Dnami tam w siebie patrzają, po za nie.
I fal, jakoby nie było:
Cisza, co słowu nakazując ciszę
Zda się układać z samym Słowem-słowa
Że swoich prac nie skończyło — —
Ocean taflą jedną się kołysze,
Jakby go właśnie osadzano z nowa,
Jakby się globu kończyła budowa;
Jakby tej było chwili odpomnienie,
Co końcem dzieła wzbudza zadziwienie,
Nie będąc jednem ni drugiem —
Tylko coś — jakby koniec i początek
Przedpotopowej tajemnicy szczątek,
Ducha, wyorany pługiem.

Błogosławione jest, próżniactwo człeka,
Co szuka aby mu było wygodnie;
Poezya w usta by szła zdrojem mleka,
Wiek się nikczemnie nie kłopotał o dnie,
Natura z piersią czekała otwartą
I z swoim miękkim bogactwa welonem;
By każda twoja łza była otartą,
Każde uczucie było podzielonem;
A ty — bezkrwawą promienny zaletą
Dobranych ludzi otoczony chórem;
Żebyś był harfą — rzec chciałem poetą
Lecz mi to słowo przychodzi z oporem —

Błogosławione wszystko to — i nie to —
Ale czy będę błogosławić tobie

O! miasto wielkie — serc i kwiatów grobie? —
Gdzie oddychając, cudze chłoniesz tchnienia,
Kroku niemocnyś zrobić pierworodnie.
Myślisz żeś wesół — to nie twe wrażenia
Cnoty nie twoje i nie twoje zbrodnie:
Nie jesteś! — z bruku wołają kamienie
Przechodź! —

Dopiero — wśród tego miliona
Dopiero w takim obozie ludzkości,
Dopiero tutaj, jeżeli nie skona
Pieśń twa — nie skona z niedokończoności —
Jeźli anielstwo jej wyżywić zdołasz
Na każdą dobę, co jest przypadkowe,
Rzucając na bok; jeźli nie zawołasz:
«Ojcze! i niebo już nudzi mię płowe,
Jako wytartej szaty wielka poła —»
O! wtedy będę wierzył muzie twojej,
Że bezwidnego filarem kościoła
Na safirowym utwierdzeniu stoi! —

Błogosławione są i w myśli sferze
Złudzenia, którym niestety — nie wierzę —
Bałwany różnych szkół i różnej doby,
Nie istniejące — a możne! — i nie raz
Wiekiem rządzące jak wielkie osoby.
— Wyrazem jednym, jednym słowem: teraz
Jakoby berła żelaznego siłą
Bijące tłumy, aż się im pokłonią,
Aż się przed ciosem zastawią mogiłą
Aż się zastawią krzyżem — nigdy dłonią!

Błogosławione są te wszystkie mary,
Bo kto im szyję podesłał, szczęśliwy!
Miłości bole i cierpienia Wiary
Nieznane jemu — on zna tylko: wpływy —
Mody — mniemania — i czasów-ukazy:
Lecz ty szaleniec — on mędrcem sto razy!

— Jeźli więc w łunach tych ciebie zobaczę
Nie odmienionym i z gwiazdą na czole
Której ci z włosem nie wydrą rozpacze;
Jeźli usłyszę cię mówiącym: wolę
Mówiącym kocham — chcę — jestem człowiekim:
— Dłoń mą wyciągam, chociażby rozdartą.
Z czystego złota wykowanym ćwiekiem
Wyciągam moją dłoń, szczerze otwartą
Wszystkiemu co jest zacne i godziwe» —
O! wtedy powiem że pieśni twe — żywe!

Lecz nie tu koniec prób — ja wyznam — oni
Poczekać zechcą na harfy rozpadek,
Na spopielenie tej co grała dłoni,
By tylko kamień i Bóg, był ci świadek.
— Miłości-otchłań i twardość-granitu
By tobie były od szczytu do szczytu,
Jako monument utwierdzony w wieczność,
Że kochać śmiałeś, wierzyć, konać — i tu
Nie była twoją Poezyą — konieczność! —

PIĘĆ ZARYSÓW.

«Kochającym, westchnienie moje,
A nienawidzącym uśmiech mój.»
BYRON.

I. RZECZYWISTOŚĆ.

Szekspira dramat, który ma takie nazwanie:
Śmierć Juliusza Cezara» czytano wieczorem,
I jakkolwiek znał każdy z wchodzących w zebranie
Te arcydzieło — jednak, ciszono się chórem,
Jakby drżąc, albo razem znów słuchać nie chciano:
I niby arfą byli przez Mistrza ograną. —
Działo się to pod wieczór ciepły — otworzone
Na balkon okna, w salę brały laurów wonie;
Od góry zaś, niepewną gwiazd białych koronę
Tej konstellacyi, która upadłszy po stronie
Drogi mlecznej, zowie się tarczą króla Jana
Sobieskiego.

— czytano scenę — co jest znana —
Scenę nocną, w samotnym Brutusa namiocie,
Kiedy miał szpadą sarkazm wypisać o cnocie —
Jeźli więc mówię: byli do arfy podobni —
To już z Szekspira biorę, który chłopca woła,
Żeby grał Brutusowi w tejże właśnie scenie
Potem, ażeby zasnął i przyszło widzenie. —
A przyszło, skoro pamięć czuć się już nie zdoła

Przepadłszy pierwej struna za struną — pod palcem
Chłopca, którego zdejma sen. Takim to malcem
Jakoby paziem, Szekspir porobił przybory
Do wrażeń — umilkł potem — i wchodzą upiory. —
— Choć pewno pisarz o tym nie myślał fortelu,
Tylko tworzył! — logika tworzenia nie nasza
I dla tego tak dziwnie misterna, jak wielu
Żadną się być wydaje. Tworzył, jako czasza
Do wrębów pełna, błękit powtarza wysoki
I uchyla płyn z siebie, dopiero, gdy w czarę
Łzy upadną, na płynem odbite, obłoki,
Łzy, co nie mierzyć zwykły, lecz przepełniać miarę.
— Archimedes, tak znalazł koronny rachunek
Wcale, nie po to idąc do łaźni publicznej —
Twórczość albowiem jest to pewnik i trafunek
Przypadkowy na zewnątrz, wewnętrznie logiczny.
Z sumienia, nań gdy pojrzysz, wyda ci się ona
Złożoną z długich zasług, aż jest dopełniona
Niby, koroną pracy będąc sprawiedliwą;
Z zewnątrz zaś Twórczość, owszem będzie ci się zdawać
Darem hojności niebios, i tą linią krzywą,
Bez której prostym życia musi nie dostawać.
— Linią, co w Geometryi buntem jest — lecz ona
Czyni, że Geometrja jest zużyteczniona,
Bo inaczej bez liter byłaby wskazówką
Niezaprzeczenie pewną w sobie łomigłówką!

Czytano więc jak twórczą rzecz, zaś, jako znaną
Przerywano w czytaniu i czytać wracano —
Aż wreszcie, od Cezara przyszła Republika
I polityka czasów, które się dotyka
Z tym grzmotem słów, na razie bolesnych i mętnych,
Które historja mija a realność myli:
Sądem, poważnych; sercem, ludzi niepamiętnych —
Czyniąc zjednanych co rok z tem, z czem się waśnili.

«Oh! Doświadczenie —» Wiesław mówił «doświadczenie
Czemże ty dla nas jesteś? — przyjrzyjmy się proszę

Wszak nie będąc starcami, gdy cofniem wspomnienie
Po za nas: pobojowisk sto, cztery rokosze
I cała młodość nasza przeszła na czytaniu
Telegraficznych depesz o różnem powstaniu —
I mawia się wśrod sinej krwi jak wśród bławatków:
Od ostatnich do tylko co zaszłych wypadków —
A nim wyrzekłeś onę Chrześciańską datę,
Już się zmieniła! — Czasy w wypadki bogate —
— Bogdajby w myśli, cnoty i dopięcia planów!
— O! nie patrz na uśpione w kolebce dzieciny
Ani rad igrzyskami chłopiąt się zastanów
Ani bądź ojcem, ani licz się między syny,
Ani piastunem będąc, drobne baw pachole —
Bo samolubem konasz zostawując — bole!
I nic więcej —»

— to rzekłszy, ręką szukał serca
Spokojny, jako chirurg, blady jak morderca
Gdyż wiedział że mu na to odrzekną: «bądź bogiem!»
I naprzód czuł że prawdy te są monologiem.
— Chryzogon to słyszawszy pocznie w inne słowa:
«Ludzkość wymaga ofiar – ludzkość jest zbiorowa,
Gdy jednostkowy człowiek kona, albo chory
Ona idzie — silna to jest dziewka i zdrowa —
Ten, owy, grób przeskoczy — odepchnie doktory
I dalej rusza — to jest realności prawo:
Bogiem bądź! lub nie przychodź tu z twarzą bladawą,
Jak nów katakumbowy — bo Ludzkość urosła —»
«— Przyznaję» na to Wiesław «że krzepka to pani,
Lubo nie mogę mniemać że czuła i wzniosła,
Ani zwałbym postępem, co wstecz się pogani —
Rzeczywistości nawet wręcz odmawiam zwania
Energii, która tylko to wie, że ugania!» —

— Jako? — cóż to jest? — nagle razem zawołano
Tak rychło więc do tego doszliście już — aby
O realności samej poróżnić się miano? —
Jeżeli tak — to koniec. Wpierw rozmowa szłaby,

Ale, jeżeli nawet w tem się już różnicie
Że ów nazywa śmiercią, co tamtemu życie —
To za wiele — czytajmyż już lepiej Szekspira

Czytajmy! — i ucichli —

— Okno ktoś otwiera,
Które był lekko przywiał Wiesław — ktoś nadchodzi
Płaszczem okryty —

— ha! ha! straszyć nas przychodzi —
Zgadnijcie kto? — to mówiąc milcząca postura
Wstrzymywaną jest aby nie zdjęła kaptura
Aksamitnego — —

— «Bądźcie spokojni panowie
Zawoła gość» nie zgadnie żaden! powiem ja sam,
«Kaptur zaś ile zechcę zatrzymam na głowie
I długo was nie znudzę — idę — nie popasam —»
A słowa te powoli mówiąc siadł przy stole
Ręką podparłszy głowę, gdy kaptur na czole
Wywinięty, obrzucał lica jego cieniem;
Łokciem żaś parł Szekspira tom ów otworzony.

Milczano z pół-uśmiechem — «Ja, jestem zwątpieniem
«Rzeczywistości» — mówił ow gość nieproszony:
«Jakoż, gdyby naprzykład cień królewicowi
Ojcowski się pokazał; i rzekł jak w Szekspirze
— Dwór ten cały i orszak cały, równe snowi
I wszystek blask ów co się po zbroicach liże
Jak wąż — i te chorągwie i to co stanowi
Całą realność, wszystko to równe jest snowi.
I żeby mówię skreślił rzecz każdą prawdziwie
Jak ona jest — i żeby widział więc królewic
Jak jest — to — najprzód byłby warjatem u dziewic,
Potem u wszech-pochlebców, potem u dworaków
Potem u czaszek pustych — potem — i u ptaków
Smętarnych — i rzucano-by kościami za nim

Wołając ideolog! — realność popsowa
Bo warjat jest — — i taka tragedja grobowa
Grałaby się, a grała kosztem arcy tanim —
Tańszym, niż ten Szekspira dzisiaj tom —

— — tu, z cicha
Zaśmiał się, potem ręką sięgnął do balkonu
I urwał kwiat — i głowę skłonił do kielicha,
Jak ten co czystą lubi woń, lub śni i wzdycha.

Tu — rzekł Chryzogon: «lampa gaśnie nam panowie!
Światła!» — wraz świecznik, który na brązowej głowie
Sfinksa oparty, gorzał, zniknął — zadzwoniono:
I po przestanku równie cichym jak niedługim
Sługa wbiegł ze świecznikiem takim samym drugim,
Głowę mającym sfinksa — głowę pozłoconą. —

Pisałem 1847 r.

II. PISARSTWO.

— Ktokolwiek pisze rzeczy jak one się dzieją
Ten stawa się cynikiem — kto, jak się dziać mogą?
Ten bywa wizjonarzem, radzi się zeń śmieją
I bardzo słusznie — trzecią zaś kto idzie drogą
Czyli, kto pisze jak się rzeczy dziać powinny?
Ten bywa nawet zdrajcą — to niemniej jest słusznie,
Bowiem zdradza nałogi. Pierwszy więc jest gminny
I płaski — drugi marzy tylko wielkodusznie;
Trzeci zaś obrał drogę, dopóki żyw, brudną:
Styl jego nieprzystępny i intryga nudną.

Tak więc — nie piszmy w onych trzech zboczeniach głównych,
To jest: nie piszmy wcale — lecz znając usterki,

Przejdźmy z manowców sztuki do ścieszek jej równych,
Z laską krytyki w ręku, jak dawne pasterki —
Te zwłaszcza, które wieków temu parę lano
W powykrzywiane formy, bladą porcelaną.
— Lub, co jest tem bezpieczniej dla błędnych stóp człeka,
Oprawmy je w żelaza niczem niezachwiane;
Tam i owdzie puszczając, gdy stanęła rzeka,
Szyby swoje ku słońcu podawszy, pisane —
A każda kresa na nich, jak ślad diamentu
W geometryczne jasno złoży się figury
Od równoległych linii do elips zakrętu,
Żadnej nie cierpiąc chiby ducha i natury! —
— Jakkolwiek powielekroć wsród takiej zabawki
Nie jeden krytyk runął — lecz runął z uwagą,
Że człek jest tylko marnym igrzyskiem ślizgawki —
Szaty, że pęknąć mogą — prawda, że jest nagą!
Co więc bynajmniej z toru myśleńca nie zbija
Ty, mówisz że on upadł — on, że się omija —
Albo pogląda w niebo, z Arystotelesem
Natchnąć się i tem raźniej poskoczyć obcesem.

Nie ma-bo jak krytyki rzemiosło spręžyste,
Na czytelników krótkiej oparte pamięci;
Tudzież na smaku — dwie to bazy wiekuiste
Jak granit! — Chcesz krytykiem być? wystarcza chęci —
— Wczoraj jeźli sarkałeś na stylu zawiłość
Głośże dziś że niejasno tłomaczy się miłość;
Że cienie są potrzebne jak północna pora —
By poufnego tobie zakryć autora —
Chmur kilka tam i owdzie wcale nie zawadzi,
Skoro chmura jak słońce do celu prowadzi —
Jutro znów jasność stylu zalecisz innemu
Szkłem palącym sprowadzisz mu światło na lice:
Czytelnicy przepomną nim spytają «czemu?»
I pióra twego wielbić będą błyskawice —
Onegdaj — jeźli cynizm gromiłeś w kim innym
Możesz, po jutrze książki oddzielić od człeka;
Wskazać iż tchnienie Boże nie samym niewinnym,

Lecz komu chce się dawa i zasług nie czeka —
Lilja, że w błotach miękkie zapuszcza korzenie;
Wenus z szumowin morskich bierze narodzenie.
Że błędem jest pożądać od sztukmistrza czynów,
Nie zaś dzieł sztuki jego — palm, nie zaś wawrzynów.
Sposobem tym — gdy pamięć czytelników płocha —
Uczynisz co chcesz z sądem takiego motłocha
Bo tylko smak — i tylko jeszcze twój koniecznie —
Dasz jemu w miejsce prawdy istniejącej wiecznie.
To zaś, gdy trwa przez wiele lat, robi się po tem
Samo przez się jak śpiącej prządce z kołowrotem
Nić, idzie w palce martwe; włókno w nić się niesie
Noga w takt kołem kręci i nie morduje się;
A ktoby ci zarzucił że gościsz nie długo
W przysionkach prawdy, jako niestały przechodzień,
Westchnij i powiedz: «człek jest jednodziennym sługą,
Wystarcza mu więc, gdy się niepokoi o dzień!»

III. RUINY.

W Ruinach, w nocy, mówią się i takie słowa
Które gdzie indziej dziwnym brzmiałyby sposobem;
Nie tylko bowiem z myśli jest myśli osnowa —
Człowieka myślącego, postaw no nad grobem
I mów z nim — a następnie, spotkawszy go w tłumie
Maskaradowym, spytaj o rzeczy też same —
Zobaczysz co rozumiał tam — co tu rozumie?
— Wprowadź go w okowaną więzień nizkich bramę
I do tryumfalnego arku, co błękitną,
Z wnętrza jaśnieje szybą czystego powietrza;
A poznasz wraz gdzie jego myśl pocznie być szczytną,
Gdzie szybszym rytm i tęcza porównań gdzie leksza?
Zali to jest mistyczne? — nie wiem — ale to wiem,

Że nie tłumaczy się to dietą i zdrowiem —
Bo ani się ku temu przeziębić nie zdoła,
Ani dostać gorączki — —

— W świątyni pokoju
Gdzie przez wyłomy sklepień gwiazdy ciekną z nieba,
Gdzie bluszcz czarny gronami pełnemi się wiesza;
Chodził o nocy Wiesław z Markiem. — Głazów rzesza
Ogromnych, jak postaci wiele w sądnym stroju,
Lub rzesza widm, tu, owdzie — sterczało głowami:
Niektóre spały — inne, niby ramionami
Dźwigały się, a inne pochylały skronie.
— Cicho było — z daleka czerniał ark Tytusa
Kolosseum i Forum po przeciwnej stronie
I oliw sad — — Firmament jak lice Chrystusa
Wypogodzony bardzo, jasny od promieni,
Z historycznością onych na dole kamieni
Zgadzał się, jako gdy jest tło stosowne z twarzą,
Pejzaż z sceną dla której stanowić ma ramy.
— W taki czas spyta Marek:

«— Czy się jeszcze zdarzą
Zburzenia takie jak te co tu spotykamy —
Czy ruin takich więcej zostanie po świecie? —
— Takich? wątpię — całości ku temu nie mamy
Równie plastycznych — wszakże, tych to ruin dziecię
Tejże wynik oświaty niemniej kolossalny
Naprzykład naród cały skoro się obala;
Potężna jest ruina zarys mniej widzialny —»
Tu, zmilkli: potem Marek rzekł —

— Przyszłość ocala
«Co jej potrzebne — naród żaden nie umiera
Tak, jako człowiek — ciało tylko się otwiera
Niby trumna — następnie duch, wedle zasługi
Zstępuje lub wstępuje wyżej, albo niżej —
Cały ciąg przyrodzenia, ilekolwiek długi,
Służy ku temu — formy są jak mnogość krzyży
Lżejszych, lub cięższych — w roślin przechodzi formułę

Wegetujące martwo serce — więcej czułe
Przechodzi w formę ptaka, mniej czułe w minerał,
Jak żył duch, tak się będzie nareszcie ubierał —
Acz, są i wyższe sfery —»

«Tego nie czekałem! —
Wykrzyknie Wiesław — mówisz więc że za pokutę
Duch się z właściwą sobie formułą i ciałem
Spotka w ciągu stworzenia — jako nuta w nutę —
— Cóż mi to za pokuta? — harmonia skończona —
Ja-m myślał wprost przeciwnie: że forma roz-strzona
Że duch nad ciało wzniesion i cało-widzenie,
Sił życia niepowrotne — że to jest cierpienie!
Gdy duch nad czasów gruzem smętnie rozrzuconym
Jest, jak ten oto księżyc w górze zawieszonym
Nad bez-harmonią ruin — i włóknem promieni
Nastraja ład i cierpi że nie może siłą
Jak za życia, oburącz chwycić tych kamieni,
By złożył je w świątynię — — I tak nad mogiłą
Samego siebie, siada, lamentując póty,
Aż Bóg lub człek mu dogra niedogranej nuty.
— Kmieć polski to opiewać zdaje się, gdy mniema
Że ten lub ów spokoju człowiek zgasły nie ma,
Dla tej lub tej przyczyny — że we śnie, na jawie
W symbolicznej o pomoc kwestuje postawie —
I pokutuje —»

«— Sztuka! gdyby jeszcze była
Czuwającą, nie taką jak ją widzisz, zgniła! [1]
To winnaby w grobowcu wyświecać potrzebę
Zmarłego — dziedziczyłby syn po ojcu glebę —
— Nie zaś one kolumny złamane, lub one
Trupie głowy. — Smętarze Chrześcian z tej przyczyny
Gorszą mię, co dzień mówisz: w ciała zmartwychwstanie
Wierzymy — lecz smętarze tak są opuszczone,

[1] Patrz: o sztuce broszura (N. w Paryżu 1858) a na końcu niniejszych zarysów w formie objaśnień przytoczona.

Takie bezmyślne! — staro-greckie gadaniny
Pojęte źle — Jonickie, Korynckie płakanie
W herbach ze średnich wieków, z krzyżem jak z orderem,
Przypiętym gwałtem — wszystko wyraźnie nieszczerem:
— Nałóg tylko i nałóg — i lekceważenie
Życia lub śmierci — w mgliste ubrane westchnienie,
Z czego, ani się dziwię ze Metempsychozę
Wykładasz mi, z Owida przełożywszy w prozę;
Bo jeźli mniemać można że dziś Chrześcianie
Nie zbyt wierzą w uznane ciała-zmartwychwstanie,
To nie dziw mi iż wracasz w czasy Pythagora
Platona i Owida, w tych rzeczach doktora.
— Wszakże ja — ciągnął Wiesław — widzę, iż to ciało
Nawet jak uczy chemia, jest z głównej zasady,
Której sztucznie otrzymać nigdy się nie dało
Z absolutną czystością — że, dalej, pokłady
Rozliczne, doń się niosą swemi proporcjami
I że jako się w chemii ma z minerałami,
Tak jest i z ciałem ludzkiem. Ileś go ocalił
Czystością, tyleś podniósł i uzmartwychwstalił. —
Reszta zaś, powiedziałbym, w ogniu się odcedza,
Jak rozrzucone w świecie uczucie i wiedza —
Albo czyn, albo praca. — Co złe z nas zostaje,
To w ustach złych w siedemkroć wraca i powstaje;
My zaś cierpim, czekając aż w lepsze się zmieni
Przez lepszych — my rzucamy tu mnóstwo promieni
Krzywych lub prostych — dobrzy, te zebrawszy drugie
Pracują, by odprościć pierwsze i zasługę
W tem mają. — Trudno zatem wierzyłbym w przemianę
Owidjuszową — owszem, skoro złe uczynię
I płaczę, to gdy wyższym się od siebie stanę,
Bo jeźli-m równy sobie, jakoż się obwinię?
— Że zaś upadek podnieść nie może człowieka
Więc Łaska to sprawuje, że upadek widzę;
Więc się zadłużam Temu co mię lepszym czeka,
Więc z Łaski pokutuję i z Łaski się wstydzę.
Gdybym zaś, jak ty mniemasz, czyniąc rzecz pająka,
Stał się pająkiem, duch mój grzechu nie wyjąka

Owszem, byłby w swój prawdzie czyniąc co się tycze,
Pająka — tyrumfalne przywdziawszy oblicze —
I jako prawy pająk chełpiłby się z czynu
I nawet byłby wielkim, wśród pająków gminu!
— Powiem nawet, że prawie możnaby już widzieć,
Skoro się duch z pokuty wyzwala czasowej;
Neron, czy w Limbach jeszcze dotychmiast ma siedzieć? —
— Pytanie śmieszne — wszakże z zwyczajów osnowy
Bacząc, czy obojętnym już? lub jeszcze kusi?
Lub wzbudza żal? — poznamy, ile cierpieć musi!
— A wszystko to, jak widzisz, prawie namacalne
I tak jasne, że gdybym dał do Przeglądnika
W Poznaniu, to nie wziętoby mię za mistyka:
Tylkoby oskarżono znów że materjalne! —
— Mniejsza o to! —

Słyszałeś, że i świętych ciała
«Znajdują się w całości, jakby forma ona
Zatrzymana, lub na czas w duchu zachwycona,
Dnia gromnego zmartwychwstań swobodnie czekała.
Bywa nawet że ciało to blaskiem jaśnieje —
— Tu zda się mówię brednie — tak wszelako bywa.
Mniej u żywych — aczkolwiek i tu światłość dnieje
Promienna — coś, jakoby Mojżeszowa grzywa,
Blask, podobien do tego który apostoły
W czas przemienienia swemi zchylonymi czoły
Witali — gdy mówili: dobrze nam tu Panie —
Światłość ta, to jest przedświt już na zmartwychwstanie —
— Przypomnij sobie jeźli widziałeś oblicze
Poczciwego człowieka, gdy myśli rzecz świętą
Zali nie ma tam blasku? — albo głowę ściętą
W sprawie czystej? — lub może widziałeś i bicze
Ciemności, na człowieku co myśli rzecz ciemną,
Chroniąc się od światłości iż mu nieprzyjemną.
— Skra jest skrą! — lecz ta światłość w potędze ogromnej —
— Nie już w odblasku — Szawła butnego obala.
Kto spojrzał gdzie sam w sobie gore wiekopomny,
Temu się łuną czoło śmiertelne zapala.

— Figur zaś tu nie myślę retorycznych — wierzę —
W życiu, co dnia, acz tego nie oddawa słowo,
Nieraz ów blask nad zacną przelatuje głową
I jeźli powiem widny to tylko zbyt szczerze —
Bo jest więcej wewnętrzny niźli planetarny,
Bo złowić go nie zdołasz sztuką fotografu;
Bo szybszy i nie jako czas i przestrzeń, marny.
Szybszy od gromu — szybszy od wszelkiego trafu,
Od ścisłych czasu mierzeń — co więcej, iż przytem
Niewydrożonym sumień płynący korytem.
— Chciej-no go pędzlem schwycić, musisz wprzód sam w sobie
Zbudować się ku temu — twarze wtedy obie:
Tego co kreśli obraz i jego modelu
Podobne są chwilowo wspól-zbłyśnąwszy w celu.
— Mów jak chcesz i zwij jak chcesz te słowa — a przecie
Każdy, kto palcem sztuki dotknął, wyzna ze mną,
Że tak jest pewno — pewniej, niż wiele na świecie
Nieomylności ludzkich! — i choć mówię ciemno
Jaśniejsze to od jasnych wielu kontradykcyi,
Co świecą dziś, lecz jutro już trza im restrykcyi
Nawet i kłamstw, ażeby świetną ich wymowę
Utrzymać — bo rozpierzcha się jak mgły marcowe,
Po których ciemne widać: błoto —»

— O! tak bracie:
Katakomby tak mówią — tak tu i w dogmacie,
W życiu i w wiedzy. Cóż mi są Metampsychozy?
Eneasz wszedł do piekieł i wyszedł bez zgrozy,
Orfeus i Pytagor byli tam niechrzczeni —
Lecz mnie, ci więcej drożsi co w rzeczach potocznych
Trzeźwi będąc, są przecież w wieczne zachwyceni,
Treść niewidzialną z onych zgadując widocznych.
Jakkolwiek wiem, iż ludzie uwzięli się na to
Żeby nie iść do niebios, lecz stękać za kratą,
Szwankując się i trapiąc. Wszystkie weź smętarze
I aby jeden pokaż który mi zaprzeczy:
Bo inna, protestanckie one wirydarze,
One ogródki — one, wcale nic do rzeczy,

Skrywanie aktu śmierci kobiercem fijołków;
A inna, zamyślenie smętne pod Drezdeńską
Sykstyną Rafaela, pogodnych aniołków
Co wieją jeszcze oną wolną, nazareńską
Prostotą — i bynajmniej nie są przerażeni
Widzeniem — ani oczu kryją jak Żydowie,
Kiedy grzmotami mówił Bóg w snopach promieni
Do Mojżesza — i owszem — to im jest na zdrowie —
Twarzy swoich nie martwią one wyniszczeniem
Lecz włos trefiony mają, wzrok jasny natchnieniem
I łagodnością błogiej głębiny sumienia:
Grób żaden tak lekkiego nie użył kamienia! —

Nieraz gorzki mię uśmiech brał na tych smętarzach
Gdzie płaczące niewiasty, w batystach z marmuru
Martwią się — nie widziałem w tych posągów twarzach
Różnic życia a śmierci — wszystkie jak z albomu
Portrety, które mało obchodzą nas w domu.
— Widziałżeś grób człowieka co umarł szczęśliwie
Grób, prawie że radosny? — grób, co tobie mówi
Ciesz się — bo oto ludzie kończą już godziwie
I śmierć podobną bywa łagodnemu snowi. —
Krokiem zwycięztwa nowym nie pogardzaj bracie!
Nie — oni ci postawią płaczącą figurę
Siebie żałując — w trzy dni, ani wiesz o stracie.
Skoro ci ząb wypadnie, czujesz miejsce próżne,
Lecz często mniej gdy duchy odchodzą podróżne,
A figury kamienne płaczą — płaczą z rana
I wieczór — jak najęte. —»

O! ty ukochana
«Ludzkości Chrześciańska — czy taić ci o tem
Że jesteś nieskończenie szanowne nic-potem? —
Osiemnaście więc wieków trwasz? a taka próżnia
We wszystkiem — mało gdzie cię myśl wyższa odróżnia
Od pogan, z których żyjesz —»

Czyście nie widzieli
Że mieszkacie w świątyniach starożytnych bogów
I w bohaterów grobach? — że, aniby śmieli
Stworzyć co architekci —prócz stodół a stogów —
Bez świątyń tych i grobów, z których nasze domy —
— Cóż zaś, zostanie po nas?»

Tu — Marek rzekł «co my
Myśleć mamy o grobach w wilię zmartwychwstania?
Lada ranek, czekamy dnia ostatecznego. —»

Czekacie? — prawda — znam ja ten liryzm czekania
Usprawiedliwiać zdolny, ależ nie każdego —
Przysłowiem się on stał już tak i o narodzie
Mniemamy! — mając kilka błyskawic w odwodzie
Czekać można, aż spyta kto: mili panowie!
Rzeczono jest że ani nawet aniołowie
Nie wiedzą dnia tych czasów i że będzie właśnie
Przeciwnie — zkądże jedni wy wiecie tak jaśnie? —
Co zaś znów do narodu — zaiste, że miło
Powiedzieć sobie: na czas stanowczy się chowam
Aż dzień przyjdzie, gdy wszystko będzie się robiło
Samo przez się — więc k'temu rzeknę tylko to wam:
Że, bądźcież bezpotomni skoro tak myślicie,
Lub życiu czyńcie przyszłość, powodując życie!
— Mnich gdy powie, że Pana wygląda na niebie
Istnie on prawdę mówi użyteczną wielce,
Bo jest tą dziewką mądrą co czuwa za ciebie
I oliw tłustość co dnia wlewa po kropelce.
On społeczeństwo czasu pragnienia napoi,
Chleb pomnoży — lecz inna gdy tam się nie stoi
Gdy i bierze się z świata i światu zadłuża,
A klasztornego zewnątrz używa przedmurza.
Lecz dość — bo smutków wiele znam niewyrażonych,
A mało słów co służyć im lubią — Mój drogi!
Smutno jest — gdyby z pierwszych który umęczonych
Wstał teraz i z swą stanął palmą pośród drogi,

Co te do arku płaskie wyściela kamienie —
Ah! drogi mój — i gdyby spytał o krwi morze
Wylane za nas —»

Tutaj stało się milczenie —
Droga pomiędzy nimi, jak potoku łoże
Wysłanego kamieniem, bardzo była pusta:
Tą szli pod Ark Tytusa — gdzieniegdzie z daleka
Bielał kolumny odłam, jak wisząca chusta,
Lub czernił się na niebios otchłannem przeźroczu:
Szli tak po głazach, kędy wracał Imperator
Ze zburzonego miasta świętego — co czytaj
W Tacycie — i sumienia, czemu tryumfator?
Zapytaj. — —

Pisałem 1849.

IV. BURZA.

«O! społeczeństwo ludzkie, ty byłobyś rajem,
Albo przynajmniej czemsiś pogodnem bez przerwy,
Gdyby nie ta rzecz jedna co zowią: zwyczajem
I druga, nie dość znana starożytnym: nerwy!
— Galileusz, gdy matka w kolebkę go niosła,
Czy winien był, że przed nim barbarzyńskie sędzie
Roznamiętnili kodeks a klątwa z nim rosła? —
I że pierw jest człowieka-wróg, nim człowiek będzie?
Wróg zwyczaj, pokolenia nieważący za nic,
Jakby je wszystkie najprzód znał i był bez granic.
— Jemu to gdy pokażą niemowlę w pieluchach,
Ceni je ledwo jako ogniwko w łańcuchach,
Jak dalszy ciąg, jak wiersza zerwanego kropki —
Probując, ile ramię będzie do maczugi

Ile do ostróg nowo narodzone stopki? —
Aż tu, właśnie że przyszedł, czas zrzucać kolczugi
Aż tu broń idzie palna za kolebką dziecka
I dorósł mąż wołając: Ludzkości zdradziecka!
Cóż mi ty za obecność dałaś? — Narodzeni
Po Pantheizmie, który Biblię fałszem mieni,
Inaczej znów w też same wstępują okowy —
Człowiek nowy, swobodnie wnieść nie może głowy
Ku niebu — tylko zaraz przez ordzałe kraty
Bo zanim wyjdzie na świat, są już kazamaty.
Bo jeźli woła «wierzę» pierwej jest pytanie,
Czy jak to on powiedział, usłyszeć są w stanie,
Czy raczej tak, jak słuchać się ponawykało
Nim usta te, co rzekły «wierzę» były ciało!» —

To, mówiąc Wiesław w ciche pozierał niebiosy
Jak człek, którego bliższa nadzieja ucieka:
Skwar był — kropelka jedna jak zbłąkanej rosy
Upadła mu na rękę — zagrzmiało z daleka —
Szyb drżenie i szmer kwiatów co u okna stały
I lot gołębia krzywo pędzącego na dół,
Ledwo-że atmosfery zmianę zwiastowały.
Jużci grom bił na niebie i deszcz lał na padół —
I wielkie smugi złotych błyskawic na ścianie,
Jakoby adamaszku żółtego zdzieranie,
Tam i owdzie w mieszkaniu czyniły niepokój
Rzekłbyś, że skrzydła z siarki zagarnęły pokój.

Grzmiało tak i łyskało się zapamiętale —
Wtem, kołatanie do drzwi usłyszawszy mocne,
Wstał Wiesław i przebiegłszy osiarczoną salę
Drzwi otwiera — lecz komuż? —

— jak, widzenie nocne
Gdy, w spieczonej gorączką rozbłyśnie źrenicy:
Poznał nieprzyjaciela!

— «Co chcesz tu Maurycy?
Ty, który nim gdzie wnijdę oczerniasz mię gniewnie?»
Maurycy na to — «więcej o tem ani mowy
Ani myśli — czy słyszysz jak pada ulewnie? —
Czas zmienił się — przepraszam cię — jestem nerwowy!»

Tu — samo się przysłowie stare napomyka
Mało gdzie równie trafne — że: racya fizyka!

V. LILIE.

Konna rozmowa, czasem nie jest nieprzyjemna,
właszcza, gdy księżycowa noc, od spodu ciemna
Od góry jasna, srebrzy drzew wierzchołki pełne,
Jak runa owiec gęsto puszczających wełnę.
Młyny, gdy przytem szumią na stawach, dalekie,
A ku drodze się dęby schylają kalekie
I jest smętno — konie zaś, z jednej będąc stajni,
Strzyżeniem ucha szepcą wzajemną pociechę,
Że spocząć pod znajomą powracają strzechę.
W podobny czas do domu zjeżdżać są zwyczajni
Jerzy i Wiesław — pierwszy na siwym a owy
Na jabłkowitym, perskim, który ma podkowy
Kute w Tobolsku, grzywę czarną, kulę w karku
Iż jest od Kabardyńca kupion na jarmarku.

Jechali więc tyłami stodół, dzwonnic, młynów —
A był nad nimi księżyc pełny, srebrny, cały,
Jak Rzymski medal męża dojrzałością czynów
Zupełnego, co w tryumf przeszedł arkiem chwały
Jak pieniądz srebrny z czasów tragicznych Cezara,
Na którym legionisty postać z ciężarami

Wojennymi wykrągla się kształtem filara —
Albo jak dawna polska złotówka z orłami —
— Jechali tak w opłotach starego smętarza
Żydowskiego, co kirkuth zwą u arendarza.
— Kamienie białe, z wierzchu księżycem srebrzone,
Sterczały na około jak widma, gdy nocą
Z murawy się podnoszą cicho i szczebiocą
Do siebie, czy od ludzi nie są spostrzeżone?

Jechali tak, gdy Jerzy — z rozmowy w gościnie
Zkąd wracali — te słowa, z westchnieniem wywinie:
«Smutno, o! smutno — wielkie rozdarcie na świecie,
Na które gdyby ludzie lekarstwo wiedzieli,
Ile że jest lekarstwo, ustaliby przecie
Rozdzierać się i męczyć. — Pan ciągle kościeli
I jedna — oni, dręczyć się i targać wolą —
Rany zadawać, nie jak chirurgowie śmieli,
Lecz jakoby oprawce, węglem, gwoździem, solą
I żółcią —» alić Wiesław odpowie mu na to
— «Próżność, i wywyższenia się rządza to czyni:
Zaradzić temu? — chyba że wolności stratą
Konieczną — i cenzurą, co jak Ochmistrzyni
W opiekę weźmie — silną także dyktaturą —
— Albo zaradzić temu jeszcze można chłostą
Sprawiedliwości Pańskiej — głodem, gromów chmurą,
Najazdem, i zarazy obrzydliwej krostą.»

Więc Jerzy rzecze, dając siwemu ostrogę:
«Bóg tylko, że jest wiecznym i ci co mu chwały
Zaprzeczyli, obierać taką zwykli drogę —
Człowiek zaś, nieśmiertelny zarówno jak mały,
Nie mniemam by skutecznie tychże sprężyn użył —
Dłużny jest — cóż więc? gdyby nadto się zadłużył?»
To mówiąc, przejeżdżali łąkę ścieszką wązką
A konie, cugle mając z lekka opuszczone
Igrały nozdrzem z każdą po drodze gałązką.
— Strzemiona na wierzch siodeł były zarzucone
Niedbale, niby obrót mowy w zaufaniu —

A było zorze, jakby tuż na przed-świtaniu —
— — — — — — — — — — — — — —
Lilie wonne, opodal rosły — — — — — —
— — — — — — — — przeto, Jerzy
Te powie słowa: «Gdyby, co wiedzieć należy
Wiedzieć chciano i pomnieć chciano wszech-przytomnie,
Pomnieć i ufać temu całą prawdy siłą;
To zaś jest, co te lilie mówią teraz do mnie —
To zaś jest, co tym liliom powiedziano było
Przed wiekami, na puszczy — tam. Gdyby wiedziano
Że, mimo rządz i miotań więcej się nie staną
Na cal jeden, nad tyle ile stać są mogą:
Ze, ani włosa barwy zmienić nie są w stanie
Ale - że biada! jeżli wsteczną pójdą drogą
Nie dotrzymawszy miary — O! najdrojszy Panie,
Jakżeby dziś już równo było na planecie
I nikt na krnąbrne sarkać nie musiałby dziecię!
I aniby zdradzano, ni podstępowano
Ni oczerniano, święcąc kropidłem rozsądku,
Albo umiejętności — Wtedy by w porządku
Przedwiecznym dojrzewano i zmartwychwstawano.
Wtedy by odpoznano, że zazdrość bezsilna
Ślepa zawiść, praktyczność bez Boga, omylna
I że się nie zda na nic kłamać w Imię Boże;
Lub zbożnieć w imię kłamstwa — że chcecie albo nie,
Prawda zwycięży! choćbyś w grot ubrane słonie
Popędził na nią, choćbyś na tortur ją łoże
Wyciągnął.»

A więc Wiesław tu wstrzyma swojego
Czerkieskiego — i czapki przed krzyżem uchyli
I rzecze: «Dzięki Tobie Ojcze! — ze wszystkiego
Mojego serca, iżeś tym, co się spysznili
Umiejętnością, zakrył rzeczy te — a onym
Prostaczkom, je objawił ciemnym i wzgardzonym.» —

Modląc się tak, wesoło do dom powrócili — —
To zaś wszystko, działo się o nocy, bo we dnie

Możeby wstydem było modlić się przed krzyżem [1]
Przydrożnym — raz, że fraszki nie dają powszednie
Drugi raz, że to droga traktu z Żytomierzem
Kędy powozy jeżdżą — zaś, ostatni trzeci:
Że, skoro chcesz się modlić, to wnijdź do komory
I sam z przedwiecznym zostań jak z ojcem są dzieci — —
To ostatni jest powód —
— nienajmniejszym wtory!

[1] Pisane 1852.

O SZTUCE.

Do Zarysu III, nazwanego Ruiny, gdzie w treściach sztuki dotyczących zrobiony jest odsełacz, dołącza się jeszcze w formie objaśnienia niniejsza broszura o sztuce, którą w r. 1858 czasowe potrzeby wywołały, a która została wyczerpniętą.

I.

Pisać o Sztuce dla narodu, który ani muzeów ani pomników, właściwie mówiąc nie ma; pisać dla publiczności która zaledwo biernie albo wypadkowo obznajmiona jest z tym przedmiotem; jest to nie pisać o Sztuce, ale objawić ją.

Niemniej — pisać o sztuce dla Polaków i po polsku w chwili, kiedy bardzo niedawno część ta intencyi i pracy obwołaną została za niewłaściwą, szkodliwą i osławienia godną; owszem, tak poniżonemu przedmiotowi obywatelską godność zyskać, jest to nie pisać o sztuce ale uzasadnić ją i postanowić.

Trudność ta druga, gdyby nie była z braku rozwiązania onej wstępnej i pierwszej pochodzącą, byłaby może nie do zwalczenia dla współczesnych.

Skoro zatem okaże się możebność korzystnego obcowania z taką publicznością w takim przedmiocie, znikną przez to samo osławienia i wyklinania owe, albowiem okażą się być czem są — niewczesnemi! —

Okazanie pogodnie — po-nad-panfletystyczne — niewczesności zarzutów, bywa zagładzeniem onych wszędzie a jest nieodzowne w tym przedmiocie.

Gdyby Polska-naród nie wyczekiwała i mogła nie wyczekiwać nic od Polski-społeczeństwa, jak np. w kwestyi włościańskiej dziś się dzieje, owszem, gdyby bez obrazy majestatu Cywilizacyi mogła Polska-naród uważać Polskę-społeczeństwo za wynik tylko geograficzno-strategicznych widoków i planów swoich; zaiste że ten promień intencyi i pracy, który się sztuką zowie, mógłby być dla niej obojętnym jak też z nim poczynali sobie wielcy nawet pisarze nasi — co wspomniało się indziej.[1] Kiedy albowiem naród dopiero uzasadnia się, a ważność społeczeństwa nietylko że wyrównywać mu nie może ale zupełnie jest wypadkową i podrzędną i do dalszych poruczeń zostawioną; wtedy zaiste że jedyna tylko sztuka obchodzić go zwykła — inżynierja — lub wyłączniej sama sztuka-wojskowa, jakkolwiek i ta jeszcze niestety — jest sztuką!

Owszem — dostrzedz się daje iż wyłączenie pierwiastku sztuki z pośród licznych darów znamienujących wodza — owszem, ograniczenie się na heroizmie nagim bez udziału tej historycznej estetyki, która epopeję tworzy — dawać zwykło, wiele bitew szczęśliwych, wiele przegranych wojen. — Tak, i w oddalonej ze wszech miar na pozór sztuce lekarskiej bynajmniej niepłonnym jest przydatkiem: iż umiejętność ta i ta możność, sztuką się zowie. Nie tylko albowiem wśród licznych szczęśliwego lekarza darów, mile witaną bywa jeżeli jest odgadującym bystro; ale, jak dalece rzeźbiarskiego prawie ukształcenia chirurgia wymaga? — o tem nie można wątpić — co zaś fizyonomiki się dotycze: jak naprzykład szanowne dzieła Lavatera, o tych zawyrokować nawet trudno czyli są dla artystów, czyli dla lekarzy sporządzone? Mamże i o umiejętności zkądinąd ścisłej, to jest o Matematyce nie przepomnieć, iż tam, gdzie Astronomii się oddaje i usługi jej pełni, powielekroć opiera się ona na prawach profetyzmem natchnienia otrzymanych i te za posadę sobie bierze, sama indziej wszech zasadniczą będąc, tak, iż nie skłamię jeźli powiem iż skrzydłom owdzie cerkiel zdąża. — Prawo z czemże obcuje jeźli bezprawiem nie jest? — jawność, sąd przysięgłych i obrońcy do ileż bez oratorstwa obejść się mogą? — Historyi, potrafił-

[1] Promethidion, epilog XIX.

żebym archeologię i paleografię i właściwą nawet monumentalną-sztukę odjąć, bez powalenia jej na ziemię? —

Jeżeli więc wojskowa-sztuka, Medycyna, Matematyka, Prawo i Historja zdanie swoje o sztuce wiekami całemi zapisawszy, do nierozdzielnego onąż współudziału stanowczo przypuściły, nie pozostaje nam zaiste poszukiwać, gdzie jest ów głos zaprzeczny tak niepobłażliwie z istotą sztuki obchodzący się, ale raczej pominąwszy go, wejrzeć jeszcze w dwie najpoważniejsze sfery bytu: w naturę i w życie; czyli czasem w tych dwóch nie jest sztuki-istota więcej niźli w powyższych i ostatecznie uprawnioną? Poczem już, gdyby tak być miało i tak okazało się, religijnego tylko jeszcze spytać należałoby się namaszczenia czyli i to nie jest sztuce odmówionem.

II.

Sztuka, w znaczeniu przyjętem najpowszechniej dla tego może że w znaczeniu jej najniższem, będąc «naśladowaniem natury» nie może być już przez to samo w naturze inaczej dociekaną, jeno jako piękno i onego to piękna bezpośredni okres, czynny udział, osobna pora; słowem prawo, w pośród współdziałania wszystkich innych praw natury istniejące i obowiązujące. Takowy to udział, taki okres, osobna pora taka, prawo takie, jestże w cało-sprawie przyrodzenia tak wyraźnem i dzielnie obowiązującem, ażeby na niem się oparłszy, uprawnić przeto ową tylo-wiekową pracę intencyi i wiedzy, która sztuką zowie się? — Natura wydzieliłaż miejsce i czas prawu takowemu, prawu piękna? — że albowiem wszystko w naturze pięknem jest, albo bywa, to może właśnie dla tego że wszystko: nie ma jeszcze, przez to samo, osobnej istoty swojej i podejrzewać dałoby się raczej o zależność od sposobu rzeczy uważania, od sposobu patrzania na nie. Lecz nie — prawo to, prawo piękna, ma i czas sobie osobno wydzielony w porze kwitnienia wszelakiego i ma przedmiot swój w kwiecie.

Jakoż kwiat, ta to błaha zawiązka piękna, która wdzięczy się dziś a jutro wiatr ją zwarzy, pochłonie zwierze paszczą grubą; człowiek, nogą poważną zdepcze; kwiat, który nie tylko w każdym względzie po-nad-użytecznie pięknym bywa— ale jesz-

cze są kwiaty jakoby na wyłączną posługę piękności i to bardzo wyszukanej, przeznaczone. — Kwiat i pora - kwitnięcia we wszystkiem piękna, tak dalece «realnem i praktycznem» — jak to dziś mówią — prawem jest: iż, gdyby Atylla lub inny barbarzyniec jaki, bicza trzaskiem zmiótł te wdzięczne fraszki i te ozdoby z pól i drzew — zaiste, że obozy jego w odwrotnym marszu nawet musiałyby wymierać głodem wielkim, za pogwałcenie onych to słabych praw pobite. Od owoców prawdy albowiem aż do ziarnka rośliny najdrobniejszej, która w szczelinie głazu twardego ma mieszkanie, wszystko przechodzić musi porę kwiatu, porę piękna kwitnienia; jeźli ma być owocem użytecznym i ważność mającym. «Przypatrzcie się — mówi Pan i Mistrz— liliom jako rosną: nie pracują ani przędą: a powiadam wam, że i Salomon we wszystkiej ozdobie nie był tak ubranym jako jedna z tych.» — (Łukasza Ś. XII. 27).

III.

Ale że i o religijne zapytamy się dla Sztuki namaszczenie, obiecaliśmy sobie nie tylko praw jej pomiędzy prawami natury poszukiwać, lecz i w sferze moralnej życia wskazać jakie zajmowałaby ona miejsce? — Pośpieszamy więc orzec, że jeżeli jest w człowieczeństwa dziejach stan prostoty, z której się wychodzi i tej drugiej prostoty do której się dochodzi, stan prostactwa i stan prostoty doskonałej, tedy cały on ciąg onego to właśnie dochodzenia nie może się bez arcy poważnego udziału sztuki w życiu obejść i nie obywa się. Zaiste, bardzo prostotliwą, naturalną i bezwykwintną jest rzeczą oddać w dwakroć poszturg mało uważnego przechodnia w ulicy ciasnej. Zaiste bardzo ofiarnym jest czynem policzek nadstawić po uderzeniu pierwszem — ale ani ofiarną i stygmatyczną, ani naturalną rzeczą jest wymierzyć sobie i bliźniemu swemu sprawiedliwość. Samo słowo wymierzyć zapowiada już coś sztucznego.

W tymże względzie, osobie nieprzyjaznej złą nowinę donieść w całej przeraźliwej jej nagości, naturalnym jest czynem, i nic w sobie sztucznego nie mającym, ale zaczekać na upamiętanie się czyje, ale uprzedzić one, ale temu który zranił

ciebie okryć mogącą zabić go wiadomość, są to nienaturalne i wielkiego wymagające artyzmu poruszenia! — Jakoż podłość jest bliższą człowieczości, ale sztuka w życiu więcej jest obowiązującą i potrzebną. «Miej serce — i patrzaj w serce.» —

Nie tylko «miej» powiada tu poeta, ale zarazem «miej i patrzaj» w nie. — Wiersz ten może największy treścią jaki kiedykolwiek napisał ś. p. Adam Mickiewicz, pomijamy z żalem iż nie możemy tutaj dla szczupłości zakresu w szerokości, chociażby równej całemu temu pismu badać go i wykładać.

Zbliżyliśmy się albowiem już do samego, że tak nazwę prądu sztuki w życiu: gdzie pomiędzy naturalnością podłą, naturalnością nałogową, wolną od udawania dla tego iż celu jeszcze nie ma, a pomiędzy siebie tylko na celu mającą ogładą zewnętrzną, jednem słowem: pomiędzy bez-lubstwa a samo-lubstwa grubijaństwem i fałszem, żaden składny dwuznacznik, żadna mówię doktryna upogodzić nie może, wciąż powstawać muszących przeciwieństw na polu życia; jedynie albowiem tam aż przeprowadzonej sztuki jest to okres. Jakoż gdyby tu technicznego a przeto wyłącznego wolno było użyć wyrażenia, powiedzieć dałoby się iż sztuka, equacją jest postępu — postępu nawet moralnego, o ile ten historyi jest przedmiotem.

Ileż-bo to smutków do niewypowiedzenia smutnych, boleści ileż do niewypowiedzenia bolesnych — ileż to i trudności do niewypowiedzenia trudnych, dla tego jedynie spotyka się iż przez niewypowiadanie tychże słuszne, aż do onego to niewypowiedzianego wzrosły stopnia! — Hamlet, w domu swych przodków, czemu to aż z aktorami przestawanie za jedyną miał sobie ulgę? —

Zaiste podrzędnym, przypadkowym lub okolicznościowym, a niekiedy dziwacznym mienią ów głęboko mistrzowski pomysł wprowadzenia aktorów na dwór Książęcia w chwili, kiedy już całe dworu tego rzeczywiste, potoczne i naturalne życie wynaturzonym tylko fałszem stało się. Z stanowiska jednakże o którym powyżej mówiliśmy, drammatyczny ten obrót najprostszem rzeczy jest następstwem. Kiedy albowiem cały obyczaj familijny i powszednia jego rzeczywistość brudną stały się maską, wtedy maska-teatru zamieniła się tylko w rzeczywistość

nieskończenie godniejszą wyboru i pierwszeństwa. Przyjęła nawet siłę akcyi i jakoby prawdą stała się. — Na przykładzie następnie umieszczonym z aktu pierwszego, sceny drugiej, wziętym; łatwo jest dopatrzyć wszystkich tych zarysów sztuki w życiu, o których dotąd mówiliśmy, a które uprzytomnią się wydatniej za zbliżeniem spostrzeżeń z wzorem — pomnić tylko należy, że rozmowa jest matki z synem po śmierci ojca.

MATKA.

Wiesz sam, i rzeczą jest najprostszą w świecie
I tak to bywa wciąż — że, co się rodzi
Przechodzić musi przez śmierć w nicość trzecię,
W wieczność — —

HAMLET.

Wiem, Pani: tak, to tak przechodzi! —

MATKA.

Więc, czemuż rzeczy nie brać jak są one—
Zwyczajne, czemu zdawać się ma dziwnem?

HAMLET.

Zdawać? — O! Pani — to nie jest zmyślone
Czarnym kolorem płaszcza, ruchem sztywnym,
Wzdychaniem, które siłę płuc oznacza,
Bladością cery, dużym łez potokiem;
Z całą ich formą, modą i urokiem,
Który się zdawać może — że rozpacza!
Nie — to mię wszystko najmniej nie wyraża
Właśnie, iż sztuka wygrać to jest w stanie
Właśnie, iż często udać się to zdarza
Gdy to, co cierpię ja, jest nad udanie. —

Kiedy tak, w pierwszym zaraz akcie i w drugiej scenie — a więc dobrze jeszcze przed ucieczką do aktorów i sceny — zasłania się już Hamlet przed oną radą matki ażeby brać rzeczy jak są one, naturalnie i po prostu i nie wdać się w patetyczne smutki; królowa odrzuca się na stanowisko przypuszczające drammę w życiu i probuje do ilu to celów jej posłuży, mówiąc:

— Że Hamlet ojca płacze, jest przykładnie
Bardzo przykładnie, owszem, bardzo ładnie —
— — — — — — — — — — — — —

Na tym to przykładzie krótkim o ile tego wymaga zakres pisma, ale w którym brzmią główne tony o przeprowadzonej sztuce w życie świadczące, zamykamy nasz okres temuż

poglądowi na sztukę poświęcony i należny, a przechodzimy do uważania onejże w obec Religii.

IV.

Kiedy niedawno zmarła Rachel, która była wielką artystką drammatyczną, znalazła już się na południu talentu swego i w Potsdamie grała przed złożoną z królów publicznością; zdarzyło się, iż po najpomyślniejszem z tych przedstawień skoro się udała na spoczynek, uczuła była jakoby rękę wielką tłoczącą jej pierś na sposób, w jaki się pędzącego w biegu zatrzymuje — i usłyszała była głos: «tu koniec twój — tu skonasz!» — I zdało się jej było iż obejrzała się za głosem patrząc gdzie skonać ma — gdzie jest jej koniec?

— Ale zobaczyła tylko czworoboczną izbę wapnem prostem bieloną, pustą i zdało się jej że nic w tej tak pospolitej izbie nie ma. —

— A patrząc, patrząc, dłużej kiedy dziwowała się onej wielkiej prostocie miejsca tego — dostrzegła jeszcze klęcznik i dostrzegła postać klęczącą, ta zaś była jakoby posąg którego nie można było widzieć twarzy lecz który na wejrzenie przypominał statuę Polymnii z Louvru. — Dzienników wiele powtarzało zdarzenie to, które słynna aktorka opowiadała była blizkim swoim, ale nikt snu owego nie tłómaczył. Jest on jednakże wielce jasny. — Każdy aktór wchodząc do celi Kameduły przed podobnym klęcznikiem powiedzieć sobie może z onym głosem tajemnym: «tu koniec twój.» —

— Jakoż, w obec Religii sztuka samoistność swą tracąc, wstępuje już w porządek potęgi wyższej życia, gdzie o tyle tylko żywa jest sobie, o ile litery światłem staje się, o ile kona sobie, a najjaśniejszym-tajemnicom wiary objawionej, jako uwidomiające ciało, postać i forma posługuje.[1] Ołtarz już kresem jest samoistnego sztuki bytu i jeżeli w sztuce wojskowej, Medycynie, Matematyce, Prawie, Historyi, i t. p. udział sztuki wybiera sobie właśnie, że najżywotniej-samodzielne części tych umiejętności, stając się jakoby ołtarzem świętego ognia ich; to prze-

[1] Pieśń społeczna, karta: XI, wiersz: 21, 22, 23, 24.

ciwnie na stopniach religijnego ołtarza ołtarzów udział ów sztuki na najformalniejszej właśnie części ogranicza się — tak, iż powiedziećby można, że prawdziwej religii forma udziela jeszcze ducha wiadomościom doczesnym przez sztukę. Spostrzeżenia tego, na którym budowa niniejszej pracy o sztuce zakłada się, ażeby tem wybitniej prawdę uczuć i kres ów tajemniczy przemieniania się sztuki w wyższą potęgę naznaczyć; nie od rzeczy będzie przytoczyć tu słowa świętego mędrca Tertuliana do Senatu Rzymskiego. Te brzmią:

(14. Apologetik.) — «To pociesza nas, że bogowie wasi, czyli posągi, ażeby dostąpić bóztwa, przechodzą pierwej przez te same katusze, na które my codziennie przez ich fałszywe bóztwo wystawieni bywamy. Wy przybijacie Chrześcian do krzyżów i słupów; czyliż nie tak samo rzeźbiarz, formując postać bóztw, od krzyża lub pala rozpoczyna? Nie na krzyżu-ż to odbierają one pierwsze zarysy świętości ich profilów?»

«Wy i żelaznemi pilnikami rozdzieracie boki chrześcian — ależ piła, pilnik i rylec niemniej, owszem staranniej obrabia członki bóztw. — Wy i głowy Chrześcianom odejmujecie według upodobania, tak jak się z bogami waszymi dzieje, które głów by nie miały, gdyby onych rzeźbiarz nie dał im. My rzucani bywamy na pastwę bestyi, a na czyjąż to pastwę Bachus, Cybella, i Ceres podawani bywają! — W ogień rzucacie nas, a ileż bóztw tej próby nie przechodzi? —. Do kopalni bywamy wysyłani, a toć z onych kopalni i bałwany wasze dobywają się. — Lecz co nad to jeszcze pewnego jest, to to: iż zaiste że równo bogowie wasi nie czują zniewag onych i poniewierek i zaszczytów.» —

— — — — — — — — — — — — —

Wszelako oto i tu jeszcze, jakkolwiek w obrazie tak bolesnym i dla innych powodów przytoczonym, potwierdzone jest to co właściwą, co rzetelną sztuki stanowi prawdę. Można było albowiem w ten już sposób do Rzymian odzywać się, można było w sposób nierównie snadniejszy do Greków, jak to Apostoł Paweł czynił, właśnie że dla tego, iż w samem onem rozwinięciu sztuki i estetyki leżała już pierw ujma temu dzikiemu bałwochwalstwu, które cale wymowy nie dopuszcza, a porozumiewanie się wszelakie zbrodnią mieni. Doświadczenie historyi uczy, iż

skoro lud jaki bogi swoje idealnej piękności podda, wraz i bałwochwalstwa potwór znika — alegorje się zaczynają — po nich, figury-retoryczne miejsce biorą i prawda już odtąd te przynajmniej prześladowstwa spotyka, które i dziś godzić na nią mogą, wcielonych obrońców jej zamęczyć, ale prawdy w niczem nie uszkodzić — owszem, na tem błogosławieńszym postawić ją przeto świeczniku. Ideał albowiem nieskończonym będąc, najnieustanniej przez to samo przewyższać się dozwala; bałwochwalstwo zatem na tej drodze w lenistwo jedynie i w błąd nie ledwie estetyczny, albo już w tę ostatnią maskę interesu brudnego się zamienia, którą pokrywał się ów rzeźbiarz dla Świątyni Dianny pracujący, i dla tego jedynie przeciw kazaniom Pawła Świętego Apostoła podburzający rzeszę ciemną. Nie był to już wszelako prawdziwy artysta grecki z czasów pięknych ale właściwiej kupiec — prawdziwy Grek byłby raczej wędrownem jakiem bóztwem Apostoła każącego uznał i za takowe obwoławszy, woły mu na ofiarę przywieść radził, jak to w innem mieście greckiem miejsce miało. — W idealnem piękna uprawianiu leży pewne uczucie wyższego porządku rzeczy, ku któremu wznosząc się, jeżeli nareszcie u szczytów onego napotkanej prawdy nie można wziąść, to jedynie dla tego iż człowiek wziąść sam nic nie może, co by mu pierw nie było dano wziąść. Bałwochwalstwo przeto na tej drodze — jak to rzekliśmy wyżej — jest już raczej lenistwem, opieszalstwem i gnusnością prawy zatrzymującą postęp. Amm. Marcell. w początku piątego wieku pisząc, tak obraz stanu tego kreśli:

«I te niewiele domów gdzie poważnie umiejętności i sztukę uprawiano, zamieniło się już na teatra zniewieściałości i uciech szalonych, które tego są następstwami. Nie słychać już tam nic oprócz samych głosów ludzi i instrumentów; zamiast filozofa albo mówcy, grajek, trefniś lub skoczek poszukiwany bywa. Księgozbiory zamknięte są jak groby, a gdzie o treść pytać należałoby, tam raczej za fletem, lirą albo innym muzycznym narzędziem biegną, i to jedynie jako za nieoddzielnym płaskiej komedyi chórem.» — Starożytni wprawdzie pewny rodzaj muzyki zawsze w pogardzie mieli, mowa tu jest wszelako o ogólnem raczej wygaśnięciu wszelkich idealnych poczuć i zaparciu się ich postępu. Z Chrześciańtstwem dopiero bowiem Święty

Ambroży a głównie Święty Grzegorz Papież, objawiają, uzasadniają i stanowią muzykę dzisiejszą.

V.

Po skreśleniu zatem w ustępie pierwszym (I) jaką zastaliśmy ważność publiczną sztuki, a jakię ona nie tylko w czasie bieżącym ale w Sztuce wojskowej, Medycynie, Matematyce, Prawie i Historyi, przez cały tok postępu onych zajmuje miejsce, i jest bynajmniej tem czemśiś (!) za co ją wszyscy prawie wszystkich narodów teoretycy uważają, a na ich wiarę nasi polscy — wypowiadamy z naszej strony bardzo prosto: że sztuka w obliczu umiejętności jest sferą każdej z nich żywotną i dopóki są one żywotnemi.

Po okazaniu następnie w rozdziale drugim (II), że w obec natury uważana sztuka wchodzi w jej prawa.

Po skreśleniu w ustępie trzecim (III), że uważana sztuka w życiu jest ekwacyą postępu moralnego.

I potem co ustęp czwarty (IV) zawarł: to jest, iż w odniesieniu na ostatek do Religii, sztuka ujście swoje tam znajduje, ale jako wszędzie indziej żywotną jest, tak odwrotnie, u ołtarza progów w literę jedynie wyjaśniającą Słowo, zamienia się i zamyka przeto całość istoty swojej.

Po objawieniu, uzasadnieniu i obronieniu sztuki, jednem słowem: pozostaje mi tylko z zadziwieniem wielkiem odpowiedzieć, jak mogła rzecz z siebie tak poważna obwołaną być za czczą i szkodliwą? Tudzież, o ile da się — w tak złem powietrzu — skreślić także pojęcie polskie, na tem obszernem polu koczujące.

Zapytanie jednakże pierwsze milczeniem tylko, albo skreśleniem ogólnem stanowiska sztuki do doktryny, albo następującem, co najlepiej, zbyć można porównaniem:

I kryształowa szyba kiedy się wskośnie na nią patrzy, zasłania oczom przedmioty. —

Przejdźmy teraz do narodowych pojęć.

Zdaje mi się że dotąd nieokreślono jeszcze ani w sposób wyraźny określić próbowano, czyli, o ile i jako ma się właściwie rozumieć to słowo: sztuka-narodowa. Jest albowiem wiele sposobów, bardzo klassyczną i akademicką formę mających, a sporządzonych zdałoby się wyłącznie ku temu, aby treści zawiłe, mianowicie zaś te których rozwiązanie owoców pochlebnych nie przynosi, omawiać, odraczać, lub solennem pokrywszy milczeniem, mieć je na boku, i ostrożnie, jak starą broń nabitą, w około której domownikom i dziatwie skrzętnie radzą przechodzić. — Taki stary arkebuz wszakże pokazuje się z czasem, że bynajmniej nabitym nie będąc, próżno straszył lat parę z kąta swego.

Sztuka narodowa, jako czas, może być tylko wyrazicielką historycznej, że tak powiem godziny, o której naród jaki poczuwa się do udziału w wyrobie ogólnym. — Dzisiejsze rysunki Chińskie zupełnie tej wartości są co Byzancko-włoskie, przed Giottem, lubo Chińczycy na tak niesłychanie wyłącznej osobności trzymają się. — Proszę tedy z łaski swojej zjawisko to inaczej wytłomaczyć — (1).

Sztuka narodowa, jako miejsce może już być wyłączniej uważaną, ale i to ze względów następujących:

Idea, gdyby tylko myśleniem czczem pozostać miała, nie potrzebowałaby bynajmniej warunkom miejsca odpowiadać; ale że Idea prawdą zostać ma, a prawda nie jest tylko onem samem myśleniem, idea przeto poddawaną jest w części pewnej i warunkom miejsca, nie ażeby przez takową próbę traciła co, ale owszem aby jedną więcej zaletę zdobywała. Duch modlić się może tak szybko, że warunki miejsca przed tą oną szybkością ducha zniknąwszy, nie trwają już dla modlitwy jego: ale człowiek kiedy modli się, potrzebuje choćby tyle miejsca, aby spokojnie klęknąć mógł. Tak się to ma idea do materyi, czas do przestrzeni — rzecz, za niesłychanie zawiłą i do okazania niepodobną uważana!

Żeby jednak bliższe z tego dla narodowej sztuki wyprowadzić się dało wnioski, równanie ono powyższe nie wystarcza, trzeba jeszcze wyniku z równania tego, trzeba jeszcze tej trzeciej rzeczy, któraby owocem czasu i owocem przestrzeni naraz na drodze sztuki będąc, świadczyła nam nie tylko o istnieniu stopni

i kierunków, ale i wskazywała one w pewnym względzie. Takim to więc owocem cóż jest? — wyraz czyli jak się to potocznie mówi: słowo.

Wyraz, słowo, albowiem, na raz prawie miejsca i czasu potrzebując, naraz używa onych, ani bez nich jest sobą.

Z tego to względu przeto, wyraz piękno u różnych różnostronnie i różnostopniowie rozwiniętych w obliczu sztuki ludów, gdy zważymy, okaże się nam najwłaściwiej pierwo-promień wszelakiej sztuki narodowej.

A najprzód, najzupełniej błędnem mniemaniem jest iż owa Olimpijska sztuka grecka, dla greckości swojej tak wieczno-trwałą i tak wieczno-wzorową okazała się i okazuje; bynajmniej — była ona najwięcej ludzką ze wszech sztuk, a w Grecyi miejsce tylko miała, i wcale nie to drugie po nad innych ludów sztukę wyniosło ją. Koło, zawsze jest kołem bez względu na to czy Euklides, czy Mag perski kijem swoim podróżnym w około nogi je zakreślił, ale kabalistyczna myśl Chaldejska z koła tego lubo wspólnego wszystkim, zodyak wykreśli, gdy tymczasem dzisiejszy Anglik wyzębi je raczej, na oś wsadzi i do machiny wprzęże. I staną się oto rzeczy dwie wcale odrębnej treści.

Tak samo wyraz «piękny» w ustach dzieci oznacza «tęczowy», to jest z wszystkich kolorów najsilniejszych złożony. U ludu ruskiego «piękny» znaczy krasny, a krasny czerwony. U Sybirczyków podróżnik, Castern, zauważył że dwa tylko wyrazy są determinujące piękność, to jest wyraz «biały» i wyraz «czarny» dla przyczyny niezmiernie jasnej albowiem śniegu nawał leżącego ujednobarwia i ujednokształtnia subtelniejsze różnice rzeczy. Wyraz wielki i mały — silny i słaby, gęsty i rzadki, i t. p. określają tam zawsze jednakowo «biały» lub «czarny.» — Lelewel podobnież zauważył, że głoskę b wedle greckiego obiecadła — Kochanowski mówi obiecadło nie abecadło — zamieniwszy na w, zamieniał się stopniowo i wyraz boli biały, na wyraz weli wielki i odwrotnie.

U starożytnych przeto Greków wyrażenie piękna (καλός), używało się i jako dobre, zacne, a w brzmieniu swem nosiło zarys najpełniejszej i najogólniejszej formy, to jest koła (polski nawet wyraz koło, pochodzi z greckiego), i nosiło przeto

jeszcze wyrażenie to, ślad ruchu, życia od (κυλιω) zataczać, krążyć, obrót sprawować. I nosiło w sobie jakoby wyraz puhar, toast, od wyrazu (καλιξ) kielich — i spełniało się. —

U starożytnych Rzymian że sztuka nie była właściwie rzymską, oprócz wojskowej-inżynieryi: wyraz przeto (pulcher) piękny, z zabranego do nich kraju przyszedł — to jest z Grecyi. Ale oni złożyli go sobie z wyrazu (πολός) wszech, i z wyrazu (χορός) chór, i z brzmienia jeszcze (ἥρως) bohater, stanowiąc tym sposobem wyrażenie pojęcia rzymskiego o piękności, jakoby wszech-głosu, wszech bohaterstwa, i jakoby wszech-chrobrych chóru. —

U Germanów — u Niemców — piękność ma określnik (schöne); ten nosi w sobie pojęcie obserwacyjne i do czasu zastosowywane jakoby dojrzałość i dokończoność w porę właściwą określające, dla tego to brzmi w niem i wyraz Słońce (Sonne) i wyraz «już» (schon), i wyraz (scheinen) wydawać się, i nareszcie słowo (schonen) które znaczy: szanować, chronić, pilnować, oszczędzać. —

U spadkobierców Rzymian Włochów, którzy sobie utworzyli język drugi Italski, jakkolwiek nie ma już onego zabranego Grekom wyrazu pulcher i jest raczej swój własny «bello», ten wszelako pokrewny jest starożytnemu rzymskiemu wyrazowi oznaczającemu wojnę (bellum) i taniec ballo (ballare), jakoby określając iż uradowanie się ze zwycięztwa jest piękności wszelkiej źródłem. To też nie ma zaiste ludu, u którego by uczucie publicznej radości i ostentacyi politycznej znajdowało łatwiej i patetyczniej formy swoje. U Francuzów i u Anglików tenże sam wyraz włoski z niewielkiemi wyrzutniami lub odmianami piękność znaczy.

U POLAKÓW: określnik «piękno» dwa nosi brzmienia w sobie i rozwija się w trzecie:

Złożony jest on albowiem z wyrazów «pieśń» i «jęk» a zamienia się w trzeci wyraz jakoby «pojęk-ność» i jakoby nad boleścią tryumf znaczący. — Krótkość zarysu tego nie dozwala nam tu przebiegać wszystkich poetów polskich, i do

onego otworzenia powyżej przez nas wyrazu piękność, stosować. Ograniczam się przeto na zacytowaniu dwóch tylko wyjątków z dzieł ś. p. Juliusza Słowackiego wziętych, raz z przyczyny iż poeta ten najwyłączniej ze wszystkich poetów polskich jest artystą, drugi raz z przyczyny iż wyjątki te najbliżej treść poszukiwaną określają.

W Królu Duchu mówi on tak o tajemnicach liry: (Pieśń III).

XVII.

«Stary był, pomnę, Zorian, się nazywał
Gdy go palono, cichszy od owieczki
Na lirze sobie czasami podgrywał,
I szedł przez ogień z uśmiechem piosnęczki.
Ani klątw rzucał — ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiej lireczki
Głaskał ją tylko wyjaśniwszy lice,
Niby zlęknioną, białą gołębicę.»

XVIII.

«Zdawał się mówić i twarzą i ręką
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
Nie bój się liro, bo śmierć nie jest męką
Ani się lękaj cielesnego zboja! —
Nie bój się moja maleńka lirenko,
Nie bój się siostro, nie bój córko moja:
A na toż by to nasza mądrość była,
Gdyby — przed śmiercią skonać nie uczyła.»

XIX.

«Przyjmowano cię po domach, po chatach
Pókiś ty ze mną była wędrownicą;
Bądź że dziś wdzięczna a nie płacz przy katach,
Bo się ucieszą i ton twój podchwycą. —
— — — — — — — — — — — — — —
Czekaj — wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą,
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy — co jak anioły śpiewają.» —

Indziej, w najskończeniej pięknym i dojrzałym utworze swoim Anhellim tak naucza tenże o pięknem:

Anhelli Rozdział I. «Lecz wy będziecie w grobach i całuny będą na was spruchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki i ubierze was w umarłych dumną powagę — będziecie piękni. — Tak, jak ojcowie wasi którzy są w grobach, bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.»

Dalej — nawet o piękności kobiety w rozdziale XIII. «Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei i wypiękniało na niej ciało. — Oczy, rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubierała i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.»

Jako jednakże Grecy mieli w wyrazie kalos formalne także określenie koła, tak Polacy, nie już w jednym i tym samym wyrazie piękno mają formalną onegoż podwalinę; ale w osobnym architektonicznej piękności określniku «ładny» — ładny, albowiem idzie od wyrazu ład, porządek i harmonję oznaczającego. I ładny jest wyrazem tak ściśle formalnym jak piękny wewnętrznym i duchowym, tamten albowiem zastosowanie tylko harmonijne do porządku jakiegoś istniejącego okazuje, gdy ten przypuszcza drammę, boleść, jęk, a dokonania i po-konania onych, nowy zdobywając ład, spodziewa się. Niższym wiele od określnika «ładny» jest jeszcze nakoniec wyraz «śliczny» znaczący jedynie piękność porównawczą, krytyczną, wyborową; a tłomaczący się brzmieniami swemi iż oznacza rzecz obliczem z licznych pierwszą i wyborną. Co do wyrazu brzydki, ten wybrzmiewa: bez-życia, bez-użytku będący; określnik zaś szkaradny, znaczy za-karę-dany, czyli potworny, czyli potwór.

HARFA

CZYLI

LIRYCZNA I OKOLICZNOŚCIOWA

CZĘŚĆ POEZYI.

BEZIMIENNI.

1.

Teleskopowa ój! kometo
Przelatująca w dzień słoneczny,
Gmin cię nie witał niestateczny;
Astronom ledwo z baszt, lunetą!
— Ty, na padół nie trzęsiesz złotem
Ni groźbami — cóż ludziom potem? —

2.

Ciche zasługi są tak samo
Bez wczesnego gdy schodzą żalu;
— Dziecię woła za piersią: «mamo!»
Lecz ona w mieście jest na balu:
Pierś zapiętą wsparłszy o ramię,
Tanecznika, co uśmiech kłamie.

3.

O! z jakimże wołałem żalem
Na smętarzach twoich, Narodzie:
«Jeruzalem! o Jeruzalem!
Bez strażników i wierzyc grodzie,
Zawsze nie w czas, lub zawsze nie ty
Teleskopowe znasz komety.

MALARZ Z KONIECZNOŚCI.

JA.

Pani — mam mówić z nią o rytmie sił,
Które sprawują planet korowody
Każże mi podać wina — abym pił,
Cukru i wody —
I siądź — na ramię zarzuciwszy szal,
Nieumiejętnie, jak nimfy szal kładą:
Błękitną niechaj on harmonią fal,
Jak z skały spada kaskadą! —
Firankę — sługa niech odrzuci z szyb,
Księżyc potrzebny jest k'temu,
Naczynie szklanne, złotych pełne ryb
Podamy jemu.

ONA.

Owszem, lecz śpiesz się, właśnie bowiem czas,
Gdy Fryzier, Pinettim zwany,
Przyjdzie — a za nim służebnice wraz,
Mnogie przyniosą falbany.

JA.

Pani — mam mówić z nią o głosce: A,
Ile przyniosła ludzkości!? —
Wspomnę co mądrość? a co znaczy łza?
Nadmienię też o miłości:
Siądźże — i włosy swe grzebieniem zbierz,
Gdy ja — przylegnę na progu;
I będę jak do feodalnych wież,
Śpiewał: nieznanej i Bogu. —

ONA.

— Owszem — lecz śpiesz się, oto bowiem kwiat,
Nie będąc na czas zrobiony,
Odmieniać muszę włosów tok i szat,
Wieczór mój! prawie stracony!

JA.

Pani — ołówek pozwól mi wziąść ostry
I ten mój album podręczny;
Z natury zrobię szkic dla mojej siostry,
Będę ci wdzięczny.

WIELKOŚĆ.

1.

Wiesz kto jest wielkim? — posłuchaj mię chwilę,
Nauczę ciebie,
Poznawać wielkość nie tylko w mogile,
W dziejach, lub w niebie.

2.

Wielkim jest człowiek, któremu wystarczy
Pochylić czoła;
Żeby bez włóczni, w ręku i bez tarczy
Zwyciężył zgoła!

3.

Niższym się stawszy, on zawiść poniża,
A zawiść w czwały
Leci i czepia mu znamiona krzyża
Wołając «mały!»

4.

I kłamie sobie, jak kłamała pierwej
Gdy on, z westchnieniem:
Przyjmuje sławę i niesławę, nerwy —
Prawdę, sumieniem.

5.

Ludzie więc chlubią się że wielkich znali
K' temu jedynie;
Iż nie poznają się na wielkim, mali
Pierwej, aż zginie.

6.

Podobnież niedźwiedź, pierw trupa zakopie,
By dobył z trumny:
— — — — — — — — —
— Lecz to w Syberyi, nie zaś w Europie
Bywa rozumnej. —

NA ZAPYTANIE: CZEMU W KONFEDERATCE?
ODPOWIEDŹ.

1.

Kończy się Era starego oręża,
Czas jej ucieka;
Nie człowiek dziś już kuty dla oręża
Oręż, dla człeka.

2.

Za to i rycerz, nie lada gwałtownik
Lecz ów co czeka;
I niekoniecznie atletą pułkownik,
Prędzej kaleka! —

3.

Amarantową włożyłem na skronie
Konfederatkę;
Bo jest to czapka, którą Piast w koronie
Miał za podkładkę.

4.

I nie dbam wcale że już zapomniano
Zkąd ona idzie?
Ani dla czego spospolitowano
Tę rzecz — o! wstydzie. —

5.

A jednak widać że znam klejnot wielki
Rzeczpospolitej;
Skoro przenoszę, po nad wieniec wszelki,
Z baranka wity! —

DO PANNY JÓZEFY, Z KORCZEWA.

1.

Pani-bo jesteś z takiego klasztoru,
Gdzie ścianę z ścianą
Gdy połączano, to cięcie toporu
Za zbrodnię miano.

2.

Podwalin nie ma, bo deptać je trzeba,
Ni schodów wyżej;
Ale poręcze sięgają do nieba,
Poręcze z krzyży!

3.

A okna z łez są, łzy z koronek rosy
Trójbarwnie szklistych;
A zamiast dzwonu powietrzne rozgłosy
Aktów strzelistych. —

4.

A łuki z skrzydeł są serafinowych
W węzły związanych;
I stoją lecąc, lub czekają nowych
Światu nieznanych.

5.

I słońca nie ma tam — ani księżyca
Tylko już świeci;
W obłokach cichych Chostja blado-lica:
Świeci i leci. —

6.

Więc ja na sądny-dzień, pod waszej rąbek
Szaty się schronię —
— — — — — — — — —
A teraz — patrząc, gdzie siada gołąbek
Kulbaczę konie!

DO PANI, NA KORCZEWIE.

1.

Jest sztuka jedna, co jak słońce w niebie
Świeci, nad wiekiem:
Mieć, moc pocieszać — moc zasmucać siebie
A być, człowiekiem!

2.

Trudna — bo Mistrzem jest tylko ten, który
Odszedł daleko:
By kiedyś wrócił na obłokach, z góry,
Światłości rzeką. — —

3.

Uczeń podrzędny — i ja w tej trudności
Udział mój wziąłem,
I nieraz w marmur tnę rzeczywistości
Z Michał-aniołem.

4.

I oto — cieszę się — że jedną ręką
Dotknąwszy tronu,
Czułem, jak wielką trzy-korony męką
Zacnemu łonu!

5.

Gdy drugą ręką nieraz, gnany wiatrem
Łachman, mię witał:
Zkąd w życiu wszystko to co już teatrem,
Jakbym przeczytał!

6.

Dla tego panię, innemi drogami
Tamże zabiegłą,
Spostrzegło serce me, prawie ze łzami
Oko spostrzegło.

7.

Bo suknia Pani jest z tegoż zakonu
Domowej przędzy:
Bogactwo dało ci znać nędzę tronu —
Serce tron nędzy!

8.

I stoi klasztor nasz na podwalinach
Po ludzku Bozkich,
Które po Bozku są ludzkiemi w czynach,
Tradycyi włoskich!

9.

Bo, z starej Padwy i z Bolonji małej,
Z Rzymu ogromów,
Przenieśli Ojce wiecznej odłam skały
W posadę domów.

10

I zbudowali ten gmach gdzie kolumny
Są haraktery;
A każdy sam jest, i że sam, to dumny
Król swojej sfery.

11.

I nie jest szczęsny on jak Serafowie,
Lecz pobłażliwy;
I święty nie jest, bo chełm ma na głowie,
Miecz w ręku krzywy —

12.

I każdy filar tylko jest lennikiem
Bogu praktycznym —
Pilaster każdy jest tylko setnikiem
Ewangielicznym. —

13.

Niewiasta każda, do Saby podobna,
Lub do Debory;
Stopa jej mocna, i ręka mniej drobna —
Umysł nie chory.

14.

Lecz klasztor taki w obłoki nie wzleci
Bo ledwo wstanie;
Wraz go rączkami zatrzymają dzieci
Jak znaną Panię. —

15.

Ta — rąbek sukni tam i owdzie zazarga
Nędznych barłogiem —
— A czasu swego, powie o niej Skarga:
Że żyła z Bogiem.

DO EMIRA ABDEL-KADERA W DAMASZKU.

1.

Współczesnym, zacnym oddać cześć,
To jakby cześć Bożej prawicy;
I sercem dobrą przyjąć wieść,
To jakby duch, łonem dziewicy. —

2.

Więc hołd Emirze przyjm daleki,
Któryś jak puklerz Boży jest;
Niech łzy sieroty, łzy kaleki
Zabłysną Tobie, jakby chrzest.

3.

Bóg jeden rządzi z wieków w wieki,
Nikt nie pomierzył Jego łask:
Chce? — to wyrzuci z ran swych ćwieki,
A gwiazdy w ostróg zmieni blask. —

4.

I nogą w tęczy wstąpi strzemię,
Na walny sądów jadąc dzień;
Bo kto mu niebo dał? — kto ziemię? —
Kto jemu światłość dał? — lub cień? —

5.

A jeźli w łzach gnębionych ludzi,
  A jeźli w dziewic krwi niewinnej,
A jeźli w dziecku co się budzi:
  Ten sam jest Bóg — nie żaden inny. —

6.

To — namiot twój niech będzie szerszy
  Niż Dawidowych cedrów las;
Bo z Krolów-Magów trzech, tyś pierwszy
  Co konia swego dosiadł w czas! —

JOHN BROWN.

John Brown à M. H. L. VAL.

«Autant que j'ai pu en juger dans ma vie, les hommes braves sont le seules desquels ont puisse attendre, qu'ils soient humains envers un ennemi tombé — les lâches prouvent leur courage par leur férocité — Christ, le grand capitaine de la liberté aussi bien que du salut, qui comme il était prédit, commença la mission en la proclamant — Christ, dis-je, a trouvé bon de m'enlever l'épée d'acier que j'aie porté pour un temps, mais il en a mis une autre dans mes mains — l'epée de l'espoir. — A tout prendre, je ne suis nullement désapointé. Je l'ai été beaucoup touchant **moi-même**, pour n'avoir pas été à la hauteur de mes **propres-plans** — mais, maintenent je me sens entièrement soumis, même en cela, car le plan de Dieu était infiniment meilleur sans aucun doute — autrement je ne me serais pas ecarté du mien.»

1.

Jak orły, w klatce zamknięte drucianej
Siadują przez dzień, niewoli pamiętne,
Lecz z świtem, oczy przetwierając smętne,
Do lotu skrzydłem biją w twarde ściany —
Aż uderzywszy, tak, co świt, o kraty,
Pierze im z ramion obite, wiatr niesie,
I każdy, pierzom swym dziwuje się,
Na skrzydłach, krwawe oglądając łaty —

I wraca głowę, ze skrońmi płaskiemi,
Odpoznawając się w klatce, na ziemi! —

2.

Tak, wy! — szlachetni, różnego narodu
Wolności świtów, zamknięci orłowie,
Przed czasem zgaśli, konspiratorowie;
Młodzieńcy w grobach, lub starcy za młodu —
— Zdawałoby się że czasów zakony
Własnymi łamiąc muszkuły i nerwy;
Co potem w dziejach, to czynicie pierwej
Na samych sobie — jak święty — szalony —
Wracając co wiek z oczyma błędnemi
Do odpoznania się — w klatce — na ziemi!

3.

Lecz oto właśnie tam, gdzie wolność sama
Całą się stawa tradycją narodu,
Na wskroś otwartą, z wschodu do zachodu —
Gdzie dzieje nie są jak gmach, lecz jak brama:
Właśnie że owdzie, w Ameryce młodej,
Starzec wiekowi swoim równy wiekiem,
Iż człowieczeństwem dzielił się z człowiekiem,
Krętszy mającym włos, czarne jagody;
Starzec szlachetny — i Mojżesz murzynów,
Głowę swą idzie nieść z głowami synów!

4.

O! — ten na trumnie mu przygotowanej
Siadłszy — z więziennym gdy rozmawia sługą:
Słuchajcie ludy! — bo ubiegnie długo
Nim się buntownik tak umiarkowany
Narodzi światu — nim wódz tak ogromny
I szubienicznik tak arcy-szlachetny —
Tak dzielny starzec, ojciec tak bezdzietny! —
Aż się narodzi taki bezpotomny! —
Że — wasze wszystkie wystawy - arcydzieł
Niewarte jego szubienicy i dzieł! —

5.

Wkrótce już — sędzie sami sobie skłamią,
By gwiazd-dwanaście Ameryki zbladło;
Sprawiedliwości przepęknie źwierciadło —
Na czoło starca kapelusz załamią,
Deskę usuną z pod stopy zdradzonej —
On — rzeknie: amen — i nogi skinieniem
Jak jeździec konia swego, ze strzemieniem,
Odepchnie — cały świat zeźwierzęcony! —
I będzie plamą na słońcu czerwonem
I plamą będzie na oku strwożonem. —

6.

Ah! Waszyngtonów i Kościuszków cienie,
Mężów, co z kończyn obcego narodu
Niańczyć ci przyszli, Ameryko! z młodu,
By nie zwać cudzem, cudze wyzwolenie —.
Czy, patrząc z szczytów gdzie jest źródło wzroku;
Cienie te z czasem nie zmylą się, raczej? —
I wołającym o pomoc, w rozpaczy,
Czarny pokażą sztandar na obłoku —
A ludzie bladzi, stłumieni i cisi,
Rzekną iż: w Brownie Ameryka wisi?

DO WŁADCY RZYMU.

1.

Kiedy się ludów obłok za obłokiem
Zsuwał po biodrach gór — a tajemnica
Była ich wiedzą, i sercem, okiem,
Uragan władzą, z groźnym knutem swym,
Dzieje, jak szczenna na zlężeniu lwica:
    Któż się czuł jeden? — Rzym.

2.

Moce zagarnął wszystkie i chytrości —
Ludy, jak dzika oblizał wilczyca;
Lecz za to pierwszy nie znał wyłączności!
Pierwszy, jak orzeł, po nad światem tym,
Na wszech-podniebiu dał Naród-szlachcica:
On tylko, tylko — Rzym!

3.

Immolujący, jak pontifex-dziejów,
Immolowany, jak dziejów ofiara,
Sam przywilejem stał się przywilejów,
Bo wszystko jego jest — gdy on nie swym: —
Na fundamentach wyryte miał: Wiara —
Pierw, nim był Rzymem — Rzym!

4.

Dla tego, burze te marne przewieją
I same tchnieniem zniosą się powtórnem,
A lampy gorzeć będą, jak gorzeją
U grobu, który światłość dawa im;
Bo, cóż Chrystusa byłoby Koturnem
Ziemskim? — jeźli nie — Rzym!

5.

A ciebie, któryś jest Pańskim-obłokiem,
Nim patryotyzm-chrześciański wzrośnie;
Wilczęta niźli pełnem spojrzą okiem,
Nim gołębięta skrzydłem wioną mdłym;
Serc miliony ugoszczą radośnie,
Jak zmartwychwstały — Rzym!

ŻYDOWIE POLSCY.

1861.

1.

Ty! jesteś w Europie, poważny Narodzie
Żydowski: jak pomnik strzaskany na Wschodzie,
Swoimi gdy złamki wszędzie się rozniesie,
Na każdym hieroglif unosząc odwieczny —
A człowiek północny, w sosnowym gdy lesie
Napotka cię, odbłysk zgaduje słoneczny
Ojczyzny! co kędyś w niebieskim lazurze,
Jak Mojżesz się w wodzie pławiła Nilowej,
I mówi: «Jest wielkim, kto bywał tak w górze
I upadł tak nizko, i milczy jako wy.» —

2.

— Północne my syny z włosami płowemi
Wschodowej historyi, my śnieżne obłoki —
Za kabał granicą, od razu, wprost z ziemi
Patrzący na niebios przybytek wysoki;
Jak Agar synowie, przez kraju istotę,
Jak Sary synowie, przez ojców robotę, —
My pierwej niż inni — my wcale inaczej
Pojrzeliśmy ku wam, bynajmniej z rozpaczy:
Boć herbem gdy z wami szlachetny się łamał,
Krzyż bywał w przełomie tym — i on nie kłamał!

3.

Aż oto, że dzieje pozornie są zamęt
Gdy w gruncie są: siła i ładność szeroka! —
Aż oto, że dzieje są jako testament,
Którego cherubin dogląda z wysoka;
Więc, znowu Machabej na bruku w Warszawie
Nie stanął w dwuznacznej z Polakiem obawie.

— I kiedy mu ludy bogatsze na świecie
Dawały nie krzyże za które się kona,
Lecz z których się błyszczy — cóż? przeniósł on przecie —
Bezbronne jak Dawid wyciągnąć ramiona! —

4.

Poważny narodzie! cześć tobie w tych, którzy
Mongolsko-Czerkieskiej nie zlękli się burzy —
I Boga Mojżeszów bronili wraz z nami
Spojrzeniem rycerskiem, nagiemi piersiami.
Jak starsi w historyi, co ręką na dzicze
Kiwnąwszy z wysoka, wołają: dotrwałem!
«Chorągwi się badam, nie chłopy twe liczę,
Bo kiedyś był nicość, ja mleko już ssałem —
Naturę, znam dawnej! — więc przeklnę wędzidła,
I staniesz na koniu jak pastuch — bez bydła.

Z HORACJUSZA.

1.

Nie złoto, i nie kość słoniowa
Połyskują w zaciszy mojej;
Ni pachnąca belka cedrowa
Na kolumnach z bazaltu stoi.

2.

Ni natrętnym komu dziedzicem
Stałem się, jako człek szczęśliwszy;
Ni posługiwam się szlachcicem
W klienta go pierw zamieniwszy.

3.

Wiarę tylko; lub skrę natchnienia
Od niebios wprost ubogi biera —
Bez łaski, możnych utrudzenia,
Zaściankowa starczy mu sfera.

4.

O! człowiecze, dzień po dniu idzie
I księżyc się z księżycem zmienia;
Gdy ty w grobowej piramidzie
Marmur czerpiesz na twe przedsienia:

5.

Baii morskiej przelękłe fale
Cofnęły się przed twymi plany —
Byś miał kędy zabijać pale,
Sąsiad z progów bywa wygnany!

6.

Po ostatni raz, mąż i żona,
Na ojczyste pojrzawszy łany,
Załamują drżące ramiona
Penaty swe, tuląc w łachmany —

7.

Gdzież nareszcie, właściwszy z gmachów,
Zamieszkacie? nienasyceni!
Ziemi czeluść nie ma dwóch dachów:
Nędzarz czy król? nie ujdą cieni — —

8.

Nie złoto cłem na Styxie wcale!
Ni bystra Prometejów wiedza;
Charon czeka na was, Tantale!
— Cierpiących zaś Charon uprzedza.

GARSTKA PIASKU.

LEGENDA.

«Beati qui nunc fletis quia ridebitis.»
S. LUCAE VI, 21.

PAMIĄTCE

KONSTANTEGO POMIANA LINOWSKIEGO

PUŁKOWNIKA,

który — r. 1807 w ojczyznie urodzony — od 1830 za nią i dla niej żył — a w roku 1858 w Paryżu umarł.

GARSTKA PIASKU.

LEGENDA.

I.

Kiedy byłem smutny, a zdawało mi się że smutek mój do mnie nie należy, poszedłem za miasto wielkie, między czarne cyprysy, na smętarz:

II.

I powiedziałem sobie — «oto pójdę nad brzeg najświeższego grobu, ale się nie zapytam kto ma owdzie spocząć, ażeby mój smutek nie był dla nikogó z tych, których pocieszają albo płaczą: tylko aby był smutkiem człowieka dla człowieka. —

III.

Więc myśląc to, znalazłem się u brzegu jamy głębokiej, a osiwiały grabarz wyrzucał z niej piasek ku drugiemu, który stał wyżej, równie ze mną. — Przez cyprysów kilku gałęzie czarne, widać było słońce zachodzące i wieże miasta dalekiego widać było na krańcu niebios.

IV.

Tedy rozmyślając rzeczy znikome, nie chciałem się pytać o nic onych robotników śmierci, ale pochyliwszy się, zmówiłem pacierz i wziąwszy garść piasku rzekłem sobie: «oto zasypię nią pierwszy smutny list, który mi do bliźniego przyjdzie pisać.» —

V.

A kiedy powróciłem w progi moje, było jakoby na godzinę jedną przed północą, więc wrzuciłem ów piasek w kielich szklanny zegaru piaskowego który stał był pusty przy zapalonej lampie mojej, i siadłem spocząć.

VI.

I oto, skoro zegar ów rozmierzać począł potok biegnących chwil upadkiem piasku, usłyszałem jakoby wyrazów szepty a te rzymskim zdawały mi się brzmieć językiem: «Sit — tibi — terra — levis.»

VII.

I mówił on piasek szepty swemi: «Oto tysiąć osiemset dwadzieścia lat jak kopano tu grób dla popiołów wygnańca, a ten był przywódcą legionu rzymskiego w ojczyznie swojej.» —

VIII.

I oparł się był woli tego, który mówił w rozgniewaniu swojem: «Radbym aby cały rzymski lud miał jedną głowę, którąbym podłożył pod ostrze miecza!»[1]

IX.

Więc, policzywszy lata sprawdziłem iż mowa jest o Cajusie Calliguli i słuchałem co piasek mówił. Ten zaś szeptał wciąż upadkiem pyłów i głosił:

X.

«— Wygnaniec ów rzymski pierwszych lat samotności swej w Gallji zachodził do Lutecyi miasta, które dziś zwie się Paryż i stawając w porcie, patrzyć lubił na płótna żagli, ażali trójkątny latyński żagiel nie zawinie od środziemnego morza?» —

[1] Słowa Cesara Cajusa Calliguli.

XI.

«A następnych lat zbudował sobie dom, senatorskiemu rzymskiemu domowi podobny i siadując u wnijścia z głową jak niewolnik ogoloną, Fedona czytywał, albo jałmużny dając, wskazywał ku południowemu słońcu ręką prawą jak ten, co rozkazy gdy wydaje, przypomina sobie iż niewolnikiem jest — albo jak ten co nie wie która rzecz byłaby sprawiedliwszą: przekląć czy błogosławić.» —

XII.

«I bywało, że z ręką tak w powietrza próżni ku Rzymowi wielkiemu wyciągniętą, widywano go jako posąg u wnijścia domu — a przechodzący tułacz albo ubogi Druid brał z onej ręki upadającą jałmużnę.» —

XIII.

«Ale następnych lat jeszcze, kiedy tablic swych marmurowych ustąpiła historya nikczemności, zaniemówił był wcale ów wygnaniec rzymski i zawołał raz tylko: «podli!» a truciznę wypiwszy zostawił czarę roztrąconą, drzwi rozwarte i dom pełen wielkiego nieporządku.»

XIV.

«Owoż — tysiąc osiemset i dwadzieścia lat temu — mówił piasek — pochowano tu popiół wygnańca tego i wedle rzymskiego obyczaju aby żadna pamiątka nie osmucała ludzi żywych, położono w grób co tylko miał za życia. I czegokolwiek dotknął się był za życia włożono w grób.»

XV.

«Włożono tam i rozbitą nawet czarę, z której truciznę wypił, i kawalerski pierścień rzymski, i rękopisma które czytywał kiedykółwiek, tak aby żadnego wspomnienia cień nie upadł na czyjekolwiek czoło. — A płaczek szlochy bardzo wielkie, a przeklinaniom podobne utyskiwania i lamenty do końca pogrzebnej uczty trwały.»

XVI.

«Ale nie położono tam napisu, któryby zmarłego żywot przypomniał, ani-rodzinnego herbu nie położono na tym grobie, aby przeto konsul jaki rzymski nie potknął się ówdzie kiedykolwiek, albo się ród szlachetny nie powstydził.» —

I domawiając te słowa, poszept piasku ostatnią kruszyną swą z wypróżnionego u góry kielicha zegaru piaskowego opadł a zdawało mi się jakobym słyszał jeszcze, owe wstępne słowa w języku rzymskim: sit — tibi — terra — levis. —

I.

Cóż tedy uczynię z piasku tego garścią? pomyśliłem i na cóż ziemi ją odjąłem! Ażali lepiej jest nie stąpać po ziemi tej, ażeby się boleści nie wzmagały na śladach naszych? — Mogęż wilgotny list rozpaczliwą nicością tą zasypać? Albo mamże garścią tą na wiatr rzucić aby świegocące ptaszki w pielgrzymim ich poście oszukała — mówiąc «oto chleb dawam» a będąc ironią opatrzności!

II.

Oto może lepiej w kościoła progach posypię taką ziemię, aby zwiana była obowiem dziewic świętych, które od gołębic bywają czystsze — a kościelny stróż wraz mię nauczy iż nieprzyzwoitą rzecz zrobiłem. — Zaiste smutny jest ten świat aż do śmierci!

III.

I takowe rzęczy rozmyślając przewróciłem piaskowy zegar na godzinę pierwszą po północy, który, skoro rozmierzać począł potok biegnących chwil upadkiem piasku, usłyszałem znowu jakoby szmer i jakoby wyrazów znanego mi języka, szepty ciche a te zdawały mi się mówić. — «Pax vobiscum — pokój, pokój — niechaj zamieszka z wami. —

IV.

I mówił on piasek szepty swemi: — «Nie dziwuj się. — Zbawiciel palcem swym na piasku pisał, a tobie jest przykro że mogę opowiadać rzeczy zakryte. — Azali z litery nie czytujesz słów przed tysiącem lat skreślonych, o które tysiące lało krew.»

V.

«Jestżeś dziś urodzony który, jeszcze nie wie przez co człowiek się różni od zwierzęcia, a pamięta czem do aniołów był podobnym i uśmiecha się matce, nic nie mówiąc — i piękny jest w nieświadomości swojej, ale nie można zostawić go samego.»

VI.

«— Wiedz, że to przez tradycyę wyróżniony jest majestat człowieka od zwierząt polnych, a ten co od sumienia historyi się oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się.

VII.

«I ci co nie podzielili boleści, ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testamenta żywotów przeszłych, wyklinają się sami na pokolenia nowe od zwycięzkiej prawdy oddalone.» —

VIII.

«Tak iż bywa, że na nowo proroków i na nowo apostołów posełać im trzeba na noże ich, ażeby powrócili w dawny prąd.»

IX.

«Oto lepiej smutku sprawiedliwego nie chroń się, ani myśl, że boleść sprawiedliwa obrazi cię. Oto wiedz iż wziąłeś mię z nowego grobu gdzie spoczął wygnaniec chrześciański.»

X.

«A ten cierpiał lat wiele za ojczyznę i jako obywatel: że bezczynny — i jak rycerz: iż zmieniony był pancerz jego na pokutniczy jakiś strój — i jak pan: że od włości oddalony — i jak ojciec, i jak brat, i jak wszelki człowiek społeczny.

XI.

«Ale właśnie dla tego trwał przy onej horągwi niewidzialnej która jest sumieniem dziejów — i dani mu byli brat za brata, siostra za siostrę, kiedy pięknial od długich bolów cichych, a oblicze jego zachodziło w apostolskiej pogody postać.»

XII.

«Tedy nie pozostawił on dwuznacznego wspomnienia, któreby drugich oszukało, bo był rycerz. Ani umarł nie połączywszy rąk, które mogła waśń rozerwać iż był synem POKOJU.»

XIV.

«Oto raczej między umarłemi nie szukaj go, ale tym co są żywi powiedz prawdę, a grób jego będzie im jako słup graniczny onego to niewidzialnego miasta, którego charaktery ludzi strzegą.»

XIII.

«I to mówiąc dobiegał znów piasek godziny swojej a ja usłyszałem jeszcze poszept — Pax — vobiscum — pokój — pokój niechaj zamieszka z wami — Amen.»

ROZMOWA UMARŁYCH.

BYRON, RAFAEL-SANZIO.

> «L'arte non fa le cose, come le fa la natura; ma come ella le dovrebbe fare.»
> Sztuka nie ma za cel przedstawiania rzeczy jak natura je tworzy; ale raczej jak ona je tworzyć by powinna.
> Słowa Rafaela-Sanzio.

BYRON.

Ja cię znam — bo gdy jeszcze żyłem na planecie,
Nie jedno twe na płótnie spotykałem dziecię —
A myślałem o mojej złotowłosej Adzie. —
Że jak w skrzydła w pieluszki się bieluchne kładzie
I w snu obłok lekkiego wyobraźnię skrywa
I lata w niebie. — Nasza wyobraźnia męzka
W sporze jest z jawem, ich zaś, lubo przed-prawdziwa
I przed-tryumfująca, zgoła przed-zwycięzka —
Lecz jedność ma: albowiem jaw dla niemowlątka,
Myślę że tyle tylko od snu jest odmienny,
Ile prątek, na którym w klatce słowik senny
Spoczął, różnić się może od tej klatki prątka.
To mówiąc ostrzedz muszę ciebie Rafaelu
Że mam dumania nałóg — nałóg monologu,
I bywało — coś zacznę — i znowu bez celu
Puszczam myśl —

RAFAEL.

Po takowym poznaję nałogu
Czem byłeś, a kto byłeś? pytać rzecz nie moja.

5*

BYRON.

Tassa znasz?

RAFAEL.

Danta niemniej. —

BYRON.

Lecz nie znałeś splinu![1] —

RAFAEL.

Włoch jestem. —

BYRON.

Co Helena? wiesz — i wiesz — co Troja? —
I co miłość — z Homera ty plastykę czynu
Musiałeś czuć — jam widział na freskach twych ludzi,
Znoszą się sami — widza żaden nie utrudzi —
Ruszają się. —

RAFAEL.

Grek jest-żeś —

BYRON.

O! jestem — i jestem
Poeta grecki, jakich więcej już nie będzie:
Bo nic nie napisałem — tylko wszystko giestem
Życiem, duchem —

RAFAEL.

Kochałeś! —

BYRON.

A jako łabędzie
Śpiewają raz na życiu, tak i mnie się stało
W Missolunghi! — Ojczyznie mej, za chwałę chwałą
Oddałem — inna z Grecyą ma była umowa:
Kochałem dwie — dla jednej zabrakło mi słowa.

RAFAEL.

Miłość!

BYRON.

A cóż powiedzą o nas? spytam lepiej
Co o mnie? — ty bo jesteś przeszłości Serafiej! —
Ciebie pominą — kto się do ciebie uczepi?

RAFAEL.

Strzelec mylny, czy można zgadnąć w co utrafi?

[1] Splin jest nieznany u ludów południowych.

BYRON.

Świat jest gorzkość —

RAFAEL.

Bóg — miłość; a miłość to czyni
Że się niewinny często za winnego wini
I oto wzajem noszą brzemiona niewłasne —
Zwłaszcza że są szerokie drogi, są i ciasne. —

BYRON.

Któż za mną westchnąć może! Kto ze mną podzieli
To, co na twarzy mojej — patrz ot tak — widzieli
Oko w oko — a potem bluźnili na boku
I wracali i mego znieść nie mogli wzroku —
Iż widziałem, że przyszła umarłych godzina
I że kto prawdę mówi, ten niepokój wszczyna.
Kto zrozumiałym chce być, graniczy z oszczerstwem,
— Boć trzeba zwiększać rzeczy, by rzeczy postrzegli;
Tak bo zarozumiali, a tak mało biegli! —
Kłamstwo zaś grzecznem w skutkach stało się morderstwem,
Morderstwo? — tu przerazisz się mego sumienia
I ja także — — upadkiem na kamień kamienia!
— — — — — — — — — — —
A ty mówisz mi — Miłość? —

RAFAEL.

Czemże ci dowiodę? —
Znasz mnie, z mych dzieł — czy myślisz że jestem poznany?
Spójrz ku ziemi gdzie lata spożywałem młode —
Świat otwierając świętej czystych form-hozanny! —
Patrzeć ucząc po nad wzrok, który jak kałuża
Słońce gotów by odbić i oka nie zmruża,
Ale jest w sobie brudny i wiernie-bezczelny,
Szczerze-płaski, jak pamflet tak zły jak czytelny.
Patrz, mówię, ku tej ziemi, której me źrenice
Oddałem, ja Rafael — której w Pańskie Imię
Podbiłem Olymp stary, Muzy zalotnice,
Nimfy, Gracje, zebrałem w przed-chrześćjańskim Rzymie
I przeszedłem — a zbożnej piękności zenitem
Przeszedłem: i nie żadną klątwą Inkwizycyi,

Zwycięztwem tylko — tylko swobodnym przekwitem,
Jak Kolumb świat odkryłem ufając tradycyi.
Herkula moc w ramieniu, Apolla moc w wdzięku
Zwyciężywszy, jak dziecię pogańskie na ręku
Zaniosłem k'źródłu, które prawdy jest źwierciadłem
I pochrzciłem — i Sfinksa z uśmiechem odgadłem.
Patrz-że mówię ku ziemi — oh! czy mnie poznali?
Patrz — oto najprzód głowę przyznawszy mi cudzą [2]
Szukają potem głów gdzie dobierałem — mali!
I dziewcząt Rzymskich popiół po grobowcach budzą.
Mali!! — zaprawdę mali! oni by gotowi
Za całą wartość piętę dać Achillesowi —
Ale jak piersi jego stawiły się grotom?
Zwierzyć to objaśnieniom, przypiskom i notom —
Lecz błąd mój ani wiedzą co w nich uwydatni:
Wielcy! w prywatnych rzeczach; w publicznych? — prywatni!

BYRON.

Zapomniałeś na chwilę, żeś jest Rafaelem:
Mówisz jak Byron. —

RAFAEL.

— Powiedz, że: mówim i dzielem
Przez Miłość: a to cel mój był — i jest ostatni —

BYRON.

Czemuż — więc miłość ludziom tak błoga i sprzeczna?
Że niż do ciebie doszli, ty wychodzisz z siebie
Dla mnie? — a oni! — oni! —

[2] Przez wieków dość, bo aż do panowania zeszłego papieża pokazywano w akademii S° Łukasza w Rzymie czaszkę bardzo piękną, jako czaszkę Rafaela-Sanzio uważaną; gdy jednak za pontyfikatu zeszłego Ojca S° otworzony był grób Rafaela w pantheonie z przyczyny, iż Tybru wylewy zachodziły aż tam, i zepsować go mogły, pokazało się, że ona czaszka w Akademii S° Łukasza odwiedzana przez wieków parę, nie była wcale czaszką Rafaela! Myślę, że wystarczający to jest dowód o ile nie trzeba ufać pewnym anegdotom historycznym, lub mając zaufać onym, dobrze jest pierwej do bezpośrednich źródeł zstąpić. Historja jako umiejętność samoistna jest-to jeszcze bardzo młodziuteczkie dziecko, wieku prawie jednego nieliczące i lubi się bawić różnemi wokabułami jak naprzykład następujące wokabuły: Rafael, Fornarina, Beatrice, Magnatyzm, Jezuityzm, etc. —

RAFAEL.

— Nie bywają w niebie. —

BYRON.

Miłość zaś byważ u nich?

RAFAEL.

— Bywa — lecz jest wieczna!

BRANSOLETKA,

LEGENDA DZIEWIĘTNASTEGO WIEKU.

DO A. Z. — DEDYKACYA.

Ileż to razy? dobry mój Antoni
Z mężem poważnym chodziłem pod ramię,
W mieście, którego lew i lilja broni,
A Danta szukasz czy nie spotkasz w bramie:
Sztuka tam, pomnisz od Religii idzie,
Jako posłane na przechadzkę dziecko,
A pospolita rzecz — o! czasów wstydzie —
Z murów wygląda święcie i szlachecko!

Ileż to razy więc, w Florencyi onej
Pamiętasz, szliśmy, rzeczy mówiąc pewne,
Ktore nie mają treści naznaczonej,
A jednak całe są i długo rzewne.
Nie zapodziewa ich wola człowieka
Ni czas — lecz owszem odpomnień są skłonne
I myśl dosnuwa je, lub dosnuć czeka,
I brzmią w powietrzu jak znane podzwonne.

Takim to treściom na pamiątkę szlę ci
Dziewiętnastego wieku tę legendę;
Starszych niech zbudzi, ukołysze dzieci,
A szczęśliw będę — — — — — — — —

C. N.

I.

— Poważny ów przyjaciel mój stał przy mnie w oświeconym z lekka, ośmiokątnym salonie, kędy muzykę zdala słychać było i szelest świeżych szat niewieścich.

A do pół widny obraz stary wisiał przed nami, wyobrażający jako Zbawiciel łamie chleb, między dwoma siedząc uczniami

w gospodzie przydrożnej. — Podobny temu jest obraz z pod Rembrantowskiego pędzla wyszły — ten wszelako czyli kopią czyli oryginalnym był utworem? nie zastanawiałem się.

Ja milczałem, on mówił, iż życiem znał świat i znał ludzi i znał osóby, a żywotem i wiekiem znał człowieka i prawdę. A mówił mi właśnie o istocie czynu odważnego, który niedawno miejsce miał i ztąd przyszło cieszyć się rozmową o wielkich pięknościach prawdy żywej i jako bogatym jest dramatem życie tego lichego zlepka, który doczesny jest co chwila, a wieczny zawsze.

I kiedy rozmowa tak się miała, usłyszeliśmy po za nami jedbawiów szelest i wstążek wiew, a wachlarz musnął po powietrzu w stronę naszą od rąk pięknej osoby, wieku mniej niż średniego. Ta zaś, jakoby myląc się, wbiegła do mdło oświeconego salonu gdzie z nim mówiłem — za nią inne też damy strojne i mężczyzni zjawili się — i przebiegło to wszystko drzwiami drugiemi jakoby nas nie widząc.

Skoro zaś poglądałem za nią, albowiem była piękną i giest miała wielce szlachetny — on rzekł mi, bynajmniej nie robiąc tajemnicy «to jest Eulalja» a ja czekałem dalszych słów ufając wiadomości jego i dałem to uczuć że czekałem, ciekawym będąc kto jest taka piękna osoba?

«Jest to Barbara herbu strzemię dodał — a ja milczałem jeszcze uporniej — on zaś mówił:

«Imię Barbary świętej wniosła ona była na świat, ale że pod owe czasy romans był sławny do którego Eulalji nazwę Autor przywiązał — ten romans w listach był — romanse w listach pisywano dawniej stylem wybornym.»

To kiedy on mówił i coś więcej, czego dosłyszeć trudno było, muzyka zabrzmiała bardzo hucznie, ja zaś rzuciłem okiem w drzwi gdzie jako piękne fale słońcem zachodniem oświecone widać było tańczących i tańczące.

I nie taiłem wcale, owszem powiedziałem mu: szukam Eulalji, ażeby przypatrzyć się lepiej tak pięknej osobie. — A on jakoby ciągnąc dalej niczem nieprzerwane opowiadanie: «Edgarda, rzecze — «albowiem kiedy bierzmowania przyszedł czas i obchód, wzięła imię Edgardy dla owego Edgarda herbu strzała, który to jest bardzo znanym młodzieńcem — Barbara

zatem, rzecze, jest niezawodnie jedną z najpiękniejszych i najmilszych w stolicy osób.»

I dotknąwszy ramienia mego poprowadził mię ku drzwiom a przy ramie ich marmurowej wyginało się złocenie krzesła na którym spoczeła Eulalja, odczepiając więdnący kwiat czerwonego lauru od piersi swoich.

Skoro zaś powiedział jej nazwisko moje, skłoniłem się lekko i mówiliśmy.

A rozmowa była: że tak świetnej i hucznej zabawy zaprawdę przez cały karnawału ciąg nikt nie widział — lecz to właśnie dla tego wydarzyło się iż post się zbliżał. —

Wszakże ile należy w rozmowie pierwszej, mówiłem dosyć z Eulalją, a kiedy Edgar zbliżywszy się dorzucił słowa swoje, doczekałem zamknięcia treści i ustąpiłem.

I nie myśląc nic, wszedłem do onego mdło oświeconego ośmiokątnego salonu — poprawny pisarz nazwał by go komnatą — w salonie tym czy komnacie tej usiadłem, na obraz patrząc Rembrantowskiego stylu i rozmyślałem o udatności światło-cienia, tudzież o tem jako on potoczny że nie powiem gminny; wyraz twarzy pewnego podróżnego, chleby łamiącego, przemienia się i chrystusowieje. — A potem owe rzeczy które właśnie mówiłem z Eulalją przyszły mi na pamięć i że kończy się właśnie karnawał hucznie, gdyż post zbliża się.

Lecz nie zaniedbałem wcale i to w pamięci mieć wkreślone że osoba której przedstawiony byłem zowie się — i tu powielekroć zmięszały się nagle wszystkie wrażenia moje.

Aż wyjaśniłem sobie stanowczo iż przez chrzest święty dla romansu w czasie narodzenia się jej popularnego, jest ona Eulalją a przez sakrament bierzmowania dla Edgarda herbu Strzała Edgardą i że na dzień Barbary świętej na świat ten przyszła osoba tyle piękna, a którąby więc w innym względzie po prostu Barbarą nazywano.

Potem iż post — czyli czas sakramentu pokuty — zbliża się myślałem; tudzież jako karnawał zamyka się — a myśląc tak, było już jakoby dobrze po północy i mieć się zaczynało ku porankowi. —

I patrząc na ów Rembrantowski pendzel, rozważałem o światło-cieniu sztuce, albowiem powiedzieć by można bez wa-

chania się, iż do Rembrandta nikt, nawet i Rafael sam nie znał światła. —. Linję znał Rafael jako nikt nigdy nie znał i nie pozna jej — ale światło jego jest światłem wcale bezżywotnem. Rembrandt zaś odkrył i objawił głęboką światła tkliwość i mistyczną logikę.

A to myśląc, było niewiele już do pierwszych zarania chwil, więc wyszedłem i chłód mię objął, na skroniach wrażliwie czuć się dając i otrzeźwiając oczy moje — a ja szedłem. —

II.

I kiedy tak szedłem to przez schody szerokie tam i owdzie, to znowu przez sień marmurem w czarne i białe słaną kwadraty; pusto było do koła i coraz mniej muzykę słyszeć mogłem a raz poraz niecierpliwego konia stąpanie i poklask podkowy o bruk słyszeć się dawały od dziedzińca.

Gwiazd ostatnich spojrzenia blade zagasały, ale widoczne były jeszcze, gdzie nie przykrył je obłok, długi, szary, bardzo na niebiosach obwiśnięty jako dzikiego gołębia bywają skrzydła. —

Służący jeden przeszedł wolno koło mnie, niosąc świecznik z zagaszonemi świecami, a niektóre złamane były. —

Przekleństwo jedne zniecierpliwionego woźnicy doleciało mię — — szedłem w ulicę. — I idąc, kiedy spojrzeć chciałem na zegarek mój która godzina? — zatrzymałem się, a oto u obuwia mego spostrzegłem leżącą bransoletkę, która złotym kołem świeciła się jak owe koła złote nad skroniami świętych w sztuce bywają używane — więc podnosząc przedmiot, pomyślałem: «któraż święta zgubiła chwałę swoją? —

Poczem zobaczywszy iż była prawie piąta godzina z rana, uważać począłem przedmiot znaleziony.

Dwa złote rogi-obfitości bodźcami swemi na zawiasę związane, czyniły dwa półkola bransoletki, a paszcze rogów onych, jako paszcze potworów dzierżyły djamentowemi zębami tarcze dwie. —

I tarcze te zamykały się i był na jednej Edgar, a na drugiej napis Eulalja. Więc nie miałem uczucia ciekawości czyją znalazłem zgubę i szedłem ulicą pustą a stawało się widno.

Dwukolny wóz jeden ogrodnika na targ jadącego, przeszedł do pół ulicy i obrócił się w stronę przeciwną.

Z gasnącą latarką i długim hakiem w ręku szedł kilkoletni śmieciarz a opadál stał kosz jego niepełny — hak był sporszy od wieku i sił chłopca a chłopiec blade miał oblicze, jako kamienie bruku wapienne po których szedłem.

Ulicę tę całą przemierzyłem krokami memi i zamknięte widząc gospody wszystkie, pomyślałem — oto przejdę na lewo około ogrodu zamożnego jednego obywatela, którego znałem i lubiłem bo był poetą. Będzie mi przyjemnie opodal siedziby miłego człowieka przechadzać się, aż godzina śniadania w mieście się zbliży.

I tak uczyniłem — ale szedłem bez nakreślonego ściśle planu — owszem drogą obłędną i zaułkami mało uczęszczanemi.

A tam gdzie murów starych resztki z niepodokończanych uroszczeń współczesnej architektury wyglądają — a tam gdzie uliczka wązka ma być na szerszą przemieniona, usłyszałem dzwonek raz po razu odzywający się i zobaczyłem dwie służebne z koszami w ręku podążające w stronę, zkąd dzwonek brzmiał. I zobaczyłem po chwili purpurowy niegdyś baldahim w kształcie kardynalskiego parasola resztką złocenia świecący — pod nim szedł w komży białej proboszcz i niósł Eucharystię do chorego — parę osób uklękło i ja uklękłem — szliśmy w stronę Bożą. —

A pod onym niegdyś purpurowym baldahimem najświętsza z dotykalnych i niedotykalnych na świecie rzeczy i istot, kruszyna obecności Bożej, szła w gwiaździe srebrnej, płótnem obwiniętej czystem, jakoby tam był pochód króla wygnanego i ostatniego jakiego z panujących — albowiem purpury resztka i złoceń resztka i poczet idących lichy był.

I tak idąc niewiele drogi, weszliśmy do bardzo nizkiej sieni gdzie niewiasta z gminu, silna acz wieku podeszłego, wyszedłszy na spotkanie, klękła — potem obnażoną po łokieć ręką otarła łzy i wychyliła się z nami do izdebki, mającej podziemia podobieństwo ale utrzymanej czystó. A było to jak poznałem zaraz mieszkanie śmieciarza miejskiego i ojca onego pacholęcia, które spotkałem był niewiele czasu przed tem z za wielkim hakiem i koszem na lata jego. —

Tedy uwielbiwszy Boga i domówiwszy litanii, miejsce

miał obrzęd Sakramentu ostatniego olejem świętym namaszczenia, poczem zbliżyłem się do łoża chorego, który zwątpił dla Boga, bo jakoby myślał iż wstanie z łoża swego i widziałem że mówić chciał, ale sił nie mając, uśmiechnął się i zasnął. — Żona onego wyszła za mną a kiedy około jałmużny coś nadpowiedziałem, mówiła mi że rzemiosło zaprawdę nizkie jest, wszelako przy zdrowiu i pracy wcale im starczy. I było mi przykro, iż jakkolwiek zręcznie do onej jałmużny brałem się, uprzedzono mię i pomyślałem. —

A dobywszy z kieszeni bransoletkę w nocy znalezioną, rzekłem: «oto mąż wasz znalazłby był dziś rano tę rzecz złotą, gdyby był zdrów, więc dowiedzcie się w mieście czyjaby była? i oddajcie.» Poczem wyszedłem.

Ale o czem myślałem! Bóg to wie! a kroki niosły mię po bruku ozłacanym gdzieniegdzie wynurzającemi się z chmur promieniami słońca rannego. Zwolna zwolna, znalazłem się potem i w miejscu zkąd zboczyłem był za księdzem, wszakże poszedłem dalej.

Ogród był po mojej prawej ręce, a chodnik kamieniem równym słany szedł przy kratach tego ogrodu i kończył się u niewielkiej furty; tam gdy dochodziłem, znajomy mój miły zawołał na mnie po imieniu i obróciłem się, bardzo zadowolony!

On zaś w rannem ubraniu swoim stał u furty jak, gdyby przechadzał się w ogrodzie i powracał śniadać do domu; miał w ręku kartki zapisane notatkami, bo był poetą.

Tedy poszedłem śniadać z nim, błogosławiąc kraj gdzie o tej roku porze tak jeszcze pięknie bywa i tłomaczyłem się iż w ubraniu balowym o tak rannej dobie widzi mię, dodając iż niemniej rano czuwać zaczyna. — Ale on pokazał mi karteczki i o Jutrzence piękne wyrazy dodał — a potem kilka smutnych słów uronił iż sen nie służy mu — a potem rzekł — «poetą nie jesteś — więc nie wiesz tego» a ja piłem herbatę mówiąc: jest że się poetą czyli raczej tylko bywa się? —

On zaś począł mi dziwnie piękne wiersze czytać, których słuchałem upojony, tem więcej iż były o miłości kobiety płochej; a skoro zachwycenie prawdziwe w oczach mych spostrzegł, zgniótł one karteczki i już cóś miał dopowiedzieć — gdy w liberyi sutej jeden z służących jego wszedł.

KRAKUS

KSIĄŻE NIEZNANY.

TRAGEDYA.

DO KRYTYKÓW.

Krytycy dzisiejsi są zarazem bardzo niepospolitą i bardzo małą rzeczą — niepospolitą, jako trybunowie, poręczyciele i wyręczyciele publiczności, a mianowicie tej, która zarówno ma szlachetną potrzebę bycia nieobcą sprawie literatury, jak nie lubi sama się znajomością warunków literatury zajmować. Są to więc jakoby rezonujący lektorowie i klienci, zamieniający czytelników na słuchaczy i wyręczający jeszcze słuchaczy onych w pracy ocenienia tego co im czytane było. Z tego to względu, jako względu który krytyków okazuje iż są łączliwym organem publiczności, z tego mówię względu są oni wielce niepospolitą rzeczą. Z drugiego zaś względu, to jest gdyby żądało się od nich stanowszego utwierdzeń krytyki objaśnienia; pokazaliby się ciż sami jak bardzo są maleńcy i niepewni własnej ich sprawy! I tak, np: to, co podają oni za definicję tragedyi starożytnej, jest tylko po prostu znajomością warunków rozkładu tragedyi, ale bynajmniej odpowiedzią na pytanie zarówno szanowne jak nie akademickie, czyli na pytanie «co to jest tragedya? — Co do mnie, mniemam, iż tragedya jest to uwidomienie fatalności historycznej, albo socjalnej, narodowi albo wiekowi jakowemu wyłącznie właściwej — a przeto, zważając ją tak, to jest jako pomoenicą w postępie moralności i prawdy pracę, nie dziwi mię bynajmniej iż tragedya mieć mogła i musiała powagę nieledwie obrządkową. Krytycy dzisiejsi, wyzuwszy się z tej prostotliwej potoczności, że nie powiem chrześciańskości, która dozwala człowiekowi na bezpośrednie zapytania odpowiadać, szwankują

bardzo w onej pierwszej wielkiej ich zalecie stręczenia i pośredniczenia pomiędzy utworami literatury a czytelnictwem — możnaby albowiem myśleć, iż zachowują sobie oni pełnomocnictwo dorywczego a ustawicznego przeglądarstwa i cenzorstwa kosztem właśnie czytelników, którym nigdy zasady i prawdy główne sztuki zbliżane nie są, zawsze tylko utwory pojedyńcze i reputacje osób, które takowym dały byt! — Jak dalece autorom łatwo jest być wzniesionym po nad praktyki owe? to, bardzo stanowczą, przez niedługie chwile cierpliwości, zyskać można na to opowiedź; z powodu, iż, najdalej w przeciągu dwóch lat zazwyczaj krytyki takowe tegoż samego pióra temże samem piórem przez nieustanne sprzeczności same znoszą się i czas tylko stracony lub imiona tylko kosztem onegoż zyskane, pozostają. Praca ta stręczeń, bo właściwą krytyką zwać ją trudno, podobna jest do zachodów człowieka, któryby w tem się tylko omylił, iż bierze część za całość, to jést, iż np: gimnastykę radzi, aby za całą medycynę uważano, co wszelako nie w każdej warstwie społeczeństwa mogłoby być uznane. Do uwag tych, okazujących jakie pojęcie tragedyi za właściwe przyjmuję? dołączyć jeszcze powinieniem że bezpośredniego morału nie uważam jako obowiązujący dramaturga, i konieczny warunek — i że, rozbratnienie rodzeństwa w niniejszej tragedyi, przedstawione jest tylko nieuniknionym samejże legendy wynikiem, nie zaś główną pisarza myślą, który za pierwotną niniejszego Misterjum nazwę, chciał położyć: Krakus, czyli wyścigi. —

C. N.

KRAKUS

KSIĄŻE NIEZNANY.

TRAGEDYA.

OSOBY.

PUSTELNIK.
LILJAN, uczeń jego.
KRAKUS, Książe na Krakowie.
RAKUZ, brat jego.
SZOŁOM, pisarz koronny czyli Runnik.
KIEMPE, wódz Skandynawski.
GRODNY, sługa zamkowy.
PŁATNERZ.
Chóry grodnych i kmietów.

OSOBY FANTASTYCZNE:

ŹRÓDŁO.
ZORZA.
PRÓG.

I.

(Wnętrze pustelni w okolicach Karpat.)

STARZEC.

Dzień mię odpycha a noc mię woła,
Czuję — że długo tu nie zabawię:
Zostawię tobie świecę — gęśl — zioła —
Świecę, gęśl, zioła tobie zostawię.
Ostatnie słowo, gdy przyjdzie chwila
Tchnę ci na czoło twe jak motyla:
Człek bierze z ciągu rzeczy zadatek,
Acz siłę brania przynosi z sobą
Początek nie nasz, ani ostatek!
Ostatnie słowo z ostatnią dobą! —

Ostatnie słowo — mój Lillianie
Choćby mi głosu już nie starczyło.
Pokażę tobie palcem na ścianie
I nie zrozumiesz — lecz powiesz «było»
I nieme pomnieć będziesz kazanie,
Chodząc jak senny z palcem na czole;
Aż w myśli tobie wyraźnie stanie
Jakoby duchem — i dasz mu wolę
Sam przyobleczesz pewności ciałem;
I rzekniesz głośno to, co rzec chciałem!

Byli tu nie raz, byli tu przecię,
Ci, co mądrości szukają w świecie.
Na jesionowym tym jadłem stole
Z mężem, co dla niej znosił i bole —

Het! — z za wielkiego przybyłym morza,
Gdzie chmur na niebie nie ma bynajmniej,
A w gwiazdach ręka pisuje Boża.
Gór tam jest sporo — a ziół jest najmniej.
Był tu i z Azjej mędrzec koronny,
Człowiek słodyczy wielkiej i ładu —
I rycerz co się urodził konny,
Pokryty łuską jak piersi gadu.
Królowa jedna w progi tej chaty,
Jak zachodzące słońce czerwono,
Rękoma ciężkie niosąc szkarłaty,
Wchodziła z swoją złotą koroną;
A chłopiec za nią idąc służebny,
Niósł jeszcze drugi płaszcz, niepotrzebny!

LILJAN.

Ojcze! — dwóch mężów właśnie w tej chwili
Słyszę, jakoście słuchać uczyli:
Z bioder się mieczów dwa im kołysze. —

STARZEC.

Synu! — uczyłem się słyszeć ciszę.
Synu — kto ciszę słyszał aż do dna
Temu i trumna bywa wygodna;
Ale jest nocna cisza i dzienna,
Jest dno mająca i jest bezdenna. —
A o tej drugiej rzecz zbyt zawiła;
Co nie dopowiem, powie mogiła.

LILJAN.

Ojcze! po suchym listku olszyny
Niechby się pająk przetoczył siny —
Słuchem —
Duchem —
Szlaki jego zwietrzę:
I rzeczy przyszłych bladawe świty,
Nim na odległe wpłyną zenity
Mgnieniem —
Tchnieniem —
Wchłonę jak powietrze.

STARZEC.

Synu — zmysł młody i ochroniony,
Użyty dobrze zaraz z powicia,
Droższy jest niźli wszystkie miliony —
A jednak któżby znał to za życia,
Gdyby mu inny w czemś umorzony
Takowej wiedzy skąpił odkrycia?
A przeto zmarli, a przeto zeszli
Nie są to jacyś co ich nie było;
Nie ma ni może kiedyś być — jeźli
I własną przez nich rozrządzasz siłą,
Rzecz ta, wszelako zbyt jest zawiła
Co nie dopowiem, powie mogiła —

LILJAN.

Mistrzu — na oko mężów już obu
Widzę — bez twego patrząc sposobu —
Jeden się z drugim wadzi po drodze —
Są królewice, bracia i wodze:
Ani za łosiem gnali w te lasy,
Po żebrach koni krwawiąc obcasy;
Ani zbłąkali się i chcą cienia,
Ani im woda ujmie pragnienia —

STARZEC.

Zgadobliwością zabiedz im drogę,
Ni poznać czemu idą, nie mogę:
Starcowi nie raz niższych sił zbywa;
Dzień mię odbiega a noc mię wzywa —
Odbiega dzień mię a noc mię woła,
Czuję — że długo już nie zabawię —
Zostawię tobie: świecę, gęśl, zioła,
Świecę, gęśl, zioła, tobie zostawię.

LILJAN.

Przyszli — i stoją —

STARZEC.

Wołaj rycerzy —

LILJAN.

Chodźcie mężowie! staruszek leży —

RAKUS, wchodząc.

Na pocisk procy, przed domu progiem
Nieco się wstrzymać, jest rzecz godziwa;
Do grodu, zwykłem słać chłopca z rogiem
Co trąbiąc, imię moje nazywa —
Trąbienia sztukę zna jako mowę
Tak, że się straże dziwią grodowe:
Panny, z lipowych patrzają alej
A ja mu kiwam: trąb waszeć dalej —
Tego, brat Krakus, jakby sosenkę
Z rozkutym koniem zostawił w boru —
Dobrze, że Ojcze, nie macie dworu —
Przyszłoby wjazd nasz otrąbić w rękę —
Książe brat Krakus gwoździmi złotemi,
Gdzie konia ruszy, sieje po ziemi:
A ja mam zwyczaj że koń pierw legnie,
Nim się co na nim złamie lub zegnie.

KRAKUS.

Wstydzisz mię bracie —

RAKUS.

Sprawiam się raczej,
Jak gdy kto naprzód wyszle tłomaczy
Cóż-bo osoba może sędziwa
Mniemać — gdy z jednym koniem i sługą
Dwóch wchodzi książąt: —

STARZEC, przerywając.

Nie raz to bywa
Będzie, bywało i potrwa długo —
(do Krakusa)
Książe Krakusie, słowy swojemi
Rzeknijcie za się niebu i ziemi

KRAKUS.

Synowie Króla jesteśmy z grodu,
Gdzie pierwej cudna władnęła Pani,
Przez którą Niemce są odegnani —
Lecz czar się przeniósł w serce narodu
I pod czterema zamku węgłami
Smok jamę czarną wykopał kłami.

Z tym Ojciec boje ustawne zwodzi,
Jak z nawałnicą leżący w łodzi.
I nie raz w okna gdzie starzec drzymie,
Po głazach skrzele wplusną olbrzymie,
Jakoby bluszczu zielona struga:
Skosisz ją — drzwiami podpłynie druga.
Tak co noc! — pokąd jeden z oszczepem,
A drugi z kutym stoi pół-cepem
Przy drzwiach — u okien ciosowej ramy
Sto jasnych włóczni na czole bramy;
Sto drugie pókąd w odwodzie mamy,
Do póty żywot pędzimy taki
Jak w strzelca domu zalęgłe ptaki.
Już każdej z komnat drzwi, okna, progi
Posoką gadu spluskane czernią,
A jeszcze żyje on rdzenio-wrogi
I człony jego wciąż się bezmiernią —
I końca nie ma temu gadowi
Aż ramie w bezwład opadać musi,
Aż z wiorów trupa zgnilizna dusi,
A nie ma końca temu smokowi! —

STARZEC.

Któż z was był rajcą, by szukać rady?

RAKUZ.

Ja pierwszy byłem!

KRAKUS.

— A jam opieszał

RAKUZ.

Naglić musiałem żeby pośpieszał

STARZEC.

Nie będzie gadem kto zetrze gady,
Gadem nie będzie kto gady zetrze —
Sprawa ta stała się już daleko
Za gorą siódmą, za siódmą rzeką,
A tu nawiewa z owąd powietrze,
A tu się tylko ostatki wleką.
Dziewicy nogą w ziemi dalekiej
Smokowi głowę starto pierwotną;

To zaś jest tylko odrośl kaleki:
Jeźli już gnije skoro go potną,
Jeźli, gdy mieczem odwalisz sporo,
Nowe się gady z niego nie biorą.
Byli tu tacy — byli tu przecie
Ci, co mądrości szukają w świecie:
Na jesionowym tym jadłem stole
Z mężem, co dla niej znosił i bole
Het! z za wielkiego przybyłym morza:
Ten, sprawę Węża na pamięć umiał
I znał co ręka z nim czyni Boża:
Słuchałem długo — ażem się zdumiał!
Długo słuchałem tego pielgrzyma!
Co jabłoń owdzie posadził złotą;
Gdzie łucznik konia waszego trzyma.
Tę mówię jabłoń posadził oto,
Błogosławieństwa znak kładąc na niej —
A odtąd co rok owoce niesie,
Wonność po całym rozlewa lesie;
Ptastwo ją mija, robak nie rani —
Nie będzie gadem, kto niszczy gady,
Gadem nie będzie kto gady niszczy —
Smok pierwszy runął i zionął jady,
I to się jeszcze pryszczy a pryszczy.
Książęta, jedźcie za siódmą skałę,
Gdzie leżą śniegi na Tatrach białe:
Za siódmą skałą najdzie się struga,
Co między głazy promieniem mruga,
A potem w rzeki urasta żyłę —
Wodę z niej hełmem kto pił miedzianym,
Bywał mu z wodą i sposób zlanym;
Zdobywał fortel, zyskiwał siłę
Przeciwko smokom odwylęganym.
Lubo jest rzadki, co fortel z siłą
W doraźną umiał zamienić wolę,
Zawsze się jedno z drugiem wadziło:
Mówiłbym dłużej, lecz cierpię bole —
Dzień mię odbiega, a noc mię woła.

Lilian niech wam będzie gościnnym
Zostawię po mnie świecę, gęśl, zioła —
Świecę, gęśl, zioła: zostawię innym —
(Głosem cichszym.)
Książęta jedźcie za siódmą skałę,
Gdzie śniegi leżą na Tatrach białe —

RAKUZ.

Strugi jak pytać? i pytać kogo?

STARZEC.

Cel drogi bywa z skończoną drogą,
Grotem się włócznia zazwyczaj kończy,
Wrębem się kończą brzegi opończy:
Człek nie wie, mówiąc o tem i owem,
Że słów granice są jeszcze słowem.

LILJAN.

Książęta jedźcie sa siódmą skałę,
Za siódmą skałę, gdzie śniegi białe —
(Książęta wychodzą. LILJAN, do pustelnika.)
Mężowie wyszli, wadząc się z sobą.

STARZEC.

Gdzie zwada braci zdwoi rodzonych,
Nie kwap się trzecią stawać osobą:
Osobą trzecią braci zwaśnionych
Milczenie najprzód bywa — a potem
Służalec, człowiek kupiony złotem;
By zaprzestawszy swego istnienia,
Dla powaśnionych był zejściem gniewu —
Ten, gdyby zbywał, będą kląć drzewu,
Lub z przydrożnego szydzić kamienia.
Aż gniew, który jest właśnie że owem
Zapowietrzeniem po-jaszczurowem,
Wyrozpoznawa się i wypienia!
(Po chwili.)
— Zmierzyłem ja ich tą siódmą skałą!
Dni siedm, niech błądzą zdala od domu,
By co jest marą, snem się wydało:
A Bóg da resztę — jak będzie komu! —

II.

(Głęboka puszcza — noc.)

RAKUZ.

Trębacza w lesie z rozkowanym koniem
Zostawić przyszło — dobrze! — Za nim w ślady
Łucznika — dobrze! — A teraz mój gniady —
Dla mnie —

(Siadając na koń.)

Nie dzielę się już pod-ogoniem:
Braterstwa lękam się równie jak zdrady.

KRAKUS.

Zdrady? o! bracie gdzież zdrada być może
Tak wiele razy dzieliliśmy łoże,
Jedną okryci burką noce całe
Po łowach, w dęby tuląc się spruchniałe —
A dziś przypadku małego zrządzeniem,
Może nam chwilę przyjdzie czekać jedną —
Zostań! — za pierwszem puszcze cię trąbieniem.
Mroki się szerzą, ale drzewa rzedną.
Rakuzie! podziel się oto siedzeniem,
Lub zstąp, i Bogom razem zrób obiaty —
Koń, odpocząwszy, łacniej dwóch uniesie:
Przymknę do siodła, do kraju twej szaty
Jako jesienny liść — i mało szerzej
Zabiorę miejsca, niż ile płaszcz leży —

RAKUZ.

Naród mię czeka, ojciec stary czeka —
Obiaty Bogom spraw i ruszaj pieszo!
Brat się tu wcale brata nie wyrzeka,
Losy się tylko więcej od nas śpieszą:
Złość smoka może wywrzeć się na massy —
Poświęć się bracie — i bądź zdrów. Niech Bogi
Odmienią losy, niech odmienią czasy —

(Zawraca koniem.)

KRAKUS.

Bracie! co czynisz? — krew! —

RAKUZ.

To nic — ostrogi —

KRAKUS.

— Ostrogą usta i serce mi skrwawił!
A teraz jestem jak zdeptane zioło,
Bez chleba kromki — w puszczy mię zostawił —
Zdeptane zioło z wstydem wznoszę czoło.
Ciemno a ciemno w koło — i nikczemno —
Gdziekolwiek spojrzeć ciemno na około.
Rozbrat, którego nie wiem co pojedna?
I węzeł który nie wiem co rozłamie? —
Żeby choć jedno serce było ze mną! —
Żeby choć ręka jedna,
Żeby choć jedno ramię
Było ze mną! —

(Postępując dalej.)

Do świtu teraz hukać się nie ważę
Ni pacholęcia wołać po imieniu —
Nixy chcą ciszy — Nixów nie obrażę
By na wstrzymanym usiadłszy promieniu,
Jak pająk pieśnią z prostej zbity drogi,
Groziły milczkiem — nie obrażę Bogi,
Korowodami szłapiące jak straże,
W szerokich wieńcach paproci zębatej —
Do świtu wołać chłopca się nie ważę:

(Wstrzymując się.)

Jeleni łańcuch płynie rosochaty
W pod-księżycowej mgle, jak tratwa duża —
Kozioł na grzbiecie srebrne liże łaty,
Księżyc się w bluszcze osłupione wmruża.
— Cichości magją słyszę prawie drzewa,
Jako lepkiemi budzą się pączkami
I widzę słysząc, jak gdy Bojan śpiewa,
W świat się odległy przenosząc słowami,
Które nic z miejsca nie ruszają wcale.
A jednak jesteś raz w lesie, raz w polu,
Na ławie siedzisz myśląc że na skale,
Rannym nie bywasz, ale syczysz z bolu,

I są to wszystko tylko słowa pieśni,
I dzieje się to gdzieś — skoro się nie śni —

(Potyka się o głaz — a potem.)

Głaz jednak, którym osłupiłem nogę,
Za one pieśni słowa wziąść nie mogę! —
— Czy ten głaz wiedział żem książe zbłąkany
Nie zwykły tykać kamienia — jeżeli
Wytworniej nie jest z gruba ociosany? —

(Po chwili.)

Głaz zadrżał! — jako gdy proca uceli,
Za rzutem kamień podrywając smagły —

(Po chwili.)

— Głaz wstał — i idzie — zniknął za modrzewiem —
Pierwszy raz w życiu przebiegły mię jagły,
Pierwszy raz zląkłem się — choć czego? — nie wiem —

(Po chwili.)

Głaz, widzę idzie w blasku księżycowym
Idzie — legł na mchu — widzę, jak na dłoni,
Kamień! choć może progiem był ciosowym
Lub służył we drzwiach do wiązania koni,
Deptan i wiązan przez ludzkie zwyczaje,
Wylega teraz — gdy ja błądzić muszę! —

PRÓG.

Najniższy sługa! — książe mię poznaje? —
Najniższy sługa, próg — zyskałem duszę
Po rozwaleniu zamku — i gdzie mogę
Zabiegam teraz podróżnikom drogę —
Milczałem wieki gdy deptano po mnie,
Gdy w kości na mnie grywano nieskromnie;
Milczałem wieki — raz przecie gdy noże
Zbójców, na biodrach mych ostrzono, pomnę
Że zazgrzytałem przeraźliwie «Boże!» —
I odtąd wszystko mi już nieprzytomne —
A teraz progiem jestem grzędy drugiej
Pałacu, który gdziebym nie legł, stawa;
Ten, niewidzialny jest, tylę, co długi —
Niech książe stąpa, milczę na usługi:
Jak niegdyś w zamku hrabiego Mścisława!

KRAKUS.

— Wierzyć, nie wierzyć? — oto zapytanie! —
Książe brat Rakuz stąpił-by już dawno
Lub nogą kopnął i całe zadanie
Obrócił z śmiechem w przypowieść zabawną.
Dla tego pierwszy fortelu dostanie,
Dla tego smoka zwali ręką sławną,
Nim ja, tułactwem i smutkiem zwątpiały,
Do wtórej ledwo dowlekę się skały.
— Jeszcze krew z wargi wysyssam przeciętej,
A już mi nie chce się jemu złorzeczyć;
Niech będzie zbawcą i na Króla wzięty,
Kiedy tak umie wspaniale kaleczyć — —
Może wart byłem, że jestem wyjęty
Z pomiędzy mężów ulubieńszych sławie?
Przyłożyć ręki nie mogąc do dzieła,
Kiedy mi wszystko niedola objęła —
To, zrobię jedno, że — że, błogosławię!
— Lecz śmiech mię bierze i łzy mi się garną
Myśląc, że ręki jedynie skinieniem
Dokładam na wiatr — byłżebym już cieniem
Marnym, któremu rzeczywistość marną? —
Czyliż do progu przyszedłszy, jakoby
Gdzie dotkliwego wątku już nie staje?
Wyjrzałem w za-świat — poznały mię groby! —

PRÓG.

Najniższy sługa! — książe mię poznaje! —

KRAKUS.

— Że niewidzialne zamki są, to pewna:
Rycerz mi jeden sam się o tem zwierzył;
Iż go zaklęta gościła królewna.
— Czarów się nie bał — ale długo nie żył. —
Tarczę widziałem sam, na własne oczy
Przed którą Pani ta szukać lubiła
Czystości lica i ładu warkoczy,
A tarcza odtąd twarzą jej patrzyła!
— Nie jestem — widzisz — lada młodzik, który
Rycerskie z wierzchu tylko zna rzemiosło,

I ramię moje sięgało do góry
I czoło moje wyżej dachów rosło.
— Wiem, że są boje wszelakiej natury:
Ani mię dziwi gościnność kamienia —
Lecz, jestem smętny — i jestem ten, który
Dla siebie nie chce już nic, prócz spocznienia!

(Pochyla się i kładzie opodal progu.)

A przeto wolę na tym mchu jałowym
Przyledz, niż świetne przyjąć zaproszenia —

PRÓG.

Książe się kładziesz w ogrodzie zamkowym
W Grocie bezwidnej, z drogiego kamienia;
Gdzie źródło w konchy spada alabaster,
Stół z niewinnemi ofiarami czeka:
Mleko, owoce i miodowy plaster
Podaje cisza, przyjaciołka człeka,
Nie kłamająca natrętnemi słowy —

(Zasuwają się ściany niewidome.)

Spoczałeś Książe w grocie szmaragdowej!

III.

(U pierwszej brony zamku — Rakuz na spienionym koniu — Grodny na czele czeladzi.)

GRODNY I CZELADŹ.

Z straszliwą wieścią czekamy na drodze —

RAKUZ, oddając konia.

Niechaj wiem:

GRODNY.

— Książe! nas opuścił Włady — —

RAKUZ.

Kółko mi o tem szeptało w ostrodze:
— Płaczki niech wyją, niech szlochają dziady,
Stos wielki cieśle niech od rana stawią,
Chorągwie niech się zbiorą i gromady —

(Po chwili.)

— A smok? —

GRODNY.

Drabowie, z tym się czasem bawią —

RAKUZ.

A Krakus, Książe, brat nasz? —

GRODNY.

Ani słychu.

O księciu panie młodym —

RAKUZ, na stronie.

Daj go lichu! —

Nie temu z bestią harcować żakowi,
Ani po starcu dziedziczyć korony —
Przyniosłem fortel co w wodzie się łowi,
Smoka jak zażyć wiem i z której strony —
Tylko mi trzeba śpieszyć się bo, kto wie —
Tylko mi trzeba jak grom przed wystrzałem,
Knować sam na sam, cichą rzecz —

(Słychać szamotanie się i ryk smoka.)

— Zadrżałem!? —

(Szołom wchodzi. RAKUZ, poznając go.)

Szołom! —

(Przyzywa go bliżej skinieniem.)

— jak stary zeszedł? niech usłyszę:

SZOŁOM.

Panie! — Że, będąc koronnym Runnikiem
Posiadam sztukę, przez którą rad piszę
Cokolwiek zechcę, tym oto stilikiem
Na buku — tudzież, że się tego z nikim
Dzielić nie godzi iż jest rzeczą stanu:
Przeto, tak dla tych co stoją za tronem,
Jako i dla tych co ścielą się Panu,
Spisałem słowa piórem nieuczonem —
Te zaś, brzmią:

(Dobywa tabliczek.)

RAKUZ.

Czytaj! —

SZOŁOM, czyta.

Szóstego dnia — rano
Krak, Książe Włady, chwilę zgadł bez-wtórą,
I kazał aby z wierzy obwołano
Że umrze — Lechów zebrało się sporo
U łoża, które jest z czarnego dębu.

Tam książe, głowę poruszając bladą,
Tak prawił: «Gród ten, z pod smoczego zębu
Wybawi jeden z dwóch którzy tu jadą:
Który zaś — nie wiem — lecz jeden z Księżyców —
I dodał — «wielu nie będzie dziedziców! —
I przemilkł — po czem, gdy bardzo szlochano
Jakoby młodzian porwał się z pościeli
Głosem wołając wielkim: «niech powstaną
Dziadowie z grobów! — by jasno widzieli
Że się nie lękam śmierci» i padł — Lechy na to
«Chrobryś był!» — trupa, osłonili szatą
I wyszli —

RAKUZ.

Tablic tych, nie dotkniesz więcej
Na wieki legną, w żalnicy książęcej —
Mimo — iż starzec wróżył nie dość jasno —
Imiennie głosić nie raczył dziedzica — —

SZOŁOM.

Człowiek, o! Panie gdy siły już gasną
Jest tak, jak kiedy dopala się świeca —
Dla tego poznać dobrego Runnika
Po tem — czy słowa mniej pewne przenika:
Ja zaś z mej strony to na marginesie
Włączyłem: «z słów tych Rakuz rozumie się»
Co jednak w tekscie nie jest rzeczą główną
Gdyż obu Książąt czekano zarówno —

RAKUZ.

W rzeczach tych każdy Runnik doskonały
Sam wie najlepiej co i jak się godzi —
Mnie to nie tycze — cudzej nie chcę chwały —
Głównie o prawdę idzie —

SZOŁOM.

O nią chodzi —

RAKUZ.

A prawda cóż jest? —

SZOŁOM.

— Cóż prawda jest? —

RAKUZ.

Słowem.

Cokolwiek streścisz aść przyjąć gotowem

(Przechadza się — i poglądając ku podworcowi zamku.)

Ludzie ci — owdzie — u zamkowej brony
Stojący kupą, jak cygańska rzesza —
Co są? —

SZOŁOM.

— Z dalekiej są, o Panie! strony,
Gdzie rola siejby nie zna, ni lemiesza
Bagna, zamierzchłe kępy ich mieszkaniem,
Zkąd się Kiempowie zwą — ci więc się bawią
Dziwów obławą — smoków polowaniem.
Jeźli zaś wierzyć kto chce gminnej wieści,
Mają i księcia w tej bosej gromadzie —
Bitni są — piją, co się tylko zmieści
I jak dębowe leżą potem kadzie —
Wszakże, za dobre wdzięczni — i łaskawi —
Historja zwie ich wszystkich: Skandynawi.
Wczoraj — od ludu słyszawszy o smoku,
Zboczyli nie co, dla bliższych języków;
A jeden z onych, mimo bestyi ryków
Mniema — że potwór jest w patrzących oku: —
Wycie zaś, larwy sprawują piekielne,
Rade, iż w kłamstwo to wierzą bezczelne!

RAKUZ.

Gadek tych ważyć nie jest ludzką rzeczą —

(Słychać szamotanie się i wycie.)

Kły, musząć być gdzieś jeżeli kaleczą
A skoro kły są — a jeźli w tej chwili
Słyszym, że draby w progach się bronili,

(Po chwili.)

Lecz — za dni mało, będę ja sam na sam
Walczył, i w obec narodu pohasam —

(Po chwili.)

Słuchaj! niech konia trzymają chędogo!
Słuchaj! — bo trzeci wschód nim się zapali,
Lud mój ze wszech stron wyruszyć ma drogą,
By widział smoczy łeb jako się zwali.

— Ja rzekłem — i dość wiem co: wiem jak, czynię
(Po chwili.)
Tymczasem Kiempów onych Książe — za co
Nie jest, jak w właśniej ugoszczon krainie?
Pytać nie trzeba czy podróżni płacą —
Z rycerzy błędnych, tylko ludzie prości
Szydzą — lecz gród mój znan jest z gościnności.

SZOŁOM.

Słowa te — słowa te same — te same,
Grodnemu wczoraj wyniosłem za bramę,
Mówiąc — a któż wie? Książe Krakus może
Zbłąkan gdzieś, cudze zalega rogoże,
Lub deszcz z zamkowych ocieka nań rynien —

RAKUZ, przerywając mówienie Szołoma.

Ludziom tym — rzekłem — wieczerza i łoże —
(Szołom wychodzi.)
A Książe Krakus? — on! — sam sobie winien!

IV.

Wnętrze groty szmaragdowej — w głębi zdrój — przodem stół zastawiony, przy nim usłane siedzenie nakształt łoża.

KRAKUS, we śnie.

Śni mi się — śni mi — że mi się śniło
Bolesne jakieś z bratem rozstanie,
Które się z ziarnka piasku, mogiłą
Stało — jak ściana, dzieląc mieszkanie.
— A ja mam cichą z szmaragdu grotę
I zastawiony stół owocami —
I jestem z kimsiś co kocha cnotę —
Muzykę słychać — jesteśmy sami —
Nic mi nie braknie — nie braknie — wcale —
Tylko że pragnę (porusza się) a nie mam czary! —
(Wstaje.)
Więc idę śpiący i pełen wiary
Gdzie słychać źródła szemrzące w skale
(Biorąc wodę ze źródła.)

Brązowym hełmu czerpnąwszy garłem
Piję — — a ciągle śnię: że umarłem —
(Pije z hełmu.)

ŹRÓDŁO.

— W miedziany kask
Księżyca blask
Nie tak upada niedbale —
Jak wód mych nić
Perłowa — lśnić
Schodzi pomiędzy korale.

KRAKUS, wieczerzając.

— A ciągle śni się — że mi się śniło —
Jakby mię ziemia przyjęła w gości,
Twór każdy witał — wszystko mówiło —
Jakbym się bawił źródłem m ą d r o ś c i —

ŹRÓDŁO.

Nakłonem chmur
Z za siedmiu gór
Rosnę — lecz w niebie się rodzę.
Rób-że jak chcesz,
Czy tam mnie bierz,
Czy tu, gdzie samo przychodzę —

KRAKUS.

Ciągle śni mi się jak rzecz prawdziwa,
Śni mi się ciągle że nikt nie baczy,
Iż w dziennym jawie, senne przędziwa
Wsnute są, niby na krosnach tkaczy.
Lecz nić ich ciągnie się i nie zrywa,
Nad światło szybka i migotliwa —
Spostrzerze ją człek — a nie zobaczy!

ŹRÓDŁO.

Nie jestem nic,
Ni rąk ni lic:
Wydźwięk mam tylko perłowy —
Rzemiosło moje
Ochładzać znoje,
Cóż chcesz od wody źródłowej? —

KRAKUS, kończąc wieczerzać.

Szczęśliwy człowiek, w śnie czy na jawie
Niczego nie chce, nawet i chcenia —
Brat żeby wiedział jak ja się bawię! —
Gościnność jaka jest — u kamienia —
Jak wiele serca, braterstwa, ile
Próg mi okazał kopnięty nogą!
Nie rozdarłby mi twarzy ostrogą —

(Podnosi toast hełmem.)

Zdrowie twe — progu! leżący w pyle —

(Wychyla napój i wyciąga się do snu.)

ŹRÓDŁO.

— Dochodzić — trud
A dość — jest cud —.
Mniejsza, czy konno? czy pieszo?
Bo jedni z was
Mijają czas —
Drudzy mu ledwo wyśpieszą!

KRAKUS, we śnie.

Coś — coś — jakoby z pustelni słowa —
Jakobym spoczął już niedaleko —
Woda gdzieś jakby biła źródłowa
Za siódmą skałą, za siódmą rzeką —
Spocząłem w drodze — przez próg przechodzę —
Gdzie próg? — gród? — Rakuz? — kółko w ostrodze? —

(Po chwili.)

Ojciec mój — ojciec! co oni wleką?
To smoka tułów Ojcze! — to smoka —
Czy słyszysz? — cisza w koło głęboka —

ŹRÓDŁO.

Rycerzu wiedz
Żeś przyszedł ledz,
Gdzie ludzie progów nie kreślą;
Lecz ludziom Bóg
Zakłada próg —
Nie wszystko pełniąc jak myślą.

KRAKUS.

Snu jeszcze zetrzeć nie mogę z oka — —

ŹRÓDŁO.

— Więcej już nieśń,
Lecz pomń, że pieśń
Nietylko z rany wylecza —
Sprobuj to sam
U smoka jam —
Rymem — ah! — będzie cios miecza.

(Przepadają ściany niewidzialnej groty i zamku. — Krakus na mchu w lesie śpiący zostaje jak pierwej — zorza poranna świtać zaczyna.)

ZORZA.

Wstawaj Książe! — czas w drogę —

KRAKUS, porywając się.

O! wiem — wiele wiem — — mogę! —

V.

(Komnata książęca na Wawelu — lampa u sklepienia mimo światła dziennego pali się.)

RAKUZ, sam.

Dnie, noce jedną stały mi się dobą
Nim chwila przyjdzie, chwila pojedynku —
(Przechadza się — staje.)
Miałżeby człowiek wyścigać się sobą?
Potem się gonić będąc pierw na rynku —
Ciało za sobą wlec, czuwaniem zwiędłe,
I osobistość spajać gdzieś rozprzędłę.
Szczęśliwy kto jest tam, gdzie jest — ja wcale
Nie byłem owdzie! Dziś mi cięży chmurą —
Dnie, mroki, zorze — palę się a palę,
Jako ta lampa — nie wiem już noc którą —
I zawsze kędyś mam mój dzień słoneczny
I wszelki blizki jest mi niebezpieczny —

SZOŁOM, wchodząc.

Panie nasz! — płatnerz od świtu wysłany
Do kamiennego królów mogilnika,
By miecz pociągnąć o grobowców ściany;

Wrócił — stal prysła —

(Składa odłamy miecza.)

Z urzędu Runnika
Winienem zaraz wieszczbę ztąd wyśledzić:
Że o złym mieczu traf zdążył uprzedzić —
Przyczem jest wniosek — że inny miecz, wtóry
Nie już ów pierwszy znosić ma potwory.
Jakby więc — mówię — duch z grobowców wołał:
Syn to potrafi co Ojciec nie zdołał! —
Nie próżno bowiem Runnik jest Runnikiem
Skoro zna sztukę pisania stilikiem —

RAKUZ, zdejmując łańcuch z szyi i miecz ze ściany.

Łańcuch ten złoty — wam; miecz — płatnerzowi —

SZOŁOM.

Panie nasz! — lud się w koło miasta mrowi,
Na drogach wszystkich koczują gromady;
Dawno tak wielkiej rzeszy nie widziano
Jakkolwiek liczne są w dziejach przykłady,
Iż śmiech opieszał, łzy zaś skorzej lano,
Żałując książąt, których brak! —

RAKUZ, kładąc rękę na piersiach.

Co braknie? —
Kogóż tu braknie? —

SZOŁOM.

— Stos — mówię — żałobny,
I ciało Kraka widzieć każdy łaknie,
Lech i oszczepnik, kmiotek nawet drobny —
Rycerzy sporo, z krainy odległej
Widziano w tłumie. Niejacy w kapturach
Smętni, jak grodu zwalonego cegły
Stoją, na ciężkich oparci koszturach.
Inni, przysięgli zostać tak, jak legną
Póki się stosu wieńce nie zażegną,
A inni lica nie odsłonić wcale. —
Kobiet dostatek, w poczestniej odzieży
Chórami ciągnie, pośpiewując żale —

RAKUZ.

Niechże się kupią — co raz wołać z wieży:
Że, niźli zorze wtóre się zapali,
Rakuz sam na sam smoka głowę zwali —

(Po chwili.)

Kiempów wódz, czem się bawi? — niech nas widzi —

SZOŁOM.

Wczoraj, o panie! chciał wnijść, lecz się wstydzi,
Obówie mając ze skór ryby morskiej:
— U Skandynawów to obyczaj dworski —
Zaś ludzie jego, do jamy smokowej
Rzucali nieco zatrutego jadła,
Zkąd wraz olbrzymie wylatały sowy;
Rzesza patrzących cofając się bladła.
Wycia niekiedy słychać było z głębi,
Gdy z wież, za każdym onych wyć przestankiem,
Struchlałych wiele padało gołębi:
Chłopcy je dotąd zbierają pod gankiem.

RAKUZ, z obłędem.

Miecz czy naostrzon? —

SZOŁOM.

Właśnie że go biorę —

RAKUZ.

Stos czy zapalon?

SZOŁOM.

Chcę pytać o porę —

RAKUZ.

Pora! — ah! pora — — zawsze — zawsze pora
Cóż jest dziś?

(Przechadza się i nagle z pomięszaniem.)

Jutro, cóż wszak jutro? — wczora?
Cóż chciałem mówić? — miecz niech mi wytoczą
Konia mi trzymać jak przed bitwą — dalej —
A dalej — dalej, co się stanie — zoczą!

(Po chwili.)

Skoro zapalą stos, wyjdę, acz więcej
Nad popioł, ważę żywych sto tysięcy!

SZOŁOM.

Słowo królewskie jest jak bystra rzeka —

(Wychodzi.)

GRODNY, w progu.

Kiempów wódz w progach Rakuzowych czeka!

RAKUZ.

Gość w dom, to Bóg w dom —

WÓDZ, zbliżywszy się.

Ugoszczony w grodzie
Kłaniam ci — jestem zaś pierwszym w narodzie,
Któremu morskie wybrzeża z bursztynu
Bóg dał, jak krawędź kolebki, dziecięciu —
«Adynoj» woła żyd — my zaś: Odynu
Zowiemy tego, co Bogiem jest księciu.
Dziadowie moi od Fenicjan wzięli
Mądrość pływania po morskiej topieli;
Bo nie znam więcej nic milszego Bogu
Jak w gwiazdy patrząc, uwijać w pirogu
Po niezgłębionych toniach Bożej woli —

(Podsuwając ławę.)

To rzekłszy, siadam — by odpocząć gwoli —

RAKUZ.

Siadaj Mość — — inne jest królestwo nasze,
Wcale że inne, gospodarcze, Lasze —
Acz, co jest morze? — wiem — i z której strony? —
Runnika mając, ten zaś jest ćwiczony:
Gwiazdy jak nazwać? wie o każdej porze
Ku czemu, w czas swój i sypia na dworze.
Łańcuch mu złoty dałem, wiedząc o tem
Że wczoraj pomni, dziś zna, zgadnie potem —

WÓDZ.

Mądrych się ludzi bynajmniej nie wstydzę;
Wiem na co orły? — na co ostrowidze? —

RAKUZ, posuwając czarę.

Pij Mość — — ja piję —

(Po chwili.)

Rzecz twoją o smoku
Który mię trapi, mów — byłżeby w oku?

WÓDZ.

Długa jest powieść o smoczej naturze!
Ten bywa w oczach, a inny w posturze —
A inny jeszcze w obu jest zarazem:
Na jednych przeto użyj trąby grzmotów;
Drugie: tnij mieczem, inne miecza płazem —
A inne śmiechem zbądź lekko —

RAKUZ.

Ten, gotów
Być z onych, które są i są obrazem —

WÓDZ.

Chłopy me, w jamę na wici lipowej
Rzucili jagnię, truciznami dziane —
Jęk najprzód, potem, wylegały sowy
I dziwolągi szły porozskrzydlane
Z czeluść podziemnych: a potem, a potem
Jako gdy burza zaniesie się grzmotem,
Ale nie może całym strzelić gromem —
Myślałem że się loch zapadnie z domem!

RAKUZ.

Dość jest! — za mało, będę ja sam na sam
Walczył — i w obec narodu pohasam —
Mość zaś, ze swoim pocztem niech zaczeka —
Doświadczonego miło gościć człeka.

WÓDZ.

Rzekę już siódmą od rodzinnych progów
Przeszedłem, błądząc przez cztery księżyce;
Draśnięty pierwej od miedzianych rogów
Dziwa, którego wciąż śnię, że uchwycę.
— Tego już moi dwakroć siecią brali,
Oszczepem nie raz dotarli w pogoni;
Uchodził zawsze! — a oni wracali,
A ja im miodu — i znowu do broni. —
— I spocząć nie dam przez młot Odynowy,
Dopoki rogów nie wyłamię z głowy —
Bo rękę w morzu unurzawszy słonem
Przysiągłem żonie — nie wrócić shańbionym —

(Pije.)

Żony? — Mość nie masz?

(Pije.)

Poznaj nasze panny,
Które są włosem trząsające złotym,
Po piaskach morskich jak żółte dziewanny —
Ciche i wielkie —

(Pije.)

Dużo mówić o tem! —

(Pije.)

W księżyca kiedyś patrząc sierp, jak w próżnę
Arfę, co złote wyśpiewała struny;
Dokończyć przyjdzie to życie podróżne,
Smętne, jak popiół i ciche jak runny —

(Łuny wielkie wbiegają przez okna na ścianę komnaty.)

RAKUZ, zasłaniając twarz ręką.

Stos ojca mego (do wodza) idź Mość zdrów —

WÓDZ, wychodząc.

— Niech będzie
Zwycięztwo z wami! —

RAKUZ, nieporuszony na ławie.

— — Pomnijcież nas —

WÓDZ, w progu.

Wszędzie! —

(Rakuz podparty ręką, nieporuszony zostaje przy stole.)

GRODNY, w progu.

Giermki po stajniach koniom obwołali
Że jeździec umarł i że stos się pali —

(Wychodzi.)

(Rakuz jak pierw nieporuszony i ręką podparty zostaje.)

VI.

(Dolna część zamku — od przodu komnata łukiem kryta — w głębi zaś, korytarz przy-podwórcowy. — Przez korytarz chóry pogrzebne ciągną — za każdym z chórów idą różne poczty osób — niekiedy chorągwie.)

PIERWSZY CHÓR.

Przechodź już, wielka osobo,
W powietrze inne ze ziemi —
Gdzie losy nie są nad tobą,
A ty nad niemi —

WTÓRY.

Weź chleby, topór, pieniądze
Konie twe, zbroje i sfory
Nim wtóre weźmiesz już rządze,
Sam będąc wtóry —

RAZEM.

Lecz czemu? — powiedz — ah! czemu
Ty, coś stał po nad tym krajem;
Przechodzisz dziś do podziemu,
A my zostajem? —

PIERWSZY.

Przechodź już wielka osobo
W powietrze inne ze ziemi,
Gdzie losy nie są, nad tobą,
A ty nad niemi —

RAZEM.

Lecz czemu? — powiedz — ah! czemu —

— — — — — — — — — — —

(Chóry przechodzą — Rakuz który za nimi postępował, zbacza na przód komnaty i zatacza się w krzesło wielkie.)

RAKUZ.

Czemu i czemu?! — sto dębów widziałem
Nad przepaściami schylonych przy drodze,
A każdy skrzypiał: «czemuż ja spruchniałem!»

SZOŁOM, bawiąc rękę łańcuchem złotym.

Panie mój! — przebacz iż nieproszon wchodzę;
Lecz umiem sztukę pisania stilikiem —
Zkąd radbym w smutku stać się poradnikiem;
Słowy mądremi odegnać tęsknotę —

Twarzy odsłonić? — poznać się dać wstydzę,
Niewczesny dwakroć — umarłym i żywym!
(Wstrzymuje się, pogląda na śpiącego.)
Któryż-bo z zacnych trudów twych dzieliłem!
Czem cię wyręczyć pośpieszyłem? — bracie! —
Czem jestem teraz — i czem kiedy byłem? —
Przed ojca stratą i po ojca stracie —
(Z progów — gdzie zatrzymuje się chwilę.)
Śpijże ty — książe! — pod pra-ojców godły.
Chmura z twojego niech ustąpi czoła;
Jaw, czyn, i samą przytomność cóż zdoła
Uwcześnić trzeźwiej, nad spokój, lub modły? —
(Uchodzi.)

VIII.

(Rynek miasta. — Tam i owdzie pospólstwo w gromadach — na przodzie kiku kmietów i mieszczan.)

PIERWSZY.

Ja mówię jeden — on zaś «dwóch» — a owy
Krzyczy: «żadnego książęcia nie było» —

WTÓRY.

Zgadujże teraz — po rozum do głowy —
(Szołom przechodzi mimo.)

PIERWSZY.

Osoba idzie w łańcuchu, aż miło!
Dworska — lecz, któż się spytać jej odważy? —

SZOŁOM, przystępując do rozprawiających.

Uszanowanie u gminu na twarzy
Świeci jak łańcuch złoty — nawet lepiej!

MIESZCZEK.

Któż pomyśliłby że sam nas zaczepi —

SZOŁOM.

Sprzeczka jest o co?

PIERWSZY.

— On, że książąt obu
Widział, powiada — on zaś: że jednego —

A on, że wcale! — i nie ma sposobu
Zgadnąć —

SZOŁOM.

Sprzeczacie się nie wiedzieć czego!
Rozstrzygnąć można tę rzecz — i niezwłocznie —

(Rozstawia pytających w półkole — potem zbliża się do nich.)

SZOŁOM.

Wiele tarcz było złotych?

WSZYSCY.

— Dwie — przytem dwie dzidy!! —

SZOŁOM, patetycznie.

Gdzie tarcz jest złotych dwie, tudzież dwie włócznie,
Tam dwóch jest książąt. Lub, gdzie włóczni parę
I tyleż tarcz jest, tam, że dwóch, daj wiarę —

(Uchodzi krokiem mierzonym.)

PIERWSZY.

To tak, jak palców pięć i pięć — dwa razy
U dwóch rąk, czyni dziesięć, bez urazy —

(Oddalają się gwarząc.)

(Krakus przechodzi mimo, za nim Szołom.

SZOŁOM.

Jeźli nie błądzę? — to dobra wiadomość —

KRAKUS, nie poruszając kaptura.

Dobrze jest błądzić ile można najmniej —

SZOŁOM.

Jeźli nie błądzę, to książe jegomość? —

KRAKUS.

— Żebym choć złoty łańcuch miał przynajmniej!

SZOŁOM.

Jeźli nie książe — to stara znajomość —
Z głosu, i z wzrostu, i z giestu! —

KRAKUS.

— Zaiste,
Starszej człek nie ma tu gdzie wszystko zwodzi,
— Co więcej, jeźli trafem w świat przychodzi —

SZOŁOM, na stronie.

— Ktoś, co opiewa prawdy wiekuiste;
Albo Szołomów ród zna od korzenia —

(Po chwili.)

Gdybyś rycerzu z pod tego kaptura
Włos jeden odkrył —

KRAKUS.

— Jestem z pód kamienia
Z pod mchów — z narodu który skryła góra.
— Tam czaszek nagość popiół grzeje szary,
Włosów nie trefi nikt w kosy;
Księżyc prześwieca przez szpary,
Przez krople rosy —
Tam jeźli jesteś rycerzem, wiesz za co
Kryjąc się jedni, darzą drugich błaskiem;
Oklaski, ciszą się płacą;
Cisza, oklaskiem —

SZOŁOM.

Naród to wielki być musi — i bardzo —

KRAKUS.

Granice jego granicami gardzą.
(Przechodzi w tłum.)

IX.

(W głębi brama kryta łukiem — tłum się w nią ciśnie i czepia po wysokościach murów — na przodzie sceny gromady zatrzymane gwarzą.)

PIERWSZY, w bramie.

To nie on! czemu palcem wytykacie? —

WTÓRY.

Byłżeby książe w tak szczególniej szacie,
Kapturem z wierzchu na oblicze kryty?

INNY.

Harfę ma złotą, lecz stoi jak wryty.

WIELU.

Trzeci raz turniej otrębują właśnie!
(Słychać trąby i wołania z wieży.)

WTÓRY.

To on, jeźli już trąbiono raz trzeci —

PIERWSZY.

Harfę wstrząsł, jako kiedy słońce gaśnie,
Złocistsze bardziej niż gdy za dnia świeci.

INNY.

Śpiewa — i przed się idzie w loch smokowy,
Wyprostowanej nie ruszywszy głowy;
Posągom z głazu podobny wyrżniętym;
Fałd żaden na nim zmięszanym ni krętym —
Osoba dziwna! —

WIELU.

— Kto bliższy, śpiew słyszy —

WIELU.

Ja słyszę —

MIESZCZEK.

Rycerz śpiewa, bądźcież ciszej —
(Tłumy się powoli uciszają.)

ŚPIEW.

Chodź! — stań! — przez wiarę wiar
Klnę cię, pożerco dusz —
Czar twój skończony już:
Czar mój, jest żaden czar —

Bóg wie, za ile win —
Twarz w twarz, począłem rzecz:
Broń ma, ten jeden miecz;
Pieśń ma — ten jeden czyn —

Pieśń ma, to nie pieśń już —
— — — — — — — — —

PIERWSZY.

Przystąpił! — harfę podnosi i ciska
W pieczary ciemność —

INNY.

— Latawców mrowiska
Z dymu słupami wylatują w górę —

WIELU.

Widzieć nie można, taka ciemność pada!

INNY.

Tam, owdzie ptastwo błądzi w niej bez-pióre,
Jak niedoperzy i sów całe stada —

MIESZCZEK.

Ktokolwiek pierwszy zoczy co, niech gada! —

W BRAMIE.

Co widzisz? — widać co?!

PIERWSZY.

Widać — jak chmurę,
I jak grzbiet nagle zbudzonej mogiły,
Wydzierający się z ziemi rozpacznie!
I widać — jakby moc, zmienioną w bryły,
Co się wyciąga ze snu, nim iść zacznie
Po przyczajonych karkach stu tysięcy — —

(Po chwili.)

I — widać znowu ciemność — i nic więcej
Nie widać, tylko jakby błysk niebieski —

GŁOSY Z DALI.

Miecz księcia górą! — Górą miecz królewski! —

PIERWSZY.

A teraz widać wał, że jest ochwiany,
Zataczający się wał, jak pijany,
A zamek nad nim stoi — a wał ówy
Nie jest już wałem — to cielsko jest smoka —
Legł! —

WTÓRY.

— Oszczepnicy skoczyli do głowy:
Rąbanie słychać — — słyszycie rąbanie? —

KMIEĆ.

Jak gdy kto w puszczy wycinanej stanie,
Gęsto rąbanie słychać — jeszcze — jeszcze —

MIESZCZEK.

Jako, gdy w kuźni żelazo czerwone
Młotami biją, obracając kleszcze!

WIELU.

I jeszcze słychać, jeszcze! nieskończone —

W BRAMIE.

Książe niech żyje. — Mąż co zabił smoka,
Jak rzekł — niech żyje! —

PIERWSZY.

— Straciłem go z oka —

GŁOSY RÓŻNE.

Na tarczach podnieść w górę! — Zbawcę w górę!

(Okrzyki podnoszą się i ucichają i znów podnoszą. — Od przodu sceny przez tłum ku bramie Rakuz przedziera się pieszo; przy nim Szołom i poczet dworski — za pieszymi prowadzą konie — wszystko w rynsztunku świetnym.)

GRODNI, tłum rękoma rozgarniając.

W lewo i w prawo — ustąp! — książe kroczy! —

SZOŁOM, głos podnosząc.

Książe potykać się wyruszył!

WIELU OD BRAMY.

— W porę!! —

GRODNY, do tłumu.

Ustąp! —

(Tłumy zaciskają się pod bramę. — Rakuz z pocztem swoim zatrzymuje się.)

PIERWSZY W BRAMIE.

— Kapturny zbawca zakrył oczy.

INNY.

Nieporuszony, w kapturze zostawa!

WTÓRY.

Jestże kim z Bogów? — albo żywa Sława?

GRODNY, w tłumie.

W lewo i w prawo — ustąp! —

SZOŁOM.

— Panie Włady!

W bryłę się jedną skupiły gromady,
Ruszyć nie sposób —

RAKUZ, targając włosy.

Ha! — snu godzin parę
Dogonić, koniem po karkach tej rzeszy! —
Nie sposób! — kiedyś — któż temu da wiarę? —

GŁOSY Z DALI.

Górą! na tarczy górą! — Zbawca-leszy! —

W BRAMIE.

Trębaczy poczet, szeregami dwoma
Daje mu drogę ku nam —

SZOŁOM.

O! ruchoma
Rzeszo, na księżyc patrząca bladawy!
Słońce jest z tyłu — Rakuz, Książe czeka! —

PIERWSZY W BRAMIE.

Mąż się kapturem zasłonił od sławy —
Widzę go — tłum się poruszył jak rzeka,
Kiedy rozpuści i idzie z chałasem.

INNY.

Już i ja widzieć mogę jak na dłoni —

RAKUZ, skacząc na konia swego.

Kto żyw! niech za mną rusza! (do pocztu) Wy do koni —
A ktoby strzemion tykał, bić obcasem! —

(Z bramy pokazują się trębacze.)

TŁUM.

Górą nieznany zbawca! —

GRODNY.

— Rakuz górą!

(Trębacze i wielki tłum dwoma zastępami zbliżają się na przód sceny — środkiem Krakus w nieporuszonym kapturze postępuje.)

SZOŁOM, słaniając się w tłumie.

Książe ma słowo z konia, do narodu —

DWORSCY I GRODNY.

Cisza niech będzie! — starsi niech się zbiorą,
Niech się na kijach oprą starsi z grodu!
Kołem niech Lechy staną —

(Koło wielkie okrąża Rakuza na koniu stojącego. — Przed nim Krakus w kapturze zapuszczonym jak pierwej. — Cisza.)

NIEKTÓRE GŁOSY.

Górą! — górą! —

GRODNY.

Kto górą?! —

RAKUZ, z konia.

— Męże! ten, co w tym kapturze
Stoi — przez wielką pogardę dla tłumu,
Iż sławy nie chce, Bogom i naturze
Bluźni! — Przemawiam doń, i do rozumu

Przemawiam: — Odkryj czoło zapaleńcze! —
Ludowi pokłon daj, który cię sławi —
On głosi; słucha Bóg — ale ja wieńczę!

(Do Szołoma na stronie.)

Mów dalej, Szołom! — gniew mi tchnienia dławi —

SZOŁOM, na stronie.

Mój Książe dalej — już słuchają —

RAKUZ, płynnie.

— — nieco
Przemilkłem — czemuż? —

(Wskazując Krakusa)

Ah! — by posąg owy,
Poczuwszy wreszcię wnętrzności człowiecze,
Nad tłum zakrytej nie wynosił głowy!
Lecz —

(Rzucając się z koniem naprzód.)

koniec słowom! — niech rozpoczną miecze! —

(Do Szołoma.)

Turniej obwołać, że zaczął się —

(Trębacze uderzają w rogi — Krakus zasłania się mieczem.)

GŁOSY WIELU.

— Pada! —
Mąż cichy —

TŁUMY.

Zbawca, gdzie?! —

RAKUZ, z konia.

Zbawca? kto włada! —

KRAKUS, odrzucając kaptur w skonaniu.

Skończyłem! — Konam —

— — — — — — — — — — —

RAKUZ, SZOŁOM, GRODNY, rzucając się na ciało i zakrywając je tarczami.

— Jak upadł, niech leży!

RAKUZ.

Turniej, że skończył się, otrąbić z wieży.

SZOŁOM, usuwając tłumy.

— Wola umarłych, jakaby nie była,
Święta jest — wola umarłych jest święta:
Jak kaptur ongi, tak odtąd mogiła

Skryje ten zacny proch, co zerwał pęta! —
Kończę — głos szczery nie bywa rozwlekły —
(Gromady, z dwuznacznem milczeniem cofają się.)

RAKUZ, z konia do cofających się.

O czyny wielkie tyś się ludu kusił,
Rzucam więc tobie ten miecz, krwią ociekły —
(Wyciska miecz z ręki daleko.)
Złamał on męża, który smoki dusił —
Któż z nas rycerskiej godniejszym jest chwały?
W turnieju pierwszy kto? — co żyw zostanie!? —
(Gromady z dwuznaczym milczeniem cofają się.)
Mów, albo nie mów — ludu osłupiały! —

STARZEC, z tłumu.

Baczę — coś jakby smoka zmartwychwstanie —

INNY.

Obydwa godni są rycerskiej chwały —
(Rakuz przejeżdża zwolna ku bramie, choć gdzieniegdzie gromady zatrzymują. — Poczet książęcy w pośród nich przechodzi.)

GRODNY, do Szołoma.

Gromad się jedność to kupi, to sprzęga —

SZOŁOM, do ludu.

Męże! — ja jestem Runnik doskonały,
Pisarz koronny — który, jako księga
Ramiona ku wam i serce otworzę,
Mówiąc: rzeczone słowo było boże —
Bożym, rzekł — mówię — słowem, Książe Włady.
I liczne tegoż w dziejach są przykłady —
Ja sam, stilikiem rzeczy takich wiele
Skreśliłem — — Teraz do dom, przyjaciele! —
(Poczet zachodzi w bramę.)

GRODNY.

W prawo i w lewo — ustąp! — poczet przodem —

SZOŁOM.

Ludu! idź do dom —

SETNI, obwołując tam i owdzie.

— Kniaź uraczy miodem,
Ktoby się w grodzie jawił przed zachodem —

STARZEC, z tłumu.

— O trupie zbawcy myślcie też Lechowie,
By jak ocięty Karcz, nie pruchniał w rowie —

SETNI.

W prawo i w lewo — ustąp! — Runnik przodem.

(Runnik i setni zachodzą w bramę)

X.

(Rozłogi w okolicach bramy miejskiej. Noc. Gdzieniegdzie pokotem śpiące gromady. — Rakuz i Szołom kapturami okryci i grabarskiemi uzbrojeni łopatami. — Szołom z latarką.)

RAKUZ.

Mądrości słowo, którem osłupiłem
Trzysta-set ludu, dziś mię w zamian boli —
Nie bacz, że dziwnie ci to wyraziłem:
Lepszego nie znam wyrażenia gwoli.
Boli mię słowo mówiąc: mówię o tem
Że: jakbym napiął łuk i cisnął strzałę
I zawróciła mi się w piersi grotem,
A ja-bym czuł ją i czuł, uleciałą —
I łuk trzymając lóżny, drżący jeszcze,
Szukał rannego, sam śmierci czuł dreszcze! —
Pisania sztukę, znając doskonałą,
Powiedz mi, naucz, ażali być może,
By kogo słowo rzeczone bolało? —
Tkwiło i pruło jak zbójeckie noże:
Słowo, o którem sam rzekłeś że Boże? —

SZOŁOM.

Pisania sztuka zwie się i kabałą —
Pisania sztuka ma swe tajemnice,
Runnikom samym dostępne —

(Rakuz upuszcza łopatę.)

— Ostrożnie!

RAKUZ.

Zbudził się który? —

SZOŁOM, wskazując latarkę.

— Owdzie — zbieraj! — świecę.

RAKUZ, podejmując rydel.

Jako, gdy pola kto sierpami orżnie,
Pijani, widzę, spoczęli pokotem —

SZOŁOM.

Śnią się im wiadra miodu i wiwaty.
Nie rozbudziłbyś tej czeredy grzmotem,
A cóż dopiero upadkiem łopaty! —
Radzę ją wszakże nieco zgrabniej trzymać,
W ramię rzuciwszy prawe, jak motykarz:

RAKUZ.

Na życiu łopat nie myśliłem imać —
Nie jestżem Rakuz książe? — kogo tykasz!

SZOŁOM.

Trzeba się książe, umieć znaleźć wszędzie,
Trzeba mieć rozum taki, jak narzędzie.

RAKUZ, popychając ramię Runnika.

Szołom! — idź na przód — nie ucz nas —
(Słychać krok warty. — Szołom skoczywszy do Rakuza, groźnie.)

SZOŁOM.

— Milczenie! —
Łopata na dół — kto idzie?

GŁOS, mijającej straży.

— Sumienie!

SZOŁOM, do księcia.

Chasło, tej nocy dane przez setnika.

RAKUZ, osłupiały.

Przeszli? — czy przeszli już? —

SZOŁOM, klepiąc ramię Rakuza.

— W górę motyka! —

RAKUZ, oglądając się do koła.

Osobo mądra! — ażali z prędkości,
Nie minęliśmy miejsca, gdzie trup leży? —

SZOŁOM, wznosząc latarkę.

Tarcz zdaje mi się blask, albo odzieży —
Bieliznę widzę.

RAKUZ.

— Mylisz się, to kości,
Rwane ze smoka bioder, ptastwo ciska,
Lub psy roznoszą. Patrz! — za onym padłem
Postacie jakieś i jakieś ogniska —
Ludzie — czy widma? —

SZOŁOM.

Znikli —

RAKUZ.

Wiem, że zbladłem:
W około oczów czuję to, na licach —

SZOŁOM.

Żebra smokowe, czy widzisz, jak wielce
Czernieją? — sterczą w księżycu,
Podobne żebrom nawy skołatanej.
Patrz tam — — jak belka po belce
Lis pełza — owdzie kruków karawany —
To się poderwą, to siędą.

RAKUZ, rozglądając się do koła.

Długoż to potrwa! długoż widzieć, będą?
Że owdzie zwycięztwo było —

(Po chwili.)

Owdzie? wszak owdzie padł? —

SZOŁOM.

— Nie ma i śladu,
Tarcz nawet —

(Przebiegają łuny kagańców — wyświeca się na chwilę tumulus Krakusa.)

RAKUZ.

— W dali coś się zaświeciło!

SZOŁOM, porywając za ramię Rakuza.

Ludzie — tłum — ogień — stos i śpiew grobowy —
Kaptura książe nie podejmuj z głowy —
Łopaty na bok! — przysiądźmy w parowie:

RAKUZ, przysiadając z Szołomem pod wyniesieniem wału.

Straszliwa nocy!

SZOŁOM.

— Ciągną tu szeregiem:

RAKUZ.

Drżę — — a któż jestem?

SZOŁOM.

Jesteś Książe szpiegiem
Tajemnic, w życiu ukrytych i w mowie!
Ale, i owszem, musisz drżeć —

RAKUZ, groźnie.

— Runniku!.
Nie jestżem Rakuz?

SZOŁOM.

— Trupów ogrodniku!
Byłżebyś sobą, będąc za się branym? —

RAKUZ.

Słuszna osobo! — czyń jak ci przystoi —
Bylebym męża, co w pamięci stoi —
Bylebym zbawcę, zwanego nieznanym,
Do ziemi środka wparł rydlem kowanym —
(Łuny wielkię oświecają tumulus Krakusa ogniami obłożony. Chóry zbliżają się.)

STARZEC.

Ktoby zapragnął czyn wymazać krwawy,
Niech wstecznie kołem istności zawróci. —

CHÓR.

Niechaj zawróci — a gościniec sławy
Poczciwej znowu i manowce chuci
Przed zapaśnikiem staną do wyboru!
Nie starczy może już złego potworu,
Lecz starczy mężów potwornych — niestety!

STARZEC.

Skończył i skonał — o! panie nasz — gdzie ty! —

CHÓR.

Gdzie ty, o, panie! — Świadomszych gromada,
Duchy pogodne i wietrzyk ochoczy,
Pancerz mogilny w ofierze ci składa,
Przyłbicą darni ocienia ci oczy. —

STARZEC i chór, rzucając amfory.

Miodem i mlekiem lśniące dzbany ciska —

CHÓR.

Gałęź modrzewiu i wieńce chmielowe
I mirry bursztyn kładzie w te ogniska: —
I łzy, i cichą, a poczciwą mowę,
(Łuny poruszonego ognia szeroko oświecają dolinę, na której kopiec Krakusa. — Chóry, podnosząc ostatnie garście piasku, stoją z ramionami w ruchu.)

SZOŁOM I RAKUZ, zakrywając się w parowie i przylegając do ziemi.

Ciało spalone — kurchan usypany! —

STARZEC I CHÓRY, ciskając piasek i odchodząc.

Z popiołów cała i z kruszyn oręży,
Ziemia krakowska niechże ci nie cięży,
Sławny-nieznany! —

OBJAŚNIENIA.

Znana powieść o Smoku, którego zabił Krak czy Krakus, nieustannie w dziejach prawdziwa, albowiem potykania się takowego z potworem, ślady idą przez wieki; rozmaitemi też sposoby w myśli ludu określana bywa. Jak sobie przeto poradziłem z tak porwaną całością rzeczy? czytelnik sam osądził — dodam wszakże słów kilka ku wyjaśnieniu treści i składowych pierwiastków.

Krak i Krakus nie myślę aby były jednym człowiekiem — pierwszy zda mi się być drugiego ojcem, tak jak zdrobniałe Leszki idą po starym Lechu — w czem Kochanowski słusznie wyraża się:

> «Jakoby więc (mówi on) od wielkiego jakiegoś Lecha, mniejszy Leszkowie z czasem się pokazali i przodka swego imię jakoby wskrzesili.»

Kraków, nazwisko miasta, jest przymiotnikowem z czwartego przypadku na pytanie kogo? czyj? gród-Krakowy, czyli Kraków.

Rakuz, brat krakusowy, w nazwaniu swem ma pierwiastek filologiczny, przechowany u południowych Słowian.

Szołom pochodzi od słowa ludowego «szołomić.»

Kiempe, jest to nazwisko Skandynawskich błędnych rycerzy, z których to jeden do Olausa króla mówi:

> «Wiedz, że w bogi kamienne i drewniane nie wierzę, a z djabłów naigrawam się. Zbiegłem ziemie dalekie: po-

tworów i olbrzymów nie mało trupem położyłem. — Wierzę bardzo w trzeźwość umysłu czystego i w moc ramion.»

Nixy u południowych Słowian duchy porzędne, polne i leśne.

Włady, przymiotnik staro-słoweński, znaczący wielmożny i heroiczny.

DWA MĘCZEŃSTWA.

LEGENDA.

I.

Na greckim rynku ludzie zgromadzeni stali,
Pod łagodnego cienia rzucanemi plamy
Od dziadów, którzy w błękit powracali — biali —
Od bohaterów, mówię. — Niżej lud — ten samy,
Jedno żyw, marmurowej nie mający cery
I mniej osobny, niźli wielkie bohatery.
Był tam i wojak, bosym podparty dzirytem,
Z ręką chorą, na resztce perskiej zwisłą szaty;
I mąż uczony z wiadrem, tablicą przykrytem,
Gdzie rękopisma nosił — był tam i bogaty —
W wieńcu złotym — i mówca w czerwonej opończy
I pasterz w kurpiach, które wąchał mu pies gończy.

Do ludzi tych różnego mienia i sumienia,
Kiedy Apostoł Paweł z Bożego natchnienia
Mówił słowem — cichości skrzydło ich przykryło:
I jednym wstrząsło dreszczem — jednym zapaliło
Płomieniem: i gorzeli, i ziębli, i bledli,
I czerwienieli razem, i razem przysiedli
Jak fala, i uklękli razem, w chórze szlochu —
Aż w niebo woń z takiego Bożego motłochu
Powietrzem wstała jasnem, Pawła otaczając,
Co w środku stał i kazał wciąż, rąk nie spuszczając.

I stało się że fala ta nagle zagrzmiała :
«Ów jest Merkurjusz. — Przyszedł tu w sukmanie z ciała,
Lecz Bogiem on! — Pasterze woły niech podadzą!
Niech o kolumnę topór młodzieńcy wygładzą;
A panny tańcząc, pieśni niech ofiarne wzniosą!» —
Tu się Apostoł Paweł przeżegnał, i płowy
Płaszcz rozdarłszy — odepchnął go precz, nogą bosą:
«Poganie!» krzycząc — człowiek jestem i jako wy
Proch prochów — i na ziemi tej błędny viator;
A dla Chrystusa jeźli też poczynam dziwy,
Te są z Świętego Ducha — więc Veni-creator
Śpiewajcie — bo nie kwiaty mnie — prędzej pokrzywy:
I odszedł — —

II.

W mieście jednem cesarstwa Rzymskiego,
Gdy o Chrystusie Paweł Apostoł nauczał,
Wzięto go prowadzono potem przed sędziego; —
A biegli też kupcowie: będzież mu dokuczał —
Gadając — bo szalony jest ten Chrześcianin
I prawi tu — aż drogich potem nie chcą tkanin
Kupować. Więc i z Legiów krzykną urłopnicy:
Ten jest, co pokój ludom każe — męże dzicy,
Z twarzami afrykańskim miedzianemi skwarem,
Prędcy do krwi wylania. — Więc i tuczne swarem
Prawniki, co na forum gadając do ludu,
Lubią być czczeni — żaden z nich nie zrobił cudu —
Ci przeto na Pawłową zażarci wymowę,
Dalej radzić: ubiczuj, albo zrąb mu głowę!
I stali — i sędziego krzesło marmurowe
Niby teatrum, kręgiem objęli w połowę.
— A przodem siedział sędzia, obie wsparłszy dłonie
Na kolanach — albowiem cesarz tak w koronie
Zwykł siadać — dalej rotmistrz, patrząc na upięcie
Szaty zwierzchniej — albowiem carskie tam pieczęcie
Z onyxu wyrzezane nosi [1] — indziej mówcy
I urzędnicy — jedni drugich naśladowcy! —

[1] Fibule, czyli upięcia szat, były ryte z kamienia onix zwanego.

Do ludzi tych, na jedno zaklętych sumienie,
Gdy się pytano ktoś jest? — «Jam Paweł» powiada.
«Rzymianinem — i moje nie tu jest sądzenie;
Więc chcę, niech cesarz ze mną, jak z człowiekiem gada,
I jak z obywatelem Rzymskim czyni rada» —
To mówiąc — płaszcz na ramię gęstym rzucił zwojem
I trwał pośrodku izby, jak czynim, gdy stojem
Na swych śmieciach — a cichość stała się: a sędzia
Wyglądał jak rzemieślnik zgubiwszy narzędzia.

Więc przed Cesarzem Paweł stawion był i jasno
Gadał mu prawdę w oczy mocą Chrystusową,
Na chwałę swą nie krzesząc z tego nic, bo gasną
Słowa takie, wy-mową będąc nie wy-słową —
I jako odkupienie przyszło, przez męczeństwo
Chrystusa Pana uczył, radząc Cesarzowi:
By nie omieszkał własne czynić nawróceństwo.
I jak jest wolność wszelka Świętemu-Duchowi
Posłuszną, który w Trójcę zwolon, acz stanowi
Osobę trzecią. Rzeczy one nie samem wiedzeniem,
Ale miłością, prawdy każąc więc natchnieniem,
Więc dobrą wolą. Tej zaś Święty Duch z wysoka
Błogosławił. Aż Cesarz rzekł: «Treść jest głęboka
I mało że nie stawam się jak dziecko nowe —»
I kazał Pawła więzić — potem ściął mu głowę!
Więc był Apostoł Paweł pętany jak zwierzę,
I jako Bóg obwołan — a wytrwał przy wierze,
Że człekiem był. — Albowiem stało się wiadomo,
Że człowiek zwierząt bogiem, gdy Bóg: ecce homo.

1850 r.

EPIMENIDES.

PRZYPOWIEŚĆ.

WSTĘP.

Mąż, nazwiskiem Epimenides z Krety, policzony do mędrców Greckich, poezją i czcią bozkości zatrudniający się; ten, który wspólnie z Solonem pracował na utrwalenie praw, który ofiarą baranków białych i czarnych, swobodnie puszczanych a immolowanych gdzie spoczęły, oczyszcza lud, i zatrzymuje plagę zarazy, miał to do siebie osobliwego iż uważany był za syna Nimfy Balty. — Wierzono też, iż był to Eakus i że znikał na czasy pewne, a z martwych powstawał potem, żywionym bywając przez czas snu swojego bozkim matki swej pokarmem. — Ten to mędrzec w młodości swej wysłanym był przez ojca aby zbłąkanej owcy szukał; a skoro utrudził się, wszedł do groty i zasnął. — I spał tamże lat pięćdziesiąt i siedm, a potem wyszedł i zdało mu się jakoby wczora. — Tedy owcę właśnie że zbłąkaną ówdzie, wziąwszy na plecy swe, szedł do miasta Gnossy. —

Ale postrzegł oblicza ludzi znajomych i mijających go, bardzo odmienione i ścieżki inne, i wejrzenie wszystkiego bardzo różne. — Brat rodzony zaledwie poznał go, a posiwiał był przez czas kiedy Epimenides za oną owcą poszedł.

A rzecz ta znaną była i bardzo brzmiącą w Grecyi za dni Solona, około sześć set lat przed przyjściem w ciele-człowieczem Osoby Bożej na ten świat. — Kretensowie zwali Epimenidesa kuretem i cześć mu pośmiertną wyrządzali, a Lacedemończykowie, według słów wyroczni postępując, przechowywali ciało jego. Osoba moralna tego męża ma coś nieledwie ewangelicznego we wszystkiem, cokolwiek o nim wie się dzisiaj.

Około południowych brzegów tej to Krety, której obywatelem był Epimenides, zdarzyło się znowu w sześć set lat po śmierci jego, iż przepływał okręt niosący na sobie Śgo Pawła Apostoła do Miletu, Syrakuzy, Regium i do Rzymu. —

Przyszła mi myśl, kiedy sam w tych okolicach byłem, że Apostoł-jeniec przepływając ówdzie, wspomniał był Epimenidesa, i że wtedy zamieścił one dwa wiersze Kurety, w liście swym do Tytusa XII które wiadomo że są wierszami Epimenidesa i które w tłomaczeniu polskiem Biblii, jakkolwiek wierszami rymowanemi przełożone będąc, tak brzmią:

«Zawsze są kłamliwemi sprośni Kretensowie,
Naksztalt bestyi żyjący, leniwi brzuchowie»

Jednakowoż, ponieważ to drukowane jest jako proza, więc tak i czytają ci, co czytają druk! —

1854.

C. N.

I.

Był czas, kiedy o Grecyi rzecz, w następny sposób
Wzmiankowały gazety wszystkiego świadome:
«Wiemy, to jest nie wiemy, lecz od pewnych osób
Słychać, że kraj gdzie góry nad morzem są strome,
Południowy, przeszłością bogaty nie małą —
Kraj, który dzisiaj plemię ujarzmia bezbożne,
Może mieć «szansę» — jak to wyżej się wspomniało» —
Na co więc inny dziennik: — «Wieści nieostrożne
O Grecyi, pod Tureckim jęczącej obuchem,
Pytam się Redaktora, zkąd wzięły swe źródło? —
Klnę przez Leonidasów, jakim rzecz ta duchem
Ożyła? — rzecz kulawa! — usuwam jej szczudło,
I w piasek pręg jak twardych Homera rycerzy.
Podpisano: «Philwrzaskos — pisze tak jak wierzy!»
Na ten głos wiele innych zrywa się dzienników
I chrzęszczą pióra — sprawie poświęcone onej,
A Grek w kawiarni czyta lub u uliczników
Kupuje i uważnie czyta zamyślony;
Oczy trze, czasem wstaje, i usiada znowu,
Częściej się marszczy nowin niepewny połowu!

II.

Nie przeto i wśród tego gwarnego mamidła
Była prawda — ta dzisiaj znana jest wybornie;
Zwłaszcza iż się wykłuwa na wierzch kształtem szydła
Tem bystrzej, im ją pierwiej tłoczono upornie.

Znaną więc treść gdy minę, powiem raczej rzeczy
Mniejszą mające wartość i za nic podziane,
Których w ów czas nie można było mieć na pieczy,
Ani są gdzie w poważnej kronice spisane
Rzeczy błahe — te nowin patetycznych kordon
Przeciął, gdy sztandar Grecki wiał ku Europie
Sławą nową, a śpiewał i działał Lord Gordon:[1]
Mąż umiejący zgadnąć bohatera w chłopie;
Śpiewak, co brzeg rodzinny odepchnąwszy nogą,
Pył z obuwia na pokład otrząsnął okrętu
I stało mu się odtąd rozpaczliwie-błogo! —
Syn wierny niewiernego historyi zamętu,
Syn wierny społeczeństwa, co nie było warte
Wierności! — ta już bowiem stawała się zdradą —
Syn wierny Anglji. — Dzieje, gdy ostatnią kartę
Księgi czasów przed takiem charakterem kładą,
I mówią mu: «Zapisuj swoją Epopeję»
Rzuca się im w zamianę karta wizytowa
Z napisem: «Tom następny zawiera nadzieję»
I jeźli jest do kogo, mówi się, bądź zdrowa!
Tak zeszedł on; a będąc do ojców podobny
Rzekł w duchu «zbójców wolę nad Faryzeusze,
I wyklnę ich nad onych i stworzę osobny
Zakon i wyszlachetnię, i martwość poruszę —
Bo dość mi płazem dotknąć dzikiego zbrodniarza,
By z nim jako z rycerzem usiąść u ogniska.
Jestżem albowiem Lorda syn? — czy arendarza,
Co dzieje wziął na wyszynk, i patrzy jak zyska?
A mówiąc to, i pieśnią tak idąc, i czynem,
Bardzo nie cierpiał Anglii. — Był wiernym jej synem!

III.

Kiedy tak pięknie mylił się szlachetny człowiek,
Któremu wraz szaleńca przyznano epitet:
Baczni o dzień, a mężni troskali się o wiek,
Uczeni zaś jak zwykle złożyli komitet.

[1] Lord Gordon familijne nazwisko Byrona.

Ten miał na celu, osłów ujuczywszy sporo,
Scjentyficzną uczynić po wyspach wycieczkę,
Idąc za czasu duchem, i z przyjazną porą,
I z poświęceniem także z zapałem, troszeczkę. —
Siedmiu ich było: każdy nazwisko miał nowe
I osła swego — kilku Albańskich hajduków
Za nimi szło, i namiot i łóżka polowe
I nieodstępne chłopcy od osłów i juków,
Których się razem z zwierzem najmuje w gospodach,
Nie dba w drodze, i mało wspomina w rapsodach.
A celny mąż nazwisko miał: Amphipapyron.
Miał on systemat — wszystkim to było nietajne —
I miał przysłowie swoje, bardzo mu zwyczajne,
Które tak brzmiało: «mało-poprawny jak Byron
I Wydał ksiąg, oprawnych dobrze, liczbę dużą.
Bajkę napisał jedną przeciw systemowi
Lumbagiusa: gdzie żaby, skrzeczące przed burzą,
Znaczą przeciwne zdania, które bocian łowi —
Ten zaś bocian, nie «mało-poprawny jak Byron»
Nie jest bocian, lecz autor — sam. Amphipapyron. —
Ktoby jednakże myślał że mędrzec takowy,
Jadący przeszłość ludu wykopywać z grobu,
Helladę marzy i jej biedny byt a nowy
Probuje, i tradycji pyta jak sposobu,
Sposobu jak tradycji — i puls baczy żywy,
I popiół, i smętarne w ruinach pokrzywy.
I smutny jest, szukając czy to smutek wieczny,
I wciąż bada się, ile łzę ma już dziejową?
A ile jest to zachwyt tylko niestateczny?
A ile wiedza samą otrzymana głową?
I ktoby pracy takiej ze Sfinksem łamania,
Widzem będąc, pozdrowił Amphipapyrona,
Nie widział by że własnej godności się kłania,
Albo jest kwiatem, który trącił o strzemiona
Jadącego na ośle! — Mędrzec ów ma plany,
Plany wyższe — on myśli sprawozdaniem jakiem
Zagaić ów komitet z powrotem zebrany? — —
I jako przeciwnika okaże być żakiem.

Jak cały system jego powali, i które
Płody jego zniesławi, jak szczenięta bure.
Tymczasem laur czerwony tak zamyślonemu,
I orzech, i podobne coś winu dzikiemu,
Cieniami swemi chłody wiały w dzień upału;
Osły szły, chłopcy jukom wtórzyli pomału.
Był też i historjograf w onej ekspedycyi
Człek pracowity bardzo, pilny tak dalece,
Że tylko myślał naprzód o dziejów edycyi,
Lecz nim gdzie dojechali, miał już wszystko w tece.
Tak rachmistrz dobry który, nie czeka godziny,
O wiele pierwej robiąc to co się należy,
Słuszny jest — szkoda tylko że cyfry nie czyny —
Lecz mniejsza — on napisał pierw — przybył i leży.
Nareszcie i Graf Ponej, amator szanowny,
Naraził się na podróż tę przez poświęcenie:
Dedykowano jemu manuskrypt kosztowny
O kształcie monet. — Miał on monet doświadczenie
I kucharza — niekiedy piękny styl listowny;
Tudzież to go przed wszystkiem zalecało silnie,
Że bywało, jak powie, klaskają niemylnie.
Trzech przynajmniej za zdaniem swem porywał w sporze:
Trzech też miał sekretarzy. — Znano go na Dworze.
Był też i siódmy: mędrców zdawna siedem bywa
I liczba to jeżeli szczęsni są, szczęśliwa —
Ten siódmy wszakże był to pisarz narodowy,
Flamand z rodu, tęskniący do dżdżystego nieba,
Do włosów bląd, do znanej wódki jałowcowej,
Napojów, potraw pewnych, i pewnego chleba — —
Słowem ktokolwiek zdala, na kiju oparty
Stojąc, patrzył na mężów onych karawanę,
Cóż widział? — tło — — — — — — — —
— — — — — — Tło było, jako oko Marty
Siostry Łazarza; modre, łzą po-osrebrzane,
Łzą morza. Ruin wiele jak grobów sterczało,
Kolumn wiele, panieńskie mających kibicie,
Zbłąkanych kolumn wiele, gmachu gdzieś szukało —
I czczo było: czas mijał, pył padał — cóż życie? —

IV.

— Wcale nie powiem z Aten jaka wieś została?
Z Koryntu jakie sioło? — przemilczę gdzie skała,
Na której mech, choć dawniej był Areopag.
Parthenon minę, wcale postąpię na opak,
I to co opisane jest, co w sprawozdaniu
Niejednem brzmiało, o czem więc pióra poprawne
Kreśliły, i co w wieków spoczęło podaniu:
Niech lekką ziemię mając, nie będzie mniej sławne! —
Owszem, na Kretę płynąc z mędrców karawaną:
Pójdę gdzie oni pójdą, wstrzymam się gdzie staną,
Pójdę, albowiem Muzy mojej jest przydomek
Sieroctwo — więc podniosę rzecz zapamiętaną
Jako wieszcz poniewierki, i ostatnich ziomek —
I pisarz treści, co jest krzyżem przemazaną;
Jako ziomek na ziemi krańcu, brzegu morza,
Miedzy na grób starczącej, na szerokość łoża — —
A kto me pieśni, kiedyś rzucane z za świata,
I pobite jak starych urn dzika mogiła,
Złoży duchem: jedna z nich będzie, i skrzydlata,
Co nazywa się popiół, lecz zwie się i siła.
I to zowie się życia toast — dalej w drogę!
Dopóki stać na skrzydeł parę, lub ostrogę! —

V.

Ileż papieru za mną zostało? — a ile
Poczernił go atrament przez lat gorzkich tyle?
Tak myślałem, gdy Muzy mej szedłem polotem,
Po górach, za siedmiorga onych karawaną,
Marząc, że jeźli piękną spotkam rzecz nieznaną,
Sam do pióra się wezmę, napiszę jej o tem —
Nieba jej poszlę szmatkę, gdy na Olimp wnijdę;
A grom zatrzęsie wielkim lazuru namiotem —
Albo jej gwiazdę poszlę, jak Eumenidę

Złotowłosą, lub łzę jej włożę w list — a ona
Odbierze łzę, gdy będzie bardzo roztargniona —
— — — — — — — — — — — — — —

VI.

Na Kretę gdy przybyli — gdzie ziemia jest wzdętą
I płyt marmuru sterczy — kopać rozpoczęto,
Ufni ze żaden garnek zbity, ani jaka
Fibula rdzą zielona, ni złamek kołpaka,
Ni stilus krzywy wymknąć się im nie potrafi,
Lecz wszystko się popisze, i uparagrafi. —
Kopią więc dzień: deszcz upadł, z czego Graf korzysta,
I siedli przy dwóch stołach, i — zagrali w wista.
Zaś historyograf kończył naprzód sprawozdanie.
Styl gładząc. — Weszło słońce. — Dalej znów kopanie:
A było zbrojnych w rydle dwunastu Maniotów,
Którzy są ludem silnym, mówiącym niepłynnie,
W śmiechu jeno, podobnym do dalekich grzmotów;
Lecz chłop Ateński przy nich wygląda dziecinnie,
Tak, że raz wraz gdy patrzysz na one postacie,
To ci się zda że Herkul, zeszedłszy z wysoka,
Przebrał się, i zamieszkał w pochylonej chacie,
I milczy, aby ustrzedz się ludzkiego oka —
Do dni, o których pierwej cisza jest głęboka.
— Manioty kopią. — Nasi podróżni z daleka
Siedli, symbola w ręku mając naukowe,
Gdy piasek, popiół, gruzy, płynęły jak rzeka
Czasu. — Urn kilka, medal, ogniwa brązowe,
Tu, tam, prysnęły w tydzień po otwarciu ziemi,
A w dwa tygodnie izba z drzwiami ogromneni,
I gmach podziemny wyjrzał stawiony na skale,
Groty mającej w sobie, krużganki, i sale. —
I nieznanego wielkie powietrza wyziewy
Buchnęły, i dni cztery szły jako kolumny
Białe dymu, nie mając powonienia trumny,
Lecz jako wiatr cichemi trzęsąc biało-drzewy,

O czem Manioty swoje przypowieści rzekli,
Wyziewom onym dając Lakoński epitet;
Podróżni zaś, do domów na czas się uciekli –
I w wista grali — przy czem złożyli komitet.

VII.

I koniec — resztę znajdziesz w sprawozdaniu onych
Którzy wrócili do dom, księgi uczyniwszy;
Są zaś portretowani w kształtach zamyślonych,
Wszyscy siedm — każdy z wszystkich razem — najszczęśliwszy.

Tymczasem, nad otwartej ziemi wywrotami,
Księżyc wypłynął biały na niebo bezchmurne,
I w gmach wglądając, krzywo zaparty wrotami,
Czaszek wysrebrzał resztki, przelewał się w urnę,
Bruk stary, blachą niby z ołowiu powlekał:
Lis wchodził tam — i pasterz przed burzą uciekał.
Gdzie przeto na wskroś wszystko było już zbadane,
Objęte inwentarzem, stylem okrzesane,
Lubiłem chadzać w pustkę tę po kalligrafji,
Pewny, że nic nie spotkam z onego łańcucha
Dziejów, co porządkuję się i paragrafi
W Muzeach — że nie znajdę już nic — oprócz ducha.
Jakoż bywało: pójdę między te zwaliska,
O Filhellenach marząc, przez Grecyę zdradzanych,
I myślę czy nie skradli im drzew do ogniska,
By odprzedać napowrót po cenach zwiększanych; [1]
I myślę czy w tej ziemi dłuta i marmuru
Z kilku desek postawią im pomnik u muru? [2]
I myślę: że zmartwychwstać jest bolesnym trudem,
Pracą człowieka, z Bożem dokonaniem — cudem! —
A kiedy tak myślałem raz, w ciemnym obszarze
Kształt dostrzegłem leżący w księżyca promieniu,
I ów zoczywszy jako zmarłego na marze,
Kląkłem — i przeszła chwila w modłach, czy w milczeniu?
Czy w trwodze? — nie wiem — —
— — — — — — — — On zaś podniósł się, jakoby

Zgony snami, a łożem stały się już groby;
Człowiek zaś, jakby zawsze był, i będzie-zawsze
Tylko odmieniał miejsce na coraz łaskawsze.
Więc wstawszy tak, nie dziwił, ni był zadziwiony —
Jedno mi rzekł akcentem Greckich Eumènid:
«Spocząłem i powracam, bądź mi pozdrowiony,
I pożegnany — mówi ci to Epimenid» —
I poszedł. — A jam myślał: więc już z tej ruiny,
Miary, napisy, garnki i otrzaski ćwieka
Starego — i pogniłe zebrawszy wawrzyny,
Nic — nic nie zaniedbano — nic — —
— — — — — — — — — — oprócz człowieka! —

OBJAŚNIENIA.

[1] Dwa są rodzaje obywatelstwa u Greków dzisiejszych: jeden szeroki i natchniony, a tak wielki, że Grecy z prowincyi ubożeją i niszczą się dla uczynienia czegokolwiek ogólnie użytecznego, zacnego, lub pięknego: drugi, który Grekom onym zamyka wszystko, skąpi, i utrudnia. — Ztąd prawo autochtonów, heterochtonów — ci drudzy, mają jedno tylko prawo, prawo immolowania się. Filhellenowie w czasie wojny byli zawsze na pierwszą linję wysyłani, a częstokroć krajowcy rabowali im żywność, by odprzedawać ją drożej. —

[2] W kościele w Nauplis, pomnik dla Filhellenów kosztem Francuza postawiony, jest tylko oczekującym rozpadnięcia się abrysem do pomnika, który kiedyś być ma — wszelako w chwili kiedy to piszę, przedsięwzięto w Myssolunghi postawić monument Byronowi. —

CZŁOWIEK.

WIERSZ, PRZYPISANY P. z N. S., SIOSTRZE.

I.

Oto zrodzonyś, maleńka dziecino
I w dni niewiele taki jesteś luby,
Skoro cię z długich osłonięć wywiną,
Do wanny niosą, lub na dywan gruby —
Niby małego nad Nilem Mojżesza!
Tylko co ówdzie bolało, pociesza. —
Rodziców miłość, jak trzecia istota,
Z dwóch serc ku niebu powstająca kwiatem
Coś niby gwiazda, niby lilja złota
Niby światłością, niby aromatem
Powietrza próżnię napełnia do koła,
W kolebkę roniąc Sakrament kościoła. —
Matki-dziewicy obraz patrzy na cię,
Ze swoją ręką na niebieskiej szacie —
Ten i ów dziadek z rąm starych wyziera,
Jak z okien domu kędy gość się zbliża — —
  Mamka za Ciebie bierze znamię krzyża:
Snowa się pasmo, które nie umiera. —
O! Mamko Polko, tyś istota święta,
Którąbym równał córce Faraona,
Przyciskającej sierotkę do łona.
Tyle nie o swem dziecięciu pamięta
Matczyność twoja, bynajmniej wrodzona! —
Ty nieraz, gdy już roków wiele minie,
A dziecię ssące mężem, lub kobietą:
Zapamiętana w oddalonym gminie,

Kłonisz się głową fartuchem okrytą
Do nóg, co stopki będąc maleńkiemi
Pytały ciebie jak dotykać ziemi? —
Ty, skoro syn twój, nie twój; twoja córa,
Nie twoja: blade z łoża niosą skronie
Ku krewnym swoim; patrzysz w twarz doktora
I w malowaną twarz w cierniów koronie —
Współ cierpiąc krzepisz jak siła cudowna,
A współ bolejąc nic nie bierzesz sobie,
Jako cherubin bezinteressowna,
Pastuszkom blizka przy Chrystusa żłobie.
Więc oto, Człowiek, takie jeszcze ziarno,
Spotkał już miłość czystą i ofiarną,
Która mu stopki dziecięce obmywa
Z weselem służy, i o Bogu śpiewa.
Znać że Pan z panów służbą uprzedzony,
Skinieniem rządzi, świeci bez korony.
Znać że i Kapłan, bo ileż to razy,
Domowe swary godzi bez obrazy! —
Znać że i Władca bo zwierz mu domowy,
Pod ciosy piąstki nachyla rad głowy.
Pies straszny innym, kły podawa białe,
Jako zabawkę paluszkom różowym;
Ruszenia kłamie senne i niedbałe,
W powinnym hołdzie prawom nad-zmysłowym.
A dziecię-człowiek najmniej się nie dziwi,
Jakby do domu Pan wrócił z podróży;
Uśmiechem samym darzy i szczęśliwi,
Samym rumieńca pobladnięciem trwoży. —
I jeźli nawet obejściem takowem
Zaciąga długi, to jako wielmożny,
W potrzebach swoich słusznie nieostrożny,
Ufny, że jednem nagrodzi je słowem —
I jakże? — taką widząc cię istotą
Będęż się ciebie zapytywał, dziecię:
Czy idziesz posiąść na tym starym świecie
Boleść i nędzę? — czy bisior i złoto?
Czy idziesz wrzucić na ramiona młode

Sokole skrzydła poezyi wiosennej
I hardo począć wielką życia Odę,
Przy grzmocie letnim, przy lirze promiennej? —
Czy gdzie z nie krewnych najbliższe ci łono
Jaśminne pąki otrząśnie na ciebie,
I będzie tobie wspól niedoścignioną
Bliźnięcą gwiazdą na pogodnem niebie? —
Czy gdzie gościńce zawezwą cię mleczne
Na bohaterów stepy historyczne;
A sława w zbrojnych zawierusze prawic,
Poda ci szpadę z laurem, wsród błyskawic?! —
— Czy będziesz jako mędrzec, wódz, generał,
Bogacz, lub szczęsny patrycjusz umierał? —
— — — — — — — — — — — — —

O nie! — nie o te spytam cię litery
Słów — ciebie, ziarno Chrześciańskiej Ery!
Ani zapomnę z dziewiętnastym wiekiem,
Że jesteś w większem postawiony prawie.
Że cię Egipskie przyniosły żórawie — [1]
Że Boga jesteś sąsiadem — człowiekiem.

II.

Więc bądź ty sobie dla tej wielkiej sprawy,
W zastępy której wszedłeś na planetę,
Choć po lewicy a wszelako prawy —
I szczęścia inne miej, chociażby nie te,
Co tyle dają radości i sławy.
I pogardź więcej niż swem powodzeniem,
Bo pogardź miłych ci o szczęściu marą,
Przyjaciół twoich o celu marzeniem,
I officjalną twej epoki wiarą [2]
— Wyżej, bo niżej, stanąwszy tej rzeszy,
«Wśród nieprzyjaciół swych panuj wielmożnie» [3]

[1] Dzieciom w Polsce mówią iż człowieka na świat przynosi bocian, lub żuraw: w czem leży parabola, iż z górnych stron i od wschodu ludzkość bierze początek.
[2] Czasowym przesądem.
[3] Ten wiersz jest z Psalmu Dawidowego.

Acz będzie chwila że cię nie pocieszy
Nikt, i nikt z tobą nie pocznie ostrożnie —
I stu przyjaciół stanie przeciw tobie,
Zmiennikiem zowiąc, iż są nieruchomi!
Poczujesz swary pod nogami — w grobie —
Usłyszysz jak cię szarpią niewidomi —
Śmiać się nauczysz, płakać będziesz łepiej;
Ziemia'ć przemieni się, Niebo przesklepi.

III.

Świat, radujący się różą miesięczną,
Lub zamykanym co wieczór powojem,
Dolę ci twoją obwoła niewdzięczną —
Jałowym trudy twe obwoła znojem.
Dziewice piękne i bardzo rzewliwe,
Z których nie była żadna na Golgocie
Wymówki będą ci posyłać tkliwe,
Kabalistyczne rzucać w twarz stokrocie.
Nogi ci włosem obetrze — kto? — strumień!
Kto ci obetrze pot z bladego czoła?
Jeźli nie prawda, Weronika sumień!
Stojąca z chustą swą w progach kościoła?! —
Sakrament, poznasz, że jest jeden stały — —
I samą wzgardą pogardzisz na świecie,
Piękny jak świeżo narodzone dziecię;
Ten sam co dawniej, niby Mojżesz mały,
Nilowej lilji trzymający kwiecie. —

IV.

I to ja Ciebie zrodzonego k'temu
Mamże zawodną łudzić pomyślnością?
Byś nieświadomość swą zwał cudzą złością,
Targał się ówdzie, gdzie klaskać masz w dłonie;
A gdzie masz piorun cisnąć, skłaniał skronie? —
— — — — — — — — — — — — — —

Nie! — ty bądź raczej nie bardzo szczęśliwy —
Pierwszym nie będziesz ni ostatnim, przeto
Bądź niezwodzonym! — umarły, czy żywy?
Cykutą karmion, czy miodem i mlekiem —
Bądź: niemowlęciem, mężczyzną, kobietą —
Ale przedwszystkiem bądź: Bożym Człowiekiem.

1857.

QUIDAM.

PRZYPOWIEŚĆ.

«Adolescentulus quidam sequebatur —»
S. Marc. XIV, 51.
«Sunt quidam de hic stantibus qui —»
S. Matth. XVI, 28.

DO Z. K.

WYJĄTEK Z LISTU.

Czytałeś, i nawet, czego nie spodziałem się był, dawałeś do czytania ten rękopism przypowieści mojej, nazwany Quidam. Uważałeś zapewne że dziełu temu dałem nazwę przypowieści nie zaś powieści, a to z przyczyny że intrygi i węzła drammatycznego, właściwego powieściom, wielce się tu wystrzegałem — nie oto mi szło, ale właśnie że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy. — Dla tego to i bohater jest tylko ktoś — jakiś tam człowiek — quidam! — Nic on nie działa, szuka tylko i pragnie dobra i prawdy, to jest jak to mówią nic: właściwie nie robi — cierpi wiele, a zabity jest prawie że przypadkiem i to w jatkach! — Jest tam i drugi Quidam, któremu to nazwisko przeszło było w imię własne, ale i ten jest tylko jakiś ogrodnik, jeden z miliona chrześcian! Zali to jest tragiczne? pozwalam ci wątpić wielki Poeto! — Ale Ty, którego śp. Juliusz Słowacki nazwał Poetą-Ruin, i który jak nikt nigdzie umiałeś świat ruin opiewać, pozwól mi w zamian powiedzieć ci, że w przypowieści tej mojej pomiędzy jej żywemi postaciami, lubo nie ma arków połamanych i rozrzuconych kolumn, niemniej smętny, jakkolwiek z właściwego mi punktu oglądany krajobraz ruin się przedstawia. Serce tej Zofii, tak czarującej talentami, a tak nerwami i wolą do siebie nienależnej, może właśnie całej jednej świątyni-wiedzy jest ruiną? — Cywilizacja, według wszelkiego podobieństwa, do dziś jeszcze podobna jest do tego kościoła, który za Kapitolem tyle razy przy księżyca świetle

oglądałeś — do tego kościoła, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej jako gołąb w rozłamanej klatce przestawa; tak, iż mszy świętej idąc słuchać, przechodzi się owdzie przez Jowiszowy przysionek. Daruj mi więc wielki poeto, że z niektórych tylko korzystałem uwag twoich, co do kształtowania się tej mojej przypowieści, inne za niebyłe uważając. Cywilizacja, składa się z nabytków wiedzy Izraelskiej — Greckiej — Rzymskiej, a łono Jej chrześciańskie, czy myślisz że w świadomej siebie rzeczywistości już tryumfalnie rozbłysło? Mag jest Żyd — Arthemidor i Zofia są Grekowie — znajdziesz tam i Rzym, lubo tobie, wielki poeto, inaczej i gdzie indziej nie zaś w mniej plastycznych sferach, ruiny oglądać i sławić przystało. Szczęśliwszym byłeś. —

Pisałem 1859.

CYPRIAN NORWID.

I.

Przypłynął młodzian z górnego Epiru
Do miasta Regium, na Rzymskim okręcie,
Grek był, lecz matki ród się wiódł z Iliru;
Krwi też dwoistej wzajem przeniknięcie
Na twarzy jego dostrzedz można było,
W sposób, iż profil z greckich miał medali,
A w oczy patrząc skroń nabrzmiałą siłą,
I włos mniej ciemny — i usta z korali.

Z Regium, jak długi brzeg ku Puteoli
W konnej i gwarnej jechał karawanie.
Czas to był, kiedy z Imperialnej woli
Poczęto wielkie o drogach staranie.
I częste mosty, z gładkiego kamienia,
Skałę ze skałą wiązały ogniwem —
I różni ludzie i różne cierpienia
Żelazem granit obrabiały krzywem:
Adrian, cesarz w sztuce wszelkiej biegły,
Doglądać lubił kamienie i cegły

Od Puteoli, po Appijskim bruku
Epirski młodzian zdążał już do Romy,
A Romę marzył podobną do łuku
Tryumfalnego, którego ogromy
U samych niebios swój początek biorą,
Lub samych niebios stały się podporą.

Wszakże on jeden z całej karawany
Marzył — gdy inni toczyli rozmowę,
Jak świat na nowo został popisany?
O ile prawo Carskie lub ludowe? —
Gdzie w wstępnym rynku albo w Trastubernæ
Osły i konie zanocować wierne? —

Jest coś wśród wielkich miast i na około,
Zwłaszcza pod wieczór, zwłaszcza dla pielgrzyma,
Co wypogadza lub zachmurza czoło,
Ziejąc nań niby westchnienie olbrzyma —
Jest coś w tym szmerze, co pierwszy dolata,
Skoro się miejskich bram rozemknie krata.
To coś — Epirczyk nasz poczuwał w chwili,
Kiedy się kupcy z celnikiem wadzili
O jucznych osłów porządek zmięszany —
O kilka assów na lampę u ściany.

Nareszcie w miasto weszła karawana,
Wielkiemi juki chmurna i leniwa,
Raz jeszcze widzieć dając twarz młodziana,
Gdzie się ulica okręcała krzywa.
A strażnik z włócznią stojący brązową
«Ktoś jest?» latyńską zapytywał mową.
«Syn Aleksandra z Epiru» — i dalej
Osły a konie szły — — i znów pytali. —

II.

Minął rok całym dni i godzin tokiem —
Za Awentynem słońce czerwieniało:
Przez plac dwóch ludzi szło swobodnym krokiem
Zbliżonych k'sobie jak dwugłowne ciało.
Wieczór był cichy, cichością jedyną
Samemu tylko właściwą Rzymowi.
Ni wieś, ni miasto — tu cię woły miną
A tam wykwintna biga zastanowi;

Tłumy z jakiegoś wracają igrzyska,
Po wzgórzach warty obchodzą wigilie —
Chłopięta śmietnik zmieniają w ogniska;
Cyprysy milczą — woń roznoszą lilje —

Syn Aleksandra, wstrzymawszy się nieco,
Do Grammatyka Rzymskiego te słowa
Mówił: «Te światła, co u wnijścia świecą,
Gdzie właśnie nocna przelatuje sowa,
Rok temu, skoro zapalano, pomnę,
Wjeżdżałem obcy w to miasto ogromne.»
«Któżby zgadł?» na to Grammatyk odrzecze,
«Że oto w czasie tak krótkim, zaiste
Nieokrzęsane straciwszy narzecze,
Latyńskie słowo wypowiadasz czyste!
Co więcej! mądrość mający na celu,
Ktoby zgadł mówię, że w wjazdu rocznicę
Zwiedzić już myślisz młody przyjacielu
Arthemidora mądrości świątnicę?» —
«W czasie tak krótkim powiadasz — pociecha!
Epirczyk odrzekł z westchnieniem głębokiem.

III.

I szli. — Rok minął dni i godzin tokiem.
Arthemidora ogród oświecony:
Fastigium domu nad skrawym obłokiem
Czerni się w trójkąt; niżej biust złocony,
Z framugi ciężkie wychyliwszy czoło,
Rzekłbyś iż chyłkiem pogląda w około.

Zofię z Knidos mędrzec miał u siebie. —
Uczniowie w laurów ciennikach siedzieli,
Czekając: gwiazdy aż błysną na niebie —
Czekając: północ aż ich rozweseli
Tym ogniem, tylko północy właściwym,
Ni to widzialnym, ni światłym, lecz żywym

Weszli — ostatni goście spodziewani.
Perystyl odtąd pustą już przestrzenią — —
W alabastrowej lampa stojąc bani
Mdlała — kolumny blado się czerwienią
Od strony światła, ciemniejąc od drugiej —
Czasem słów kilka posłyszysz za sienią,
Czasem leniwy krok sennego sługi.
Lampa przedzgonnym co tryśnie promieniem,
To się mozajki na ziemi poruszą,
To arabeski zatrzęsą sklepieniem;
Jakby gmach ciałem: ona była duszą. —

IV.

Pomiędzy świtem a nocy zniknięciem,
Płomienne blaski różowe z mrokami
Walczą, jak cnota z świata tego księciem,
Mdławe, lecz ufne choć wciąż je coś mami.
Pomiędzy świtem a nocą jest chwila,
Gdy choże łuny z czarnemi krepami
Błądzą, aż bystry promień je przesila.
Ostatnia gwiazda wtedy w niebo tonie,
A słońce rude swe wynosi skronie —
I perjodyczna pamiątka stworzenia
Wciąż od Pańskiego kreśli się skinienia. —
Pod taką dobę do swojej gospody
Syn Aleksandra z Epiru powraca.
Wszedł i dwa palce przyłożył do brody:
Drgnął, błędną ręką płaszcz na sobie maca;
Co gęstsze zwoje, to otrząsnął lepiej —
I wybiegł krokiem niepewnym jak ślepi.
Niewiasta, za nim patrząc z korytarza,
Etruskiej lampy knot podjęła igłą.
I poruszyła oliwę zastygłą,
Mrucząc «czy mieszek? drachmę? nie uważa!»
Tak szepcąc, w ciemność kątów pozierała
I szła, i milkła, i znów coś szeptała.

V.

Pomiędzy świtem a nocy zniknięciem
Płomienne blaski rożowe z mrokami
Walczą, jak cnota z świata-tego księciem —
Mdławe, lecz ufne — choć wciąż je mrok mami —
Pod taką dobę u Arthemidora
Do głównej sali wracano z ogrodu:
Śniadać zbliżyła się konieczna pora,
Dla gości skrzydłem poruszonych chłodu,
Chłodu, co lubo letni, ostro godził
Na bezsennością gorące powieki
I trzeźwił róże mdłe a oczom szkodził,
Po-rozparzanym od wewnętrznej spieki.
Szli więc do sali, gdy niewolnik zasię,
Do laurowego wbiegnąwszy ciennika:
Zdjął lirę Zofii wiszącą na pasie,
Pargaminowe zwitki z pod stolika,
Pudełko z kości słoniowej z woniami
I oddał służbie stojącej za drzwiami.

— — — — — — — — — — —

Nie długo, uczta u Arthemidora
Zwykłemi kończyć się będzie toasty;
Wszelkiej tam rzeczy osobna jest pora,
I o wigilii najdalej dwunastej,
Ktokolwiek salve wybite mozajką
Koturnem swoim niebacznie zawadzi,
Przyjętą będzie pocieszał się bajką:
Że Mistrz dyktuje właśnie, albo radzi. —
Z Koryntu rodem, Arthemidor w Rzymie
Sławy urokiem otoczył swe imię;
Był nawet wzywan i do Adriana,
Na posłuchania treści niewiadomej —
Bliźsi wszelako — tych przyjmował z rana —
Twierdzili, że był wolnym jak atomy,
Że w Adrianie cesarz dlań jest człekiem,
Że Amaltei napawa go mlekiem;

Że w jednem ledwo folguje mu snadnie,
W Archeologii — którą zna dokładnie.

Pewna jest wszakże iż ci bliżsi, właśnie
Im więcej bliżsi, widzieli mniej jaśnie.
To miał do siebie Mędrzec tak, iż w domu
Stawał się prawie nieznanym nikomu.
Nie był to wszakże fałszerz, ni jakowy
Pochlebca płazki, ni umysł jałowy,
Ni tajemnicą owiany mąż czynu,
Arystokracyi szpieg, albo szpieg gminu. —
Wcale. — Filozof był to szkoły własnej —
Ta, że posady nie mając zbyt jasnej,
Utrzymywała się w całości ścisłej,
Przez solidarnie ukrywaną próżnię;
Im bardziej uczeń w duchu był zawisły,
Zobowiązywał więcej — lecz ostróżnie —
Wylania przytem skąpy? czy lękliwy?
Kończył iż jak się skłamał, tak był żywy!

Chcesz poznać wartość szkoły lub podania,
Na ich ostatnie spojrzyj egzemplarze:
Tych jeźli błędem są p o c a ł o w a n i a,
Jakaż być musi m i ł o ś ć pierwo-wzoru —!
Tych jeźli cechą jest s i ł a - u p o r u,
Jakaż być musi na czele s k a l i s t o ś ć? —
Tych jeźli brudem całym, s z a t a z w o r u,
Jakaż być musi na górze p r z e c z y s t o ś ć?

Arthemidora uliczni czciciele
Podobni byli do zbiegłych klientów
Gdy ogłuszali; rozprawiali wiele,
Skoro kto przeczyć śmiał — szukali mętów,
A często, naprzód czując się niepewni,
Kończyli śmiechem lub milknęli rzewni.

Dla mniej ćwiczonych mieli pobłażanie,
Zwłaszcza w publicznych miejscach oczywiste;
Lecz jakby mówiąc «cóż mi dajesz za nie?
Uderz choć czołem i wpisz się na listę.»
Koryncki mędrzec mawiać zwykł: «gdzie ruszę,
«Oblegają mię te Epimeusze —»
I nieraz w szczerym widziałeś go gniewie,
Gdy który z owych wieszał się na drzewie,
Lub patrzył w ogród Arthemidorowy
Co robi mędrzec? gdy nie miewa mowy —

VI.

Zofia, do siebie weszedłszy leniwo,
Wśród perskiej sofy skronie utuliła
I płaszcza jeden róg, powlekła krzywo
Ku ramieniowi — i tak zostawiła;
Nie jak kto spocząć chcący się odziewa,
Lecz jak kto nie chcąc nic, co pocznie, zrywa.
Ten ją owładnął woli bezkierunek —
I zostawała tak, patrząc na lirę,
Na skrzynkę z kości, gdzie się chowa myrrę,
Na zwitki wreszcie które, przez trafunek,
Pomieszał sługa z przenośnym ciężarem —
I pomyśliła — co też one znaczą? —
Lecz zostawała pod bezwoli czarem,
Marząc: czy same do niej przyjść nie raczą? —

Słońce co raz to jaśniejszym promieniem
I coraz cieplej wzierało w mieszkania,
Przedmioty jedne usuwając cieniem,
Zbliżając drugie przez ich wyświetlania.
Na pargaminu zwitek promień żwawy
Spadł, jako złoty liść na ciemne trawy
I błyszczał, chwiejąc się niejaką chwilę —
I znikł — i nastał moment ciemniej przerwy:
Płaszcz Zofii frunął zlekka, jak motyle —
Wstała — i legła znów, patrząc jak pierwej. —

Kto była Zofia? wiemy — lecz czem w Rzymie? —
Odpowiedź z zwykłych pozorów zawiła —
Bezmężna, sama w willi swojej żyła.
Nadawano jej Poetessy imię;
I tę językom ludzkim dawszy stronę
Osobistości swej, czuła się wolną. —
«Nie darmo piorun laurową koronę
Mija»[1] mawiała, gdy była swywolną.
Gdy osłupienia mijały ją owe
Częste, dla których uchodziła w stronę,
Lub jak niedawno na pargaminowe
Patrzyła zwitki — — — — — — — —
— — — — — osłupienia, niby
Do wyczerpnięcia wnętrznego podobne:
Oczy jej wtedy szkliły się jak szyby!
Zdały się szukać czegoś palce drobne:
Czegoś jak gdyby strun liry zniknionej —
Czegoś, jak gdyby perełki zgubionej. —

Nareszcie wstała — za nią płaszcz szkarłatny
Powlókł się, jako ciężkiej fali struga.
Podięła zwitki w sposób tak udatny,
Jakby kto patrzył na nią, może sługa —
I rozwinąwszy, że były obfite,
Ciekawość wzrosła, co by zawierały? —
Lecz nie czytała — raczej jak są zwite
Baczyła, zwój ich roztoczywszy cały.
Podobną będąc w tej cichej robocie
Do jakiej dawnej Sybilli, gdy w grocie,
Poprzekreślanej słońca promieniami,
Jak w strunach złotej liry rozrzuconych
Duma — a duch jej trzepoce skrzydłami,
O wysokościach marząc niezgłębionych.
Wreszcie, początek znalazłszy rapsodu,
Czytała — — — — — — — — — —
— — «Zofio!» — greckie były słowa —
Tu zatrzymała się «szkoda zachodu!»

[1] Przysłowie, a pierw zabobon Rzymian.

Mówiąc «za długa rzecz; rozboli głowa —»
Dalej — «Zofio!» — znaczy tu: mądrości!
I śmiać się bardzo poczęła z zazdrości —
Komu? — mądrości? — więc, kończąc czytanie
Rzekła «nie do mnie!» — z gniewu czy z radości —
«Wszelako — krewne mi te wszystkie panie
Z Olimpu, bądźmyż przeto jak przystoi,
Na pokrewieństwo mądrzy — cóż tam stoi?» —
— — — — — — — — — — — — — —

ZWITEK PIERWSZY.

§. 1.

Mądrości! tobie poślubiłem z dawna —
I oto wzięła mię ta Roma sławna
W wielmożne dłonie swoje, mnie, z Epiru
Sierotę! — Ówdzie mdłą byłem rośliną
Na pustce dziadów; tu — drobiną żwiru.
Mniej — pyłem, może i pyłu drobiną.
Z owąd próg domu zdawał mi się światem,
Ztąd Epir cały progiem mi domowym.
Rozszerzyłem się, prawda; idzież zatem
Że wzrosłem? — — — — — — — —
— — — — zwitkiem tym pargaminowym
Możnaby ludzi otoczyć gromadę
Tak bo szeroki! — wszakże jednem słowem
Krótszym a głębszym, wlewać można radę,
Moc, rozrzewnienie, pociechę, lub zdradę! —
Cóż ztąd? — —

Czy człowiek, widząc tak szeroko
Na każdą chwilę swojego żywota,
Ile zakreśla mu do koła oko;
Doszedłby, gdzie są wszech-mądrości wrota? —
I wielkich świata spotkał luminarzy
Tam, gdzie powinien; nie tam, gdzie się zdarzy?
Czy raczej zwiedzić winien obszar cały,
Nie okiem jego, lecz okiem luzkości

Skreślony jemu gdy był jeszcze mały,
I śnił na progów własnych pochyłości.
I patrząc, gdzie się widnokrąg zasklepia,
Myślił że człowiek, skoro tam dobieży,
Rękoma swymi niebios się uczepia,
Wysysa nektar i jak Bachus leży? —
— — — — — — — — — — —
Trzebaż więc zawsze, by serce gorala
Po brukach miasta pierwej się wytarło
I łza człowiecza wędrowała z dala?
Tu, by samotniej niż w zaciszy marła,
Twardniejąc zwolna jak ziarno opala!
Złotnik, ażeby brał potem jej jądro
Ważył i w kolce osadzał i może
Dewizą jaką naznaczywszy mądrą;
Przypiął do ciżem, lub psu na obróżę —!

Nie! — tu jest czasów jakaś tajemnica.
Albo tu kłamie się już jak dla rymu,
Albo jednego tu nie ma szlachcica,
Co by jak Scipio, sam gadał do Rzymu;
Albo tu cała szlachta — to konnica! —
— — — — — — — — — — — —
Nie! — — prawdy dziwnej blizkość czuję łonem! —
Ateny, przecież jak Rzym świetne były,
A jednak Scyta Zamojxiz z Solonem
Różnił się niby odmienne dwie siły. —
Mamże Epiru zostać Pygmalionem,
Czy rzymskie jeszcze oglądać mogiły
W ogromnych łunach? i mimo Zeusa
Padłe jak niegdyś Korynt za Mumiusa? —
Stój! —

W rymie zdradnej płynności jest siła:
Sybilla stara, co w sieniach mych dziadów
Siadała jadać, pomnę, że mówiła:
By strzedz się echa-słów i winogradów
Upajających nie tykać nad miarę. —

Któż retoryki nauczał tę starę? —
Mistrz gdzie? co onej nie szczędził przykładów —
— — — — — — — — — — — — — —
Nicość! — — — — — — — — — — — —

§. 2.

— — Skończyłem wczora na zwątpieniu —
Dziś mój Grammatyk wskazał mi cynika
Sławnego w Rzymie — nie powiem imienia. —
Są ludzie, których lepiej znać z ich cienia:
Twarz w twarz spojrzawszy, osobistość znika.
Tego gdzieś medal widziałem brodaty
Z zagłębiającym się w przestrzeń wejrzeniem;
Dziś mówił myślą, słowem i skinieniem
Najoczywiściej — w ostatnie bogaty.
Co myśli? nie wiem — co mówił? nie pomnę —
Co cierpi? z płaszcza wyczytałem w łaty —
Smutno mi —
— — — — — Rzym, jest to miasto ogromne.

§. 3.

Kto jest Mistrz-Jazon-Mag? zapytać muszę.
Mąż tajemniczy a powszechnie znany —
Kto Arthemidor? — o tym wiele tuszę —
Kto są tak zwane w Rzymie Chrześciany?

§. 4.

Adrian Cesarz wymyślił rzecz nową:
Każdy wiek inną wyrazić budową.
Będzie to jakby historyi zwierciadło,
Będzie to jakby sztuki abecadło,
Ogromne dzieło i praca niemała!
Narodów różnych niewolnik zajęty —
Wiek się zadziwi, przemysłowi chwała! —
W prowincye nawet rozchodzą okręty:

To z robotnikiem, to z ciętym marmurem.
— — — — — — — — — — — —
Rzym jeden Rzymen, a świat — jego murem.

§. 5.

Mistrz Arthemidor dzisiaj szedł ulicą,
Trzymając w ręku liść lauru: przypadkiem
Uronił tenże — ucznie w raz rozchwycą.
Tak niegdyś z polnym postąpiłem kwiatkiem.
Tu mądrość, owdzie zachwycało lico;
Tamto — to było kiedyś, i ukradkiem —
Są myśli, które choć naznaczyć trzeba
Czemś, jakoś — później one się rozświecą! —
Zda się iż równie znachodzi je sztuka,
Podobną będąc zbłąkanej dziecinie,
Co nuci, patrzy i maca, i szuka —
— — — — — — — — — — — —
Ten ustęp, mamże pozostawić, czy nie? —

§. 6.

Że to nie piszę na stylu wystawę,
Naznaczyć muszę choć kilkoma słowy:
Widziałem dzisiaj twarze dwie bladawe:
Dwóch niewolników, dwie schylone głowy,
Związane ręce — byli to zbrodniarze,
Niewdzięczni panu swemu, zbiegi, trutnie,
Leniwcy — wspomnieć smutno jakie twarze!
Jeden uśmiechał się bardzo okrutnie,
Wejrzenie widzów raniąc — drugi w kroku
Zdążał mu, przeto iż dłuższy był w stanie.
Szli tak w kurzawy i pięści obłoku —
— — — — — — — — — — —
Jak mam rozumieć tygrysom rzucanie?

§. 7.

Cóż jest niewolnik? — — — — — —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

— — — — «W siódmym paragrafie
Iglicą znaczę» to Zofia mówiła,
«I zwój jak długi był na powrót wiła»
Potem — «doczytam i w toż miejsce trafię»
Dodała, ręką przecierając czoło —
Potem — «pamiętnik dziwny» — potem «kto to?
Przychodzień jakiś — u Arthemidora?
Kto był? — radabym poznać go z ochotą.
Mistrz-Jazon! — przy nim młodzian jakiś wczora
W cienniku bocznym przechadzał się długo;
Wszelako owy, wiem zkąd rodem. Sługo!» —

Tak gdy kończyła Zofia wykrzyknikiem,
Kotara boczna fałdy szerokiemi
Drgnęła, rozsuwać wszcząwszy się od ziemi
I Egipcianka, uprzedzona sykiem
Jak syka człowiek gdy igłą się zrani,
Weszła, nietrudny ukłon dając pani.
Zofia milczała, pismo mając w dłoni,
Zaś niedoszyte płutno swe niewiasta
Trzymała — wreszcie słowa te uroni —
«Która wigilia?» — «wigilia dwunasta»
«Dosyć» — służąca znikła za kotarą —
Pani się przeszła swobodnie po sali
Lecz gdybyś pierwej na oną twarz starą
Patrzył, a potem zatrzymał się w dali,
By niewidzialnym będąc, Zofię widzieć —
Rzekłbyś: zaiste! piękne straszne bywa
Odkąd się człowiek pocznie za nie wstydzić.
Tak' bo bezładnie na twarzy jej grało
Uczucie błędne i znurzone ciało.

To rzekłbyś widzu i dodałbyś: smutno!
Patryciatowi, sciencii, epoce. —
A potem łzę byś na Egipskie płutno
Rzucił i nie w te uwierzyłbyś moce
Rzymu, pod maską wylęgłe okrutną —

I nie w te czucia, które dają noce
Dyalektyczne u mistrzów wymowy.

Tak zaś bolesnem poczuwając drgnieniem,
Nie byłbyś zdolnym rzec jasnemi słowy;
Lecz byłbyś zdolnym dotykać sumieniem.

Są bowiem drogi dwie wyrozumienia,
Przez wiedzę jasną lub skryte cierpienia:
Druga, na Zofii twarz rzucając światło,
A światło z sługi jej przyjścia wywarte,
Zmieniała pierwszą, to jest wiedzę na tło,
Na zapisaną lecz czytelną kartę.
Jakoż w ten sposób czytając osobę,
Mylić się można sto razy na dobę;
Raz wszakże zgadłszy, wie się więcej o niej,
Niż żebyś rok z nią przeżył na ustroni.

Po chwili Zofia przepatrzyła jeszcze
Pargaminowy zwój cały jak długi,
Z uwagą, z jaką baczne czynią sługi
O szatę pana, gdy padały deszcze.
I skryte w ścianie otwarłszy framugi,
W alabastrową złożyła go urnę,
To rzekłszy — «kiedyś wyleję jak strugi
Wszystkie te razem rapsody pochmurne,
Które do siebie mają że upadam,
I nie rozumiem się i nie posiadam.
Wszakże, mówiła tak draźliwa pani,
Jak ktoś z owoców ocknięcia wesoły:
«Nim się rozbudzi, właśnie świt go rani —
I gniewałby się na same anioły
Humór — z którego powstają tyrani!

Nie była wszakże Zofia złą kobietą,
Ani aniołem pisarz pamiętnika —
Lecz stało się to przez oną ukrytą,
Potęgę czasów, gdy w żyjących wnika

I aktorami czyni ich drammatu —
Co się rozwija jak cierń, lub pąk kwiatu.

Po chwili jeszcze z tej drugiej potęgi
Snu czy lenistwa swego, ocknęła się,
I jakby znikło jej wspomnienie księgi
Egipcjankę znów pytała o czasie —
Którą wigilię obchodziły warty? —
Lecz dlań odpowiedź była obojętną,
A głos już więcej szczery i otwarty,
A sługa cicha bynajmniej natrętną.

Po tym przechodnim dyssonansie ona
Stała się trzecią osobą — tą samą,
Którą widziałeś wśród mądrego grona,
Z służbą jej stojąc ukradkiem za bramą.

VII.

«Więc z nimże samym mówiłeś dziś jeszcze?
Gdzie? w sali bocznej przy inpluvium, czyli
W ogrodzie?» —

«Nie wiem — tylko jednej chwili
Słuchając, pomnę że na fali dreszcze
Patrzyłem, ruch jej śledząc ondularny;
Więc — przy inpluvium dziać się to musiało —
Człowiek tak z miejscem bywa solidarny,
Czy myśl tak często łączy się z przestrzenią,
Że jakaś licha rzecz i przedmiot marny,
Przez porównanie świecą jej, lub cienią?» —

«Zaiste — na to odpowie Grammatyk —
«Zkąd idziesz zgadłbym, słyszawszy ten attyk.
Nie przeto jednak mało jest dziś w Rzymie
Jak Arthemidor wymownych, i wnoszę

Że obcy nawet słyszał już to imię
I że nie pierwszy ja chlubnie je głoszę —
I że dość wyrzec: on!» —

— Gdy szli ulicą,
Grammatykowi przerwał poczet konny,
Nadbiegający z taką błyskawicą
Hełmów i mieczów, i dzid które świecą,
I orłów, zastęp znaczących koronny;
Iż skoro kużu dwie spadały fale,
Na dwa przechodniów rozstępy zdziwione,
Syn Aleksandra znalazł się przy Skale.[1]
Grammatyk nie mógł przejść w tąż samą stronę
I niecierpliwe dawał tylko znaki,
Co chce — jak młode po za gniazdem ptaki.

Środkiem zaś onych przechodnich rozstępów
Biegł najprzód hufiec ów w jasnych zbroicach;
Lamparcie skóry tym jak skrzydła sępów
Zdały się pierzem wyrastać przy licach,
Dotykać ledwo bark i pływać w wietrze.
Pierwszy ten szereg orły trzymał cztery
I — s, p, q, r,— złocone litery
Na ciężkich włóczniach. — Drugi, zbroje letsze,
Sposobem partów do ciała przywarte,
Welgnione w konia zagiętem kolanem —
I piersi na przód swobodnie otwarte
Z łuskowem kryciem jasnem, jakby szklanem.

Nad tym zastępem w trzy strome ogniwa
Trzy wieńce łączą się, i w kształt tablicy
Wyobrażenie jaśnieje wilczycy.
Dalej i Dacki smok z ogonem pływa
I kręte trąby miedziane trębaczy
I krzyk — odeprzeć! — kto zboczyć nie raczy. —

[1] Skałą, nazywano cały obwód kapitolijski.

Za tem przestanek — jedna kużu skiba
Przepadająca w nic, jak na dno ryba
I jedna chwila rytmowej cichości —
I dumy pełen czy opieszałości,
Czy wyróżniony przez ruchu swobodę,
Pretor na koniu płowym, mąż otyły
Oglądający się, gładzacy brodę,
Jak człek urzędu pewny, lub swej siły.

Ten zwolna jadąc, piesze wiódł szeregi
Do środka w koło nieporządnie zwite,
Jak cyrk przenośny z okolnemi brzegi
I oś mający stanowczo nie wbitę.
Tą osią, byli do pół obnażeni
Męże trzej, dobrze powrozem ściśnieni,
Lecz onych ledwo widziałeś niekiedy,
Czoła lub piersi nagością świecące,
Wśród chmur zwichrzonej do koła czeredy —
To wyjawione, to zapadające.
I były one jakoby członkami,
Co nieraz leżą na cyrku drgające
I lśniły one za rózek snopami —
Rózek, co sądy znaczą i liktorów —
Jak białe lilie gęsto ogrodzone.
Jak białe lilie z sadu wychylone,
Widne, przez wrota szerokich toporów
Co przywierały się lub zawierały,
Skoro się męże niosący je wili,
Ulicą krzywą, pod stopami skały.

Przed onym płotem toporów i wici
Szli i kapłani, niosąc kadzielnice:
Poważni, czasem po oczy zakryci,
Wyzierający tylko na ulicę,
Kiedy się zmięszał porządek szeregów.
Także i tłómacz, i pisarz, i szpiegów

I świadków nieco — dalej poczet drugi
Ciekawych — swoją hierarchię mający
Przez onych pierwszych klijentów i sługi;
Lecz mniej solenny i rozprawiający.

Do w pół, na osła pochylony grzywie,
Fig kupiec mówił: «Żydów trzech powlekli!
«Chrześcian!» — Gladjator odparł mu chrapliwie
«Wróćmy» — ktoś inny «Choćby też osiekli»
Gladjator rzecze: «nie ma po co chodzić —
Nędzne to — hajże! — odrość się, odrodzić,
Zawdziać się w siłę na cyrku zdobytą
Nie taka łatwa rzecz! — cóż? że i bito,
Ale jak bito?» — to mówiąc dokładał
Pięściami na wiatr, okraczał, przysiadał,
Wołając «hajże! — w słup — dextra! sinistra! —»
«Naści lwie!» kupiec rzekł, rzucając figą —
A inny drugą «moja, więcej bystra»
A inny «moją zawarczę jak frygą» —
«Wiecie co? ja wam dopiero wyłożę
Rzecz, co słyszałem w kuchni Senatorskiej!
Pozwólcie, ino płaszcz lepiej założę»
I spluwał akcent kłamiąc oratorski
«Pozwólcie — rzecz ta ciekawą być może —
Pozwólcie!» — mówił po trzecie mąż mały,
Z wielkiemi w uszach srebrnemi kolcami;
Mówił, wśród klasku fig co wciąż padały.
«Tandem, to rzecz jest, w której dosyć idzie
O ogrodnika pewnego». — — «O Gwidzie
Będziesz mi mówił» kupiec fig zawoła
«Wiem, iż powlekli tego apostoła —»
«Gwidzie?» — z kolcami mąż odeprze mały
«Tu jest pytanie jak wykłada szkoła?
Gwido, wulgarne powieści go zwały,
Że bez nazwiska był, bez nazwy — zgoła
Sierota, quidam zwana dalej, quido
I nieuczona gawiedź, która woła

Gwido, lub nazwę łączy apostoła,
I inne — wszakże nie wiedząc zkąd idą!»

Tak mówił drugi ów gladjator słowa
Co raz to szybciej — gdy osoba nowa
Użyła większej jeszcze ciekawości,
Mówiąc. — «Sam boski cesarz w swej mądrości
Dozwala bogów czcić wszelkiemu człeku,
Ani wyzuwa z dóbr, praw i wolności
Za to — jak działo się innego wieku. —
Sam boski, boskie cenić umie rzeczy;
Ale jest prawo i to służy jemu,
I jemu przeczy ten, kto prawu przeczy;
A prawo trzeba znać — z czego pochodzi,
Że jest ciekawa rzecz jak się to zgodzi:
I czy fałczywie Gwidon oskarżony,
I jako obie pokażą się strony?» —
To rzekłszy, cofnął się do towarzysza,
Który na boku wstrzymał się na chwilę —
I szli pośpieszniej.

«Różnie się ucisza
Lud» rzekł Grammatyk. «O tyle o ile»
Towarzysz na to — i szli. — «Przez przypadek
Znalazłem się w tym zgiełku; nie sam byłem;
Zginął mi uczeń» — tu uczynił spadek
W głosie i nie co obrócił się tyłem —
«Uczeń?» — «Jakoby — przyjaciel niejaki
Arthemidora, z prowincyi młodzieniec,
Którego wdrożam w treść wiedzy wszelakiej,
Gotując może togę, urząd, wieniec —
Zresztą, nie uczeń jak to wy zowiecie» —
«Różne są nazwisk użycia na świecie»
Towarzysz na to. — «Jakże zdrowie Maga?»
Grammatyk znowu. — Po chwili milczenia
Towarzysz na to «pochlebne życzenia! —
Dzięki! — jak zawsze: taż sama powaga.»

«Więc zdrow?» — «więc» na to towarzysz odrzecze:
«Vale» Grammatyk rzekł «oto ma zguba!»
I okręcił się łokciami jak szruba,
Gdy wraz Epirczyk dodał «nie uciecze» —
Z uśmiechem także witając drugiego
«Widziałem, pomnę u Arthimedora
I mam do Mistrza list» — «przyszły kolego»
Odpowie Barchob uczeń i zdążali
Milcząc, jakby się wcale, lub dość znali. —

VIII.

— Teraca była mozajką wysłana,
Przedstawującą modre pawi stado. —

Wchodnią tej ścianą jest domostwa ściana,
Z trzech innych każda przejrzystą arkadą,
A każda z arkad tych poopierana
Na faunach, którzy wieńce na się kładą.
W sposób, iż stojąc w takowej teracy,
Podobny jesteś do biustu pod łukiem,
Gdy nogi twoje suną jak po tacy
Z gładkim klejnotów bawiące się brukiem.

Dodać tu jeszcze należy: popstrzenie
Cieniami liści i różne zielenie
Rozlicznych krzewów, co mają stosowny
Ton zieloności do kwiatów swych blasku,
Często i zapach, jak przekład dosłowny —
A poznasz Zofii dom po tym obrazku.

Tam Arthemidor, gdy wchodził swobodnie,
Zofia ruszyła iglicą kościaną:
Wraz z stołu, który ma półkosze spodnie,
Spadł w nie zwój pisma, ścierając się z ścianą
I spoczął w mroku jak owi co leżą
W cieniach, czekając póki niezostaną,
Oddani rzeczom do których należą,
A wtedy będą rozwici i staną.

— «Szczęśliwież wchodzę albo nieszczęśliwie?»
Mówił, bynajmniej nie troszcząc się o to,
Jak ten, co palec kładzie na ogniwie
Brązowem u drzwi, z nałogu ochotą,
I tejże treści odbiera skinienie,
Jak nieczekaną odpowiedź lub echo,
Pewny, że nie jest troską ni pociechą —
Podobnie mówią po za Styxem cienie!

Wszelako Zofia, gdy podniosła oczy,
Spadała jeszcze z nich czytania krepa,
Co po mozolnej pracy chwilę mroczy;
Gdy duch że czuwał, natura jest ślepa
Póki się w nowy akord z nim nie stoczy —
Więc rzekła niemniej mało trafnem słowem
«Cóż jest szczęśliwość?»

«Dowieść to gotów'em,
Acz w sprzeczny sposób, bo wchodząc nie w porę —

To ledwo dowód, że różne są doby,
Organizacje, też zdrowe i chore —
Lub, że nie tykać tych rzeczy — byłoby
Lepiej —»

«Tych rzeczy?»

— «Lub w inne sposoby»
Zofia to wszystko do Arthemidora
Mówiąc, kończyła jakoby czytanie;
Po chwili wszakże rzekła: — «jestem chora!
Mów mi — czy Jazon Mag nie będzie w stanie,
Jak to nie jednej uczynił osobie,
Przez ziół potęgę, lub przez zaklinanie
Wzmódz mię? i o tej czy nas przyjmie dobie?»

— «Nas? w tem wątpliwość, acz sam doń dziś idę —
Nie mawia bowiem na raz z dwojgiem osób;
Do Elokwencyi mając dar i sposób,
Jakby kto brał się przenieść pyramidę!» —

«Idź-że» mówiła, podnosząc się zwolna,
A potem w dłonie klasnęła swywolna
I Egipcjance pocichu wchodzącej,
Wskazała znakiem co ma ponieść za nią —
Gdy Mędrzec czekał, acz wreszcie niechcący
Dała mu rękę i wyszedł z swą panią.
Poszli — za niemi wonie olejkowe
I szat szelesty i cienie się wlekły,
Jak gdy wiatr wionie w pustki ogrodowe,
Gdzie skwary pierwej paliły i siekły —
Lecz miecąc liście, nie odziewa w nowe. —

IX.

Gdy Pretor z konia zsiadł, już przedtem nieco
Po obu stronach perystylu, stały
Gwardje w lamparcich skórach i co świecą
Łuskami; od tych w prost na polot strzały
Szerokie widzisz schody gdzie trybuna
I złoty posąg Cezarski, świecący,
Jak w mroku rannym pożarowa łuna.

Tam — poczet pieszy po stopniach rosnący
Wkraczał, trzech wiodąc oskarżonych ludzi
O zbrodnię, która lud do buntu budzi.

Po krzykach, w prawo, w lewo — i po owem
To tu, to owdzie ciąganiu się tłumu,
Które zdaje się ciałem tym zbiorowem
Miotać, jak wielką rzeczą bez rozumu:
Stało się wreszcie, iż massa ta cała,
Od wierzchu schodów do schodów podnóża,
Usadowiła się i wyglądała
Jak zawieszona płachta jaka duża,
Z rozlicznej barwy okrawek zszywana,
Do wietrzonego podobna dywana.

Prócz osób głównych nikt z tych co tam biegli
Przy towarzyszu drogi się nie wstrzymał
Jedni się zdala zaledwo spostrzegli —
Drugi dojść nie mógł gdzie chciał, lecz się zżymał
Na wyrywany mu z rąk rąbek togi,
Którym się druha i rozmowy trzymał;
Inny szedł z tłumem, zdawszy się na bogi.

Syn Aleksandra poczuł tuż przy sobie
Kolumny ocios i wsparł ręce obie —
I blizko rdzeni będąc, słuchał sprawy. —

Barchob, Jazona uczeń, stał daleko;
Lecz rzucał okiem nie bez pewnej wprawy,
A okiem zimnem — tak rzemieślnik wieko
Trumny ogląda i dwie strony mierzy,
By trafnie oddać co której należy.
Tak czyni jeszcze i posłannik, który
Ma zdać rachunek z liczby i natury
I położenia rzeczy; ale przeto
Tyle jest wierny, ile oddalony
I wie co to jest? o ile? i gdzie to?
Lecz w tem nie będąc, jednej tylko strony
Nie zna: ta właśnie jest rzeczy zaletą!

Grammatyk nie sam stał, po jednej stronie
Kupca fig, z drugiej mając gladjatora —
I coraz zdawał się pokłaniać skronie
W prawo to w lewo — jak osoba chora,
Lub niemy, kiedy mówić chce o zgonie.
Pisarz te słowa jął czytać:

— «Zaiste
Ze świąt, jeżeli które uroczyste
W obliczu prawa, to Cezarskie święto;
Mąż co tu stoi tak jak go ujęto,
Jak świadczą starzy, znający go zblizka,
Nazwiskiem Quidam, że nie miał nazwiska,

Potem zaś przezwan Gwido — mąż zuchwały
I czeladnicy jego — gdy wieczorem
Wieńce i lampy, naznaczonym wzorem,
W każdym się oknie Rzymskim kołysały,
Nie tylko w tejże nie uszczknął radości; [1]
Lecz wyznał głośno, iż gorszyć to może
Chrześcian słabszych, co w niewiadomości
Są, jak Cezarskie rozdzielić i Boże?» —

«Świadczcie!» odezwał się Pretor do grupy
Szpiegów i świadków, stojących pod słupy
Do pół okrytych cieniem, w sposób taki —
W jaki się nocne kryć umieją ptaki,
Skoro je światło południa zaskoczy:
Że głos ich słysząc, nie widzisz osoby;
Osobę widząc, widzisz ją po oczy
I mógłbyś deptać nie wiedząc — jak groby! —

Jeden z tych, gdy się wszyscy odezwali
Porządkiem, jakim w cieniu owym stali
«Świadczymy!» — prawił:

— «A ja, o to właśnie
U siebie — biednym będąc — lampy cztery
Gdy zapaliłem; patrzę — jedna gaśnie!
Zgroza! — Gdyż cztery miały być litery,
Wyobrażone lampami czterema —
Tandem, łzy w oczach mając, szukam grosza,

[1] Za panowania Adriana, męczeństwa były rzadkie, ale męczeństwo trwało tem uciążliwej że właśnie pomiatano sprawami temi, na policyjne je zamieniając kwestje. — Podobnych o lampy, wiele spraw było tem ważniejszych dla prawdy, iż te illuminacje zamieniały z czasem drzwi na bogi! Z tego zaś względu iż męczeństwo w całej swojej wojennej ostrości nie wywoływane było, boleści dla prawdy były tem sroższe, że bezjawne i wielkiej wymagające baczności. — Co do właściwego znaczenia odpowiedzi Zbawiciela — «oddajcie co Cezara Cezarowi a co Bozkiego Bogu» ta przez Ojców Kościoła objaśnianą jest w apologiach, acz wystarczy nam dodać tylko: że zapytanie które ją wywołało, należy do tych, które nigdy nie powinny były mieć miejsca; powiedziane jest albowiem iż Faryzeusz, kusząc Chrystusa Pana, zapytywał.

By nową kupić lampę — grosza nie ma!
Tandem, cóż mówić chciałem — ten jest Gwido
Ogrodnik, który coś składał do kosza,
Przed drzwiami domu stojąc — gdy ci sami
Dwaj drudzy, ucznie jego, właśnie idą,
Idą, i mówią sobie coś czasami. —
Tu ja, że widzę drzwi nieozdobione
I ciemność: lampy, że niezapalone —
Nuż wołać, dalej przestrzegać, zaklinać —
I jak brzmi słowo czytane wybornie,
Stało się — bowiem nie chcę już wspominać —
Przed Bóztwem raczej padając pokornie. —

To rzekł, i upadł, a za nim i owi
Co mu świadczyli, świadkowie świadkowi. —

Upadek taki Kapłan Jowiszowy
Widząc, garść myrry w kadzielnicę rzucił;
Toż czynił Pretor — i inny i owy,
A każdy ściągał twarz jakby się smucił,
Lub głową wstrząsał, lub ręce zakładał,
Jakby się ludziom na migi spowiadał.
I szukał ruchem co raz mniej kłamanym,
Aż znajdzie w sobie głos dość wiorogodny;
Bo głos mniej może niż giest być udanym,
I ztąd mniej skory jest i mniej wygodny,
I musi w kłamstwo pierw zagaić ruchem
Drugich; aż tego się nazbiera wiele —
Wtedy zaś zwie się już ogółu duchem,
Wyrazem myśli w tym zbiorowem ciele.
I już się nie zwie kłamstwem — lecz organem,
Albo koniecznym ogniwem tradycyi,
Albo przyjętym trybem nieskłamanym,
Regulaminem mody lub policyi —
W sposób iż człowiek kłamiący, tam będzie
Przez porównanie białym, jak łabędzie:
Dla tego właśnie, iż możność zachował
Zbłądzić — i oną wszech-prawość zepsował.

Na tak niejasne ztąd patrząc budowy,
Zrozumiesz łatwo co w nich człek wywoła
Zacny, cieniować gdy nie będzie mowy,
Przez miłość prawdy wiecznego Kościoła.
Albo do tegoż o ile się zbliży
Prostak, mów swoich nie ważący zgoła;
Dla ludzi patrzeć nienawykłych wyżej,
Równy boleścią bólom apostoła —
Acz ów zuchwalec przy wyznawcy stanie,
Często toż samo cierpiąc katowanie;
Dla tego tylko, by widziane było,
Pokąd człek może własną dotrwać siłą —
Lub aby świadczył, gdy inni kląć poczną,
Aż oba w raju wieczerzać odpoczną.

Ta to różnica męczeństwa i wojny,
Że pierwsze, dając krew, jeszcze ją daje
Zmnożoną przez to, co dawca spokojny
Czyni, okrzętne łącząc obyczaje
Do datku swego — i kruszynę chleba
Tam, tak i wtedy daje, jako trzeba.
Daje tem samem krew swą — więcej sobą
Do szczętu siebie dotrwając osobą.
Więc po-na-śmiertną obłócząc już siłę,
Co zwija topór jak kartę u księgi
Znanej — na skrzypców smyk zamienia piłę;
A w nierozwity róży pąk obcęgi,
I jeźli dziwno, że w wrzącej oliwie
Jan święty krzepciej niż przed męką żywie,
To w mniejszym stopniu, toż samo zjawisko
Jest ci zwyczajnem i znajomem blizko:
Gdy obok stawisz mściwego człowieka,
I tego który przebacza, a czeka,
Aż chwila przyjdzie, że przeciwność w sobie
Zniosłszy się sama, do stóp padnie tobie.

«Gwido!» rzekł Pretor «wstręt ofiarowania
Bóztwu, tem więcej winę twą odsłania —
Mów!» —

— «Za człowiekiem, szpiegiem, co przed chwilą
Padł na kolana, widzę wasze głowy,
Sędziowie moi! jak niemniej się chylą:
Mąż ten podchwycił was giestem, mnie — słowy —
Nikt z was nie wierzy w Bóztwo Cezarowe,
Bo Cezar nie jest też od Apollina,
Jowisza, Bacha, roślejszym o głowę —
A ci że byli ludźmi, nie nowina! —
Jakoż bez Boga będąc, szukacie go
W wyższości męża tego, to owego;
I ztąd zaiste mam ja dla was litość.
Wszakże bez granic mieć jej nie mam prawa,
Bom nie jest pierwszy i znam przyzwoitość;
Mam wzgląd na wszystkich, których jest ma sprawa,
Na tych co byli przedemną sądzeni
I tych co będą, i tych co są może
Tu, gdzie wśród ciżby ludu utuleni,
Jeźli zrządzenie ich powoła Boże.»

To mówiąc, pojrzał z tem skąpstwem anioła,
Z jakiem chleb łamiąc w ubogiej rodzinie,
Ogląda ojciec żali co nie ginie,
Im chętniej dając, uważniej do koła — —
«Jakoż, czci Bozkiej nie dam posągowi,
Przez który kłamstwo wasze się stanowi,
I strząsam szaty, nie iżbym Cesarza
Klął, albo zniżał, jak indziej się zdarza;
Lecz że go cenię. Wy co wart, nie wiecie;
Wy uwielbiacie, cenić nie umiecie.
A że z przed serca Boga wam zakryto,
Zowiecie Bogiem wszelkie incognito.» —

«Na klęczki!» — Pretor głosem wrzasł takowym,
Jakim się sprawia szyk w polu bojowym —
Aż poszła cisza po rzeszy szeroko,
Jak po jeziorze nagła wiatru zmiana,
Aż w poczcie gwardyi jękło coś głęboko,
Szablica jakaś spadła odpasana,

Czy trąby dwie się przypadkiem gdzie zbodły,
Czy głos tak dzielny był, a tłum tak podły.

«— Czekaj! bom w ustach nie miał nić trzy doby —
Ja i te zacne dwie ze mną osoby,
A głos masz silny przez sytość i wprawę
W komendę — czekaj, niech zakończę sprawę.»
To mówiąc Gwido chwiał się i był blady,
Jak gdyby mówił: czczo-mi — lecz poziera
Na dwóch co za nim stali, jak na ślady. —
Gdy ktoś, co dotąd o głaz się opierał
Przy jednej z kolumn, rzucił trzos i skinął
Wołając: «chleba! — hej — po trzykroć płacę!» —
Co rzekłszy, tak się w togi zwój owinął,
Że wraz skoczyli ludzie i na tacę
Włożywszy chleby, ponieśli mu w górę,
Bacząc szlachetną postać i naturę.

Syn Aleksandra rzekł: «ci ludzie, trzy dni
Nie jadłszy, omdleć mogą w osłabieniu,
Widzę to» — «ktoś jest?» szpieg zawoła z cieniu.
«Doktor!» krzyknęło trzech, a byli zgodni,
Że posądziłbyś o wczesną umowę —
I — tu dwa kłamstwa stały w przesileniu:
Oskarżające, i to co w natchnieniu
Współ-miłosierdzia tchnęło trzech — ludowe.
Tamto formalne, to nie obmyślone,
Jak grom, co nie wiesz w którą wytnie stronę.

Gwido «Bóg zapłać» rzekł, gdy współ-skarżeni
Poczęli chleb jeść, a tak cicho było,
Że i najwięcej środka oddaleni
Słyszeli dziękę, jakby się im śniło,
Że tuż przy Quidam stali w onej dobie;
Bo ciszej było tam niż bywa w grobie.

«Teraz» tak kończył Gwido «już się stało. —
Teraz jakkolwiek broniłbym tej sprawy

Nie uwolnicie nas — znam, bez obawy;
Więc posilone, jak jest, weźcie ciało;
Bo nie zniżyłem prawd przez ich oprawy,
Ni przez zuchwalstwo na szwank naraziłem;
Ni wywołałem nawet urągania,
Ni zniknąłem, marnym uznawszy się pyłem!
A to są sprawy nie do wybaczania!»

— — — — — — — — — — — — —

«Dosyć!» zawołał z krzesła wstając Pretor
I dwakroć spluwszy rzekł: «ja tam nie retor.»

X.

Gdy w jedną stronę błysnął rząd pancerzy,
A w drugą, sądom wyższym odroczonych
Poprowadzono trzech, by zamknąć w wieży;
Tłum się ze schodów stoczył wywyższonych,
Od góry zwolna próżniejących z ludu,
Co zszedł się czekać krwi, buntu, lub cudu.
Które z tych zjawisk wysłannik Jazona
Przyszedł tu znaleźć, rzecz nieodgadniona.
Barchob, z Judei rodem, nie Chrześcianin,
Ani polityk, a tem mniej poganin —
Wymowy także oratorskiej zwrotów
Unikający, jak wstrętnych kłopotów;
Milczący szczelnie, lub dwoistej treści
Słówkiem, słuchane cechujący wieści.
Patrzący chwilę na postać człowieka,
Gdy odpowiedzi ten od niego czeka.
Niekiedy oczy, do koła czerwone,
Uchylający w tę lub ową stronę;
Profilem piękny, postawą wątpliwy,
Zaklęty zda się w mistrza swego ruchy,
Na cień z za Styksu może zbyt lękliwy,
Na męża nazbyt przejrzysty — jak duchy. —

Pytania takie szybko przechodziły
Przez Aleksandra z Epiru ciekawość,
Gdy szedł z Barchobem, który dwoił siły
Przez towarzysza pociągany żwawość,
I czuł się z wykłych giestów wyrywany
Powolnych — giestów może Mistrza-Maga. —

«Nie znałeś Gwida? —»
«Gdyby mi był znany
Byłbym z nim». —
Słuszna zdaje się uwaga,
I przeto rzekłem ci: «nie znałeś-Gwida»
A nie: czy znałeś Gwida? zapytałem.»

Syn Aleksandra wstrzymał się jak dzida,
Kiedy osadzisz konia w pędzie całym,
Wzdrygnięta naprzód i w tył —
«Czy nie będzie
Za późno Mistrza odwiedzić Jazona?»

— «Gotów jest mniemam i zawsze i wszędzie
Przyjąć» — co mówiąc otrząsnął ramiona
I wskazał ręką od Tytusa łuku
Na bok, acz droga dłuższa i bez bruku, [1]
Dodawszy:

«Zwyczaj mam, unikać huku.»
— «Służę!» — towarzysz odparł mu i w cieniu
Drzew szli powolniej. — Czas był ku-zachodni,
Jasny, że czytać mógłbyś najwygodniej;
Lecz czerwieniały już w słońca promieniu
Rzeczy, które są ostro rysowane:
Amfiteatru szerokie profile,
Trzy piętra łuków z głazu wyciosane,
Wnijścia do arkad zwęźlonych zawile.
Rzadko kto śpieszył ku Kapitolowi,

[1] Przez łuk tryumfalny Tytusa, po zburzeniu Jerozolimy zbudowany, Żydzi patryoci przechodzić nie lubili.

Tam i sam raczej błądząc, jako w porze,
W której cel ruchu odda się ruchowi,
A myśl i mowę że pięknie na dworze — —
Usposobienie to, każdego ima,
Kto w rytm idących, tak wszedłszy, takt trzyma.
Tak więc wiódł Barchob z Epiru młodziana,
Gdy nagle spotkał kobietę podżyłą,
Służebnę — ile z tego jak odziana
I z kosza w ręku wnosić można było,
A Egipcjankę — co wraz poznać z cery
I z ust, lecz pierwej z ruchów bez maniery,
Uspokojonych abnegacją pewną,
Dziwną — że wziąwszy się, by kosz postawić
Lub wznieść, mniemałbyś iż ma błogosławić
I że udając sługę — jest królewną.
Tę piękność wszakże co z przetartej szaty
Wyzierać zwykła, mijał Rzym bogaty;
A retor, fałszerz daru i uczucia,
Krył ją w misternie kwiecione zepsucia —
I ledwo dostrzegł jaki Grek — atoli
Grek, gdy postradał Grecję, więc co boli,
Nie mając ziemi, zna że gdy brak kraju,
Ojczyzna dwakroć większa, sięga raju! —
Rzym w Estetyce był już, jak za wiele
Wieków Gallowie w błotach swych być mają,
Albo Anglowie — gdy przypuszczę śmiele,
Że ci naprzykład, świata ster trzymają.
I tworzą sobie Rzymy jakie nowe,
I smak i piękność wedle siebie głoszą,
Nie dramatyczną — lecz bóztwo jałowe,
W którym nie chodzą żywi — które noszą
Jak fasces, słowem coś, co jest niezdrowe. —

O Barbarzyńcach tych młodzian tak marzył,
Gdy Barchob mówił z niewiastą znajomą,
Aż nagle patrząc w kosz, jak kwiat się zwarzył
Owiany szronem, i tak nieruchomo

Patrzył, jak gdyby dno kosza niejasne —
Czytał — zaiste czytał: pisma-własne!

— — — — — — — — — — — —

XI.

Przez bramę miasta, przez winnic kwadraty,
Furtki owiane w roślin aromaty,
Którym bluszcz służy jak zwiewna zasłona,
Strzegą zaś ręką niesadzone kwiaty, —
Przechodzić trzeba do Mistrza Jazona.
Nareszcie, skutkiem tej rozmaitości,
Dziwniej niż prędzej, stoisz tuż przy murze,
W który się schody zanoszą nie duże
I wisi młotek brązowy, w kształt kości.
Zerdzony spodem, od wierzchu świecący
Że go gość każdy oczyszcza niechcący.
Tym raz uderzasz, i wchodzisz w ciemnicę,
Bo dalszy schodów ciąg od furty pnie się
Nie już do domu, lecz znów na ulicę
Wyższą tarasu; ten, jest jako w lesie
Sosn włoskich rudą kępą ocieniony —
I jak sznur prostą ścieżką przekreślony.

Za tej zaś ścieżki końcem, widnym oku,
Nie sterczą mury domu na obłoku,
Lecz tak się miesza wzrok wśród drzewnych alej,
Że iść tam musisz by wiedzieć co dalej —
Ścieżka ta bowiem, od samej połowy,
Dwie strony mając, jak leśne parowy,
Co raz się głębiej wrzyna w gaj sosnowy,
I co raz gęściej starym świeci brukiem,
Z fragmentów różnych złożonym jak smętarz:
Ten, że był urną — owy, może łukiem
Ten sarkofagiem, biustem — ów pamiętasz,
Że gdzieś w frontonie świętyni ma brata,
A wszystkie dobrze zrównane i w skazie
Każdej otkane mchem — zdala — jak krata
Zielono-złota, leżącym na głazie.

To — już podworzec; dalej — zwykłym wzorem —
Domostwo, tylko, że zawsze otworem.

— — — — — — — — — — — —

Barchob był może gdzie w drogi połowie,
A Egipcjanka w domu swojej pani;
Kiedy Mistrz Jazon Zofii badał zdrowie,
Czy horoskopy składał jej lub dla niej,
Arthemidora zostawiwszy w sali
Niższej, gdzie mnogich rękopismów wstęgi
Leżały w wazach i kompasów kręgi
Ryte, i zodjak, i bogowie stali.
Fontanna w środku nizka, z brązu lana,
Z gipsu popiersie nad nią Adriana.

Drzwi do tej sali, będąc otworzone,
Przysionku wnętrze odsłaniały oku;
Drzwi od przysionka niemniej inną stronę
Podwórza w ramy swe, nakształt obłoku
Obejmowały — a światło, złamane
Po dwa kroć, biło prosto na fontannę.

Tam Arthemidor siedząc, nie wesoło
Poglądał, jako osoba znudzona,
Na ogół rzeczy leżących w około
I słuchał wody kroplistego grona,
Rozperlanego wciąż w brązową wannę,
Przez łkania swoje i łzy nieustanne.

Czy Mag na górze z Zofią był podobnie
Jak ten z fontanny szmerem zatrudniony?
Nie wiem. Czy pani mówiąca ozdobnie
O drobnych rzeczach, z nieznanej mu strony,
O drobnych czuciach, niezmiernie żałobnie,
O głównych prawdach często, lecz z ich strony
Kolorowanej przez tychże opony —
Czy pani przytem dziwnie ujmująca

Wdziękiem, co blado promienił jej z czoła
Jako Dyannie grzebień pół-miesiąca,
Czy mówię Maga obchodzi? lub zgoła? —
Nie wiem. — Wszelako Mistrz Jazon miał drobne
Słabostki, zdala patrząc, niepodobne
Do solenności, w którą się obłóczył.
Baczył naprzykład, żeby względ na stopnie
Ceremoniału chować i jak? — uczył,
Domawiać lubiąc słowo to «roztropnie»
Świat oficjalny nie był mu przeciwnym;
Owszem powoli ocierając czoło,
Zwykł był nazywać go «cale naiwnym.» —
Gdy mówił «Cesarz», nie patrzył w około
Jak augurowie i filozofowie;
Lecz palcem krymki dotykał na głowie,
I mówił głosem — co wielu baczyło —
Takim, jak Cesarz mawiał, z takąż siłą:
Acz w tem najmniejszej przysady nie było.
Filolog wielki! Greckiego zażywał
Z Rzymiany, nie dość wyznając się wprawnym
W latyńską mowę; gdy ucznia przyzywał
Z Fenicka mawiał doń, lub innym dawnym
Językiem, pełnym szeptań i przydechów.
Chrześcian — znał mało, lub gdy mawiał z niemi,
To o lekarskiej sztuce, płodach ziemi;
Też jak z niewiasty — nie stronił i śmiechów! —
Dziwny mąż! — Cesarz, że był wiedzy chciwy,
Znał go, lub wiedział kto jest ów sędziwy,
Ze swoją laską włóczący się długą
I Charonowym nazywał go sługą. —
Mistrze stopniami byli z nim w stosunku,
I mnóstwo osób znało — tak — z trafunku.
Wędrowni męże z za wielkiego-morza,
Biedni mówili — że jest: ręka Boża,
I nieraz ciche widziałeś osoby
Przed perystylem Magowego domu,
Na grobów złamkach siedzące jak groby;
Obce w stolicy, nieznane nikomu,

Łokciami wrosłe do kolan od brody —
Gdzieś spętanego narodu — rapsody.
Nie jeden leżał tak w blasku księżyca,
Na nocne mało uważając chłody,
Pod murem, inny w kuczkę jak kotwica
Zwił się, i słońca przeliczał zachody.
Mistrz Arthemidor — kto znał go już bliżej —
Szersze od Maga wykładał pomysły.
Natchniony nawet bywał, lecz nie ścisły
I niewątpliwie że wszystko brał niżej;
Acz potrącony Jazona milczeniem
Lub wątpliwością dziwnie wyrażoną,
Wzbierał — i takim porywał natchnieniem,
Orlim, że słuchacz z żadną nie stał stroną,
I gdzie przechylić się nie wiedział wcale,
Co Jazon zwykł był zwać: nie-nowe ale — —

Mędrców tych bliżej badając dwoistość:
Wzniosłość — Koryntczyk znał, Mag — uroczystość —
I była jedna między nimi strona
Nieprzełomliwa, jak czasów wyroki,
Wyczerpniętemi słowy naznaczona —
Po czem w dwie strony obracali kroki,
Milcząc — a znali tak ową granicę
Czuciem, jak mało wiedzieli czem ona? —
Gmin w tem dwóch mędrców widział tajemnicę,
Która ich łączy w jednego olbrzyma,
Głów mającego dwie, cztery ramiona;
I myśląc że to w jedności ich trzyma
Co rozpychało ich lub rozdzielało,
Zbliżoną napaść za jedno brał ciało.

Schodząc Mag z Zofią te jej mówił słowa:
«Niewiasto zacna — to tak — w tej już chwili,
Mniemam, że lepiej czujesz się — żeś zdrowa;
Nie iżbym odjąć mógł — jak to robili
Dla innych inni — niemoc, wyższą mocą;
Bo nie ten przedmiot spotykam przed sobą.» —

Zaiste — przyszłam jakby czując po co.»
Odrzekła Zofia —

«Inną może dobą» —
Mistrz Jazon mówił «o księżyca nowiu
Dano mi będzie znać o pełnem zdrowiu —
Dasz mi znać.» —

«Jako? — przyjdęż? — czy Barchoba
Czy ciebie Mistrzu w progach mych zobaczę?» —

«Rzecz jest, rzecz będzie, nie ma być osoba?»
A potem dodał zimno «i ja raczę
O kiju przywlec się gdy przyjdzie pora.»
Tu zaś obrócił się do Arthemidora
Dla dwojga razem grzeczność dając jedną
I wspomniał: «Wiele niech nie czyta chora —
Szkoda, że stare rękopisma rzedną.
Dobrze jest miewać wzgląd na autora,
Kiedy się czyta — cóż za rzecz przedziwna
Czytanie! — jako gałązka oliwna
Lub migdałowy kwiat.» — Koryntczyk rzecze:
«W tym względzie panią ile mogę leczę.» —
A Jazon dalej — «Kiedyś, wchodzi do mnie
Osoba, oczów prawie pozbawiona;
Ból swój i żałość wyrażając skromnie,
Za nią tuż — lektor, głos mający równy,
Czysty jak woda dobrze przecedzona,
Nie wiem czy taki, czy inny jak ona. —
Ten choć niósł pisma w torbie, nie był główny,
«Bo dalej jeszcze szedł autor tych rzeczy.
Dnia tego, tyle mając do przyjęcia
Osób, nie mogłem dosyć mieć na pieczy
Ile dać kropel — jakie owinięcia? —
Nie wiem, co z tego będzie? — czasem doba
Przeszkodzi, czasem przeszkodzi osoba
Czasem —» Koryncki mistrz poprawił togi
A Zofia w czoło patrzyła Magowi

«Czasem — do siebie mają to i progi —
Czasem wszystkiego człowiek i nie powie,
Co miał powiedzieć i zgadywać trzeba
Jakiego komu dać o ile chleba — »
To mówiąc zwolna, przerywanym głosem,
Poglądał w ziemię, i gładząc siwiznę
Co raz to rzucił wyplątanym włosem;
A usta, jako gojącą się bliznę,
Pogodnie zwijał i od brwi falami
Do góry zmarszczki mnogie podejmował,
I zamilkł. Strząsnął potem raz palcami,
Jakby zapomniał coś albo żałował —
Akcent co długo nie dał do myślenia,
Czy się już wątek mowy nie wysnował?
Tak — iż Koryncki Mistrz bez omówienia
Ku drzwiom pojrzawszy, najprzód wstał z siedzenia.

Zkąd Jazon wiedział że Zofia doń niosła
Rękopism owy, dziwnie znaleziony?
Zkąd? że i autor nie był oddalony —
Bo szedł z Barchobem — ciekawość choć rosła
Nieraz w słuchaczu takich Maga gadek,
Nikt tego jednak wybadać nie umiał,
Lub szukał w sobie — czyli je zrozumiał? —
Czy nie trafiło się to przez przypadek? —
Wszelako słowa te «osoba ciemna
Za nią tej lektor z rękopismem — dalej
I Autor tegoż —» jako nieprzyjemna
Wieść, brzmiały Zofii gdy przez gaj wracali.

XII.

Syn Aleksander, słysząc z mów Barchoba,
Kto była ona służebna osoba,
Także zkąd niosła drobiazgi kobiece
W koszu — zkąd przez tę wracała ulicę —

Milczał; lecz w sobie pamięcią przezierał
Co ów zwój, trafem zgubiony, zawierał? —
I choć z Barchobem rozmawiał potocznie,
Wciąż miał zwój pisma własnego zaocznie,
Które że było raczej pamiętnikiem
Rzeczy i wrażeń niedzielonych z nikim —
Do swobodniejszych odroczonym czasów,
Pełnym doraźnych skróceń i nawiasów —
Dośledzić nie mógł lub nie czuł się w stanie
Zgadnąć, co pism tych wywoła czytanie? —

W sposób, iż przedmiot jednem odniechceniem
Zrzucony z stołu w drobiazgi doręczne,
Jednym usłużnej ręki poruszeniem
Podjęty, z koszem tam i sam noszonym,
Mógł się stać dwakroć większem zagadnieniem,
Niż najciekawsze z zapisanych w onym.

Tak więc szli k'sobie tym samym sposobem,
Z Arthemidorem Zofia od Jazona —
I Aleksandra syn tamże z Barchobem:
Ci raźniej — tamta opieszalej strona.

Zofia swobodniej czując się na sile,
Przez ciemną sosen włoskich kolumnadę
Idąc, mówiła: «Wszelką Maga radę
Zebraćby można w o tyle o ile,
W preceptę z liczby i z czasów wysnutą;
Lecz słów misterstwo i określeń dłuto
I ta powagi całość, zkąd pochodzi? —
Nie wiem! — z tem człowiek mniemam, że się rodzi.»

To mówiąc, kwiaty zrywała, lecz owe,
Które się w parów schylając podłużny,
Do rąk jej — czoła swe chyliły płowe,
Jak smutne dzieci żebrzące jałmużny —
I szła, co czyni nie bacząc, lecz raźniej —
Gdy Arthemidor wreszcie jej odpowie:

«Jazon» tu przestał «jesteśmy w przyjaźni»
Tu znowu przestał «wielu wraca zdrowiej
«Od Mistrza tego do siebie; lecz mało
Z krystaliczniejszą myślą powracało —
Tak — iż dwie z jednej idą ztąd choroby:
Choroba myśli gościa lub osoby —
I dwóch Jazonów w mieście by się zdało
Na dwóch kończynach wielkiej czasów strugi,
Co jest jak Tyber —»

— «Tyś jest Jazon drugi»
Odrzekła Zofia —

«Pani —» Mistrz jej zada:
«Jeźli zgadujesz rzeczy za Styxowe
Któż sama jesteś?»

«Wyobrażam sowę,
Zwłaszcza iż słońce właśnie że zapada;
I będę mówić ci o każdym z ludzi,
Którego spotkam: Czem lub kim się zbudzi.»[1]

Tu się ku furtce tarasu zbliżali,
Lecz ta skrzypnęła prędszym ruchem od nich,
I w ramie onej, na łunie z opali,
Wśród błąkających się blasków zachodnich,
Dwa kształty rosły mężów dwóch przychodnich.

«Któż jest ten pierwszy Quidam? — rzekł do Pani
Towarzysz, dalej prowadząc rozmowę:
Gdy wraz zbliżyli się wzajem poznani.
A Aleksandra syn rzekł: — «Poniósł głowę
Pod topór może.» — «Co to znaczy? —
Kto?» — i przez chwilę trudno zgadnąć było,
Co pozdrowienie takie zagaiło,
Co ten a owy w słowie quidam baczy,
Co Zofia słyszy, co Barchob rozumie,
Co Arthemidor — czworo — lecz jak w tłumie.

[1] Żart ten odnosi się do mniemania Pitagorejczyków o przechodzeniu dusz.

Jeden więc płochy żart myśli niewieściej,
Niedosłyszenie jedno i nazwisko
Męża — co świeżo oddan jest boleści,
Zrobiły zamęt, który stał już blizko
Sprzeczki; albowiem pomięszał powagi,
O ile prawdy nie znosiły nagiej. —

Mistrz Arthemidor czuł się może nieco
Wypartym z blasków, co jak Febu świecą,
Czyniąc go zawsze stojącym wspaniale.
Utwierdzonego na słonecznym wozie,
W nieodpoczliwej swej apoteozie.

Zofia też, którą, jak Safo, na skale
Gmin przywykł mniemać wiszącą u liry
Dłońmi, a rąbkiem ledwo szaty nikłej
W nieodgarnięte zaplątaną żwiry —
Czuła się w roli swej zachwianą zwykłej.

Barchob pojmować nie mógł, że wypadek
Może mieć miejsce — a jego towarzysz
Stał, jako powód sprawy i jak świadek —
Co jeźli dobrze, jak zaszło tu, zważysz,
I zwiększysz w postać takiego ogromu
Jak Rzym. Odpomnisz niejasne powieści
O Chrześcianach, iż są plagą domu,
Który ich ciche osoby pomieści;
Tudzież o znaku linji dwóch przeciętych,
Co tych przeklętych strzerze czy tych świętych —
O cieniach zmarłych i nazwisk ich sile
Takiej, że wzmianka sama zrobi tyle —
Tyle niesmaku i roz-społecznienia,
Dla jednej nazwy — mniej — dla nazwy cienia!

— — — — — — — — — — — — — — —

Tak się i stało — przy onem spotkaniu,
Gdzie wyraz: «quidam» ład pomięszał cały,
Aż po stopniowem mylki sprostowaniu,
Postacie w formy dawne powracały.

Tylko zbliżone lekkiem przypomnieniem,
Że jednem błąd je raz ogarnął cieniem.
Więc — zapewniwszy że się od-zobaczą,
Do miasta jedni szli, drudzy do Maga,
Lecz Zofia odtąd zgadywać się wzdraga
Kto są przechodni ludzie i co znaczą
Tam, gdzie wszech-duchów zawisnęła waga. —

XIII.

To już dwa wieki od Grecyi pogrzebu,
Gdy biały duch jej podniósł się ku niebu
W szlaki dokonań, dzielone na stacje
Gwiazdami dziėjów, między konstelacje:
I stał tam z lirą w przestronym lazurze,
Na resztę dziatwy patrząc rozproszonej,
Co tu i owdzie przy pękłym marmurze
Stojąc, liczyła tryumfy i zgony —
I czekał, jako narody zabyte,
Aż wszystko będzie do szczętu spożyte —
Aż Grek ostatni przymiotem lub winą
Zginie, i myśli same się rozwiną,
Wpisując w tejże porządek litery,
Ile są wieczne — Greków drugiej sfery,
Zrodzonych może u krańców północy, [1]
Co jak rodzeństwo, zbiegną ku pomocy. —

Rzym wtedy swym się Adrianem cieszył,
Mniej bacząc co się między gwiazdy działo;
Sto razy na dzień bok duchowi przeszył,
Greckiemu Rzymski, w swe go strojąc ciało;
Lecz najswobodniej mężniał sam w tej sile,
Co wolna marzeń, sypia na mogile;
Sile wyższego coś-mającej może,
Lecz przez zakryte jej widoki Boże.

[1] W kilkanaście wieków Byron. jedzie służyć-sprawie Greckiej.

Więc rzymski szlachcic jeszcze rad był Greka
W bibliotece chować, g'woli rzeczy
Piśmiennej, która wolnej chwili czeka,
Albo z ckliwości w dni deszczowe leczy.
I słuchał bajek spisanych w Homerze,
Tak — jak komedyi przeciw-sokratejskiej,
Dowcipnej, że aż śmiech nieledwo bierze:
Lub stawiąc łaźnię, czy ratusz gdzie miejski,
Grekowi radził zmieniać Kapitele
Kolumn — ten środki że znał — a ów cele. —

Grek przeto młodzi prawił o Sokracie,
Myśląc o Rzymskich podatków zapłacie,
Lub tryumfalny stawiąc łuk — — Kolumny
Przepraszał w sercu i dłuta czuł zgrzyty,
Gdy duch mu Grecyi szeptał: «nie bądź dumny
Lecz cierp — ulecisz za mną na błękity.
Tyś mistrzem ziemi tej — a Tybru glinę
Na posąg w ręce wziąłeś — nie zaginę!» —
Inny — syrenę tę, z pół-rybiem ciałem,
Bez wrzących pulsów, odepchnął daleko,
Idąc — za coraz nowym ideałem
Coraz nowego mistrza: co ci rzeką?
Posłyszeć — chwilę rozgorzeć — «skonałem —
Wstałem» zanucić radośnie, lub w dobie
Trudnej z Zenonem [1] pomyśleć o grobie —

Nie był to wszakże czas Rzymskiej potęgi;
Bo już Rzymianin znał się że realny,
I zapisował porządnie do księgi
Edykt ten albo ów perpetualny,
Ciesząc się więcej edyktów porządkiem,
Niż rządem — najmniej ciesząc się ich wątkiem.

Niewolnik chyba lżej posuwał kroku,
Czując że ręką ktoś go wiedzie w mroku;

[1] Z Zennonem o samobójstwie.

Lecz zali Cesarz to był? lub właściciel?
Nie znał — i wietrzył — jak spóźniony mściciel.

Żyd — milczał w izbach zawartych jak trumny;
Chrześcianin znikał, lecz jawnie i w czynie,
Jako przy świetle kagańca, kolumny
Też same zawsze, czy je olśnisz, czy nie — —

A jako bywa wśród ległych ogromów
Myśli lub ciała, że w proch się trą nikły —
Tak już, rozgłośnie systemy-atomów
Brzmiały: te zawsze jedno znaczyć zwykły! —
Znaczyć — co znaczy na zimnej miednicy
Popiół, gdy mirry braknie w kadzielnicy.

Ci co wchodzili do Mistrza Jazona
Ujrzeli rękę jego wyciągniętą
Na znak, by siedli. — Lampa zapalona
Przeciw fontannie płomień niosła kręto,
A blaski onej rosą odkroplane,
Drżącemi światły wbiegały na ścianę. —

Mistrz siedział, nogi mając wzdłuż podane,
Jak się na nizkiem spoczywa siedzeniu,
Lecz nie odmienił nic w swem zamyśleniu,
Tylko niekiedy dłoń podnosił k'czołu
Szerokim łokciem przypartą do stołu,
Jak człek na pierścień gdy patrzy — lub mniema
Że czas jest powstać, ale woli nie ma.
Po chwili w stronę gościa wzruszył głowę,
Lecz do Barchoba wraz zatoczył lica
Mówiąc: «co zaszło?» —

— «Zdarzenie mniej nowe
Niż smutne» — odrzekł, patrząc jak na świecę
Na wzrok Jazona, który nań promienił.

«Chrześcianin Gwido mówił — to i tyle» —
Tu zmilkł i blade lica zarumienił. —

«Cóż oni mówią?» — Jazon rzekł powoli,
Bez pytajnego akcentu, ni soli:
«Cóż?» — odrzekł Barchob, jak echo gasnące —
I była chwila ciszy, która boli
Jak głośne kłamstwo, lub prawdy ginące
W czasie, gdy wszystko mają, oprócz woli —

«Mówił — gość rzecze po niejakiej chwili —
Że Bogi więcej od Cesarza czczone,
Jako: Apollin i Bach, ludźmi byli —
Że są prawdziwe rzeczy i zmyślone —»

Kiedy to zdawał gość głosem nierównym,
Mistrz Jazon, głowę uchyliwszy w stronę,
Słuchał, lecz widno sens mu nie był głównym
Przedmiotem treści, tak wypowiedzianej —
Lecz słuchał, jakby kto? mówi sens znany.

I znów fontanny tylko łzy perlone
Brzękły — czy Barchob cofnął się do ściany.

— «Że są prawdziwe rzeczy i zmyślone
Jest fałsz — i prawda.» Jazon zimno doda —
Patrząc, jak kropli się w fontannę woda:
«Zkąd rodem jesteś?»

— «Z górnego Epiru.»

«Szkoły?» —

«Różnego zażywałem steru
I oto pismo mam Arthemidora.» —

Wziął je, i patrząc do okoła sali,
Wyciągnął rękę ku bazie Castora
Z Polluksem — rzucił — i pojrzał ażali

Legło? jak człowiek lekarstwo ważący,
Niby roztropnie i niby niechcący —
Potem rzekł:

«Cesarz!» — jędrnym głosem wcale —
«Panuje mądrze nad szerokim krajem,
W którym są ludy jednym zjęte losem.
Różne i różnym żywe obyczajem —
Obyczaj jeden — trwa lat sześćset, trzysta;
Inny znów ośmset lat — człowiek nawzajem,
Obyczajowi służy jako może,
By przecie robił coś! acz jest chwilowy» —
To zaś litośnie poparł ruchem głowy —
«Więc trzeba cenić, gdy dziecię po wzorze
Pisząc, dokłada i swój trud jałowy!» —
— — — — — — — — — — — — —
Tu przetarł włosy i sprysnął palcami
I rzekł: — «Innego dnia będziemy sami —
Teraz już późno.» — Wstał — Barchob na stronie
Ku lampie miał się. —

— «Zrodzona w Sycionie
Czy w Knidos? — Jest tu poetessa pewna:
Grecja do siebie ma że była śpiewna.» —
Mówiąc to tonem żegnalnego słowa,
Mistrz Jazon ginął w mroku wielkiej sali.
Syn Aleksandra czekał aż ta głowa
Siwa, od lampy oświecona w dali,
Zmierzchnie i jako meteor się schowa:
Potem — stał jeszcze, jakby słuchał nieco
Co zmówi powieść wody różańcowa,
Skoro ją blaski księżyca oświecą,
Już niełamane od ognia promieni;
A potem westchnął i wyszedł. — Noc była
Widna; podwórzec usłany z kamieni
Bielał; lecz w każdym pierwsza myśl ożyła
Zkąd był? do czego złamkiem swym należał?
I każdy z głazów tych, zdało się oku,
Że przypominał się znajdować w tłoku

Wstrzymany, ale nie ówdzie gdzie bieżał —
Ztąd niemy lament między temi bruki
Czułeś i różnych wytężeń splątanie:
Co Aleksandra syn baczył, jak wnuki,
Gdy legend poczną skwapliwe czytanie,
Słysząc chód znany, szelesty i stuki
I nieuważne mieczów potrącanie
Takie, że rzekłbyś dziady szli ku tobie
W miarę twojego zaczytania w treści;
Lecz wstrzymywali się, chowając w grobie,
Ilekroć brałeś rzecz ich za powieści,
Lub zmianą ruchu wypocząłeś sobie.
Szedł więc ostrożnie, jak wśród rzeczy żywych,
Przez on podwórzec ku parowu jamie,
Plamami cieniów pstrej od sosen krzywych,
Wiodącej ścieżką swą ku znanej bramie;
Tu — ówdzie — bacząc leżącego w ciszy
Męża, co w śnie się przewraca lub dyszy,
Albo półsennej modlitwy domawia;
Płaszcz strząsa, kamień pod skronią poprawia.
Ci wszakże goście senni — byli jemu
Bynajmniej dziwem; każdy ich widywał
I mijał — myśleń aby nie przerywał
Lub snu, lub mowa ich że cale inna
Od Rzymskiej albo, że postawa gminna!

Syn Aleksandra owszem myślił raczej:
«Oto tu Zofię spotkałem — tą drogą
Szła — cóż pomyśli skoro mię zobaczy? —
Co mi odpowie i z jak wielką trwogą —
O pamiętniku gdy wspomnę zgubionym?»
Dalej — «jak wspomnę?» — myślał jeszcze dalej
Chwilę «co było? w pamiętniku onym
Że radby przejrzeć go, że potem spali —
Acz wiele mógłby dopełnić miejscami.»
I tu mu Gwido stanął przed oczami
I Mag. — Postacie te mało podobne,
Pamięci próbą nieco oddalone,

Rozjęły mu się w kształty dwa, osobne:
Wspomnienie Gwida ściśle określone
Czynem, w jasności dokonanym dziennej,
Żywotny miało blask, bynajmniej senny;
Szczegóły wszystkie dośrodkując w czynie,
Po lada fraszce przypomnieć się dało,
Jak chleb, ten samy smak ma i w drobinie,
Co w bułce — albo jak toż samo ciało
W ćwierciach na cyrku, gdy męka już minie —
Wszakże nie mając strony tajemniczej,
Nikło jak zwykły fakt, bo niezwodniczy! —
Wspomnienie Maga było, jak tych rzeczy
Kosztownych, z miasta spalonego wziętych,
Które dopełnia wzrok i patrząc leczy:
Posągów takich gromami pociętych
Nie zapominasz jak roboty własniej,
I jasny ci ich kształt, gdzie był niejasny,
A ciemny ówdzie gdzie w pełnej trwał sile;
W sposób, że ileś włożył w nie, znasz tyle.
Mistrz Arthemidor w przeglądzie takowym
Wspomnień, mniej więcej został jednakowym;
A Zofia co raz w myśli się wtrącała:
Jak rzecz zgubiona ciekawa choć mała,
Którą odnaleźć gdy się człek usadzi,
Nie idzie o nią, lecz traf ją sprowadzi?

Tak marząc, nagle w pobocznym rozstępie
Drzew ku księżycem olśnionej płaszczyźnie,
Usłyszał łoskot — jak gdy skrzydło sępie
Bije, jeżeli wąż się w gniazdo wśliźnie —
Łoskot w przestanki porwany gniewliwe,
A dalej słowa zgryzione namiętnie,
I znowu łoskot — jak w ciało nieżywe —
I echa tętno liczące po tętnie,
Tępe jak kropel rzucanych po ścianie
Spadki, lub suchej gałęzi trzaskanie.
Tam więc skwapiwszy się, gdy patrzył chwilę,
Ujrzał naprzeciw biustu Apollona

Postać jakoby męża w wieku sile,
Wzruszającego raz po raz ramiona,
Tam i napowrót kroczącego gniewnie,
Jak gdy kto swego fuka niewolnika
Lub klnie, tylko że sługą był tu pewnie —
Kamienny bożek bez sił i języka.
Tego więc plwając, pokoić się wracał
On mąż i siadał chwilę na uboczy,
I znów przypadał doń, pięściami macał,
I milkł — i siadał znów — zakrywał oczy —
Scena ta, zwłaszcza przy świetle niepewnem,
Zatrzymywała wzrok na chwilę długą,
Uczuciem widza nie przejmując rzewnem.
Czasu gdy nieraz krwi gorącej strugą
Cucono rzesze na cyrku znudzone,
A rzadki wierzył — i trza było może
Wierzyć, by kopać wizerunki boże! —

Syn Aleksandra patrzył w stronę ową
Długo, nie wiedząc równie co to znaczy,
Jak co ma począć? — aż sam sobie mową
Przerwie «co to jest!» — i głośno zahaczy
O tuż leżące suche drzewa łomy,
Jakby ostrzegał: jest ktoś niewidomy.
Czego gdy echo zabrzmiało do koła,
Znikał on smagacz nie rzekłszy: kto woła?
A Aleksandra syn, z śmiechem czy bolem,
Szepnął «jestżem mu Gwidem czy Apollem! —[1]
Z śmiechem czy bolem? — ciekawość albowiem
W sumienia względzie bolesną jest rzeczą,
Której najczerstwszem nie poradzisz zdrowiem
Ciała — ni środkiem którym ciało leczą,
I fraszka nieraz mała — gdy zapyta
Sfinksowym głosem — na długo myśl chwyta:
— «Któż jest on gniewny smagacz Apollona?
I czemu w nocy — w ogrojcu Jazona —

[1] «Jestżem mu Gwidem?» Odniesienie myśli do zajścia na karcie 196 skreślonego «gdzie wyraz quidam ład pomięszał cały.»

Jeden z tych cichych mężów, co przy domu
Siadywać zwykli w wędrownej gościnie,
Czy i sam Jazon, nieznany nikomu
Z wiary swej — jest w tej ceremonii czy nie! —
Czy to hebrajskich mędrców jest robotą,
Chrześćjan czy także nie winują o to? —
Lecz Arthemidor tak blizki z Jazonem,
Wtajemniczony w Maga wszelkie sprawy.
Cecarz go ceni; Gwido zaś — ten zgonem
Własnym, na jawie walczyć umie z tronem.
Nie! to szalony ktoś, lub dla zabawy,
Lub który z chorych doktora Jazona
Wybiegł, księżyca opętan promieniem;
Lub nieszczęśliwy czciciel Apollona
Za liche wiersze mści się nad kamieniem. —

To myśląc i tej gdy doszedł swobody,
Która mniemania daje wyjaśnienie,
Syn Aleksandra szedł jak człowiek młody
W powietrzu które nagaba sumienie,
W powietrzu, zwianym z przedświtem Epoki
Nowej, z mętami starej — z siarką, z solą,
Z szeptaniem kształtów nikłych jak obłoki,
Z bitw gwarem, które mają być, a bolą;
Powietrzem, które czujesz, że się może
Zapalić w koło, jak pomiotło Boże,
I kometami rozstrzelić — miast wiele
Zmazać, i ludzi porównać w popiele.

Spocząć! ach spocząć! serce wtedy woła,
Szukając w koło gdzieby się oparło
Na piersiach czyich — lub progach kościoła
Jakiego? — wątpiąc czy jedne umarło
Czy wszystkie zmarły, a jedne nie zdoła! —

Noc to, w czas której ten i ów powstawa,
Nucąc lub klątwy rzucając niewczesne;
A prawda ludziom zda się jak zabawa,
Zabawa jako strapienie bolesne :

Słowo jest ogień — milczenie jest lawa —
Jakoż szczęśliwy, kto wstawszy gdy ciemno,
Nie dotknął liry swojej nadaremno;
Przedświtu blasków doczekał, a potem
Wytrwał i dniowy jaw jakkolwiek szarpie,
Wytrzymał burzę co przemija z grzmotem,
I skubie tęczę — dla serca — na szarpie.
Jakoż szczęśliwszy, kto nie posiał solą,
Mimo że słonych łez niemało strawił. —
Lez nie tu koniec z uprawą i rolą:
— — — — — — — — — — —
Kto siał gorczyczne ziarno, zgorzknił, zbawił:
Gorczyczne ziarno liche i pieprzowe,
Prochowi równe, który noga zwiewa;
Lecz wyżej serca urasta, nad głowę,
I tak się staje podobieństwem drzewa,
Że ptak niebieski gniazdo na niem miewa.

XIV.

Lucias Pomponius Pulcher, pod tę porę,
Najzawołańszym młodzieńcem był w Rzymie:
U niewiast, które szaty różnowzore
Noszą, czarownie zwykło brzmieć to imię:
U niewiast, które zaniechały pallę, [1]
A włosy w rąbek ku górze od skroni
Zgarniając, cztery na raz mówią: vale!
Imię Pomponius brzmiało jak: «do broni!»
W legiach — lub jako — o! publiczny wstydzie —
W zebraniu tłumnem poszept «konsul idzie.»

Pomponius ród swój szlachetny wywodził
Przez senatorskie krzesła. — Za Trajana
Z Pliniuszem młodszym jeden z nich gdzieś chodził
W Egipcie, drugi jadł u Domicjana —

[1] Pallum szata poważna.

Inny posłany był w Panońskie szlaki
Jako generał, zkąd koni i siana
Sprowadził na raz tyle, że żołdaki
Z prowincyi i lud, sprawy tej spektator,
Już, już, wykrzyknąć chcieli — Imperator! —

Lucius Pomponius Pulcher nie był wiele
Ćwiczony w rzeczach mądrości i prawa;
Lecz miał do siebie to, że mawiał śmiele,
I to, że Rzymska kochała go Sława. —
Urzędem żadnym jeszcze się nie bawił;
Lecz znane było, iż w willi-pomponii
Ogrodowemu bogowi postawił
Świątynię; wszakże nie uczęszczał do niej,
Filozoficzne swe mając mniemania,
O których z czasem miał napisać nieco.
Co wszakże słuszne zwlekły odkładania,
Aż się te rzeczy utrą i rozświecą —
Tymczasem Cyntie słały mu spojrzenia,
Gdy do teatrum wchadzał w swej chlamidzie,
Zębionej złotem — i coś nakształt drżenia
Zausznic kolii, brzmiało: Pulcher idzie —

Bywało nawet, że senator siwy
Za Pulchrem widząc rzesze i pochodnie,
Śmiał się i palec podnosił leniwy
W kształt V co znaczy «witaj» i jest modnie.

— Mistrz Arthemidor, starych idąc śladem
Zwał go niekiedy małym Alcybiadem;
Pomponius zasię, słysząc te wyrazy,
Zwykł był pokłaniać pedum kilka razy —
Pedum, bynajmniej gminne, z jakiej śliwy
Suchej, lub krzywej wycięte oliwy. [1]

[1] Pedum — taż sama laska, u góry zakrzywiona, której dzisiaj Anglicy konno jeżdżąc używają.

Lecz wyrzezane z zęba słoniowego,
Złotemi ćwieki misternie upstrzone,
Z napisem L. P. P. wreszcie do tego,
Jak włócznia, laska, tyrs, lub stil, noszone.

Nigdy sam, zawsze chadzał on ze swymi,
Którzy mniej więcej byli mu podobni,
Ten z szat, a owy gesty udanemi:
Ci swoi wszakże mniej byli ozdobni
I mniej bogaci, i rodem niętyle
Świetni, i wziętość mieli mniej motylę
Pomiędzy Cyntie, Lidie i Kamille —

Pierwszy z nich Florus, longinem nazwany,
Za Pomponiusem jak cień uwiązany
Chadzał — a głowa jego nad ramieniem
Przywódcy, była, jakby dopełnieniem,
Którego oko nawykłe szukało,
Bacząc czy całe jest dwugłowe ciało. —

Lucius Pomponius zamierzył oddawna
Ugościć Zofię w villa-pomponiana;
Lecz nie z powodu że ta była sławna —
Raczej, że sławną będąc, była znana.
Nie iżby liczył w sposób małogodny,
Iż ztąd dwa razy tyle będzie modny,
Do tyla cale nie będąc fałszywym,
By się wyręczał środkiem niewłaściwym —
Lecz że to wszystko mimo woli jego
W powietrzu miejskiem znajdowało spadki
Takie — iż najmniej nie dodając ego
Czyniłeś, raz się w te wpisawszy kratki;
I byłeś takim nie przez swą osobę,
Lecz że nijakim byłeś w taką dobę,
I gdybyś widział że to drugi czyni
Tylko byś winił go że się nie wini.

Już wiele razy na przechadzce tłumnej
Przez via appia, gdzie w chłody wieczorne

Przejeżdzał senat i patrycjat dumny,
Matrony, dziewki, i rzesze pokorne;
Pomponius Lucius, rydwanem czerwonym
Tocząc jak Neron, Zofii szukać lubił,
Nie iżby kochał albo chciał być czczonym,
Lub jak Chrześcianin wzrokiem ją poślubił,
Lecz że nic k'temu nie ma ani przeczy,
Że to się dzieje tak — z natury rzeczy.

Ta zaś natura rzeczy jest następstwem
Rytmu wypadków, nieujętych niczem
Gwoli celowi — i nie jest przestępstwem
W bezprawnej sferze, z Janusa obliczem —
Bo tam przestępstwa nie ma ani zdrady,
Ani przykładów nie ma — tylko ślady! —

Hołdy te Zofii nie były natrętne;
Lecz kto ją widział je odbierającą,
Dostrzegł że lica jej byłyby smętne,
Stalszemi będąc — tak kwiat, gdy potrącą
Przechodnie w sposób nie zbyt pogardliwy,
Odprostowywać się zwykł harmoniami
Słodkiemi, trzciny swej, choć niecierpliwej. —

Któż bowiem kochał, jak to później zwie się,
Jeźli to stałe ma gdziekolwiek imię! —
Któż bo lub raczej któryż? kochał w Rzymie,
Co pierwsze dziewki gwałtem sobie niesie
Z teatrum do dom — lub jak koturn zmienia
Bez obrażenia i bez przeproszenia:
Pomny, że inne czucia są olbrzymie
A inne karle, i dumą tam sięga
Gdzie się krew w ducha rozprzęga czy sprzęga.[1]

Zofia, inaczej — ona z Rzymu brała
Moc niemyślenia że gdzieindziej wzrosła;

[1] Formacje rodów kabalistyczne, bez względu na serca, a z widokami jedynie socjalnemi i politycznemi dla utrzymania ducha-rodu.

Resztę zaś kratą liry zamykała
I wtedy była czy straszna? czy wzniosła?
Nie wiem; tak klatkę lwa, gdy z nim zadrżała,
Wydążasz forty zatrzasnąć podrywem;
A choćbyś sam był lwem, wiesz jedno: «żyw-em!»[1]

XV.

«Obyczaj — wolny jest od obrażenia
W czasie, gdy wszystkie, równe mają prawo.» —
Mówiła Zofia — «ja, dziś do jedzenia
Siadam,[2] a tobie, gdy chcesz, służę ławą
I jeźli zwyczaj masz, wieńcem bluszczowym» —[3]
Co Aleksandra syn słysząc: «Gotowym»
Odrzekł «czemkkolwiek darzy przyjąć od niej,
Mimo iż bluszcz mi skroni nie ochładza —
A róże? — może, bez wieńca swobodniej;
Może stosowniej — kwiat albowiem zdradza
Upadkiem —»

«To jest stary przesąd wschodni.»
Odrzekła Zofia, gdy głowy golone
Dwóch niewolników, ku niej pochylone,
Słuchały ciszej rzeczonych rozkazów,
Jak wyciosane kariatydy z głazów.
«Więc przyjmę lauru wieniec lub dębowy.
Pierwszy, ażebym z odkrytą był głową,
Jako ty jesteś — drugi, iżem głowy
Nie oddał treści słów twych piorunowej.» —
«Młodzieńcze!» Zofia na to mu odpowie
«Jesteś przyjemnym bardzo biesiadnikiem!
Rzecz coraz rzadsza, tak, iż w krótce, kto wie?
Może nie będziem jadać albo z nikiem.»

[1] «Żyw-em» skrócenie jestem żywy albo uszedłem cały! —

[2] Tak kobiety greckie jadały, przy łożach siedząc.

[3] Wieniec bluszczowy od odurzenia winem — spadanie kwiatów z wieńca, oznaka nieszczęścia w miłości — a wieniec dębowy nosiły osoby które ominął piorun, co godność i świętość oznaczało.

«Zaiste, co raz mniej umieją gościć»
Syn Aleksandra prawi biorąc jadło,
«Aż to, co zowią Chrześcianie: pościć,
Znacznie się w biedny lud w Imperium wkradło»
«Znasz więc mysteria onych?» — «Podróż moja
Że filozofię wszelką ma na celu
Czyni, żem dotknął nie jednego zwoja
Pism, i moralnych precept mistrzów wielu —
«I —?» rzekła Zofia z pół-uśmiechem, który
Coś nie-żeńskiego miał. — «I ztąd powziąłem
Wiedzę o różnej praktykach natury.
O onych» mówił dalej «co popiołem
Chleb posypując, zstępują aż na dno
Całości człeka-zbiorowego w czasie,
I tam tykają prawd — tykając władną.
O onych» mówił jeszcze «którzy za się
Przenoszą mądrość czerpać z rządzy sławy,
I są współczesnych zwierciadłem promieni.
O onych, którzy z natchnienia jak z lawy
Wulkanu, cacka robią dla zabawy,
Albo są skrzydły orlemi noszeni — —
O onych jeszcze, którzy ważą pyły
Na szalach myśli i są jak mogiły
Etruskie, dzbanów pełni rysowanych,
Brązowych złamków, tudzież łzawic[1] szklanych,
Wyschłych, zielonych po kroplach co zgniły —»
«I —» Zofia jeszcze dodała z uśmiechem —
«I — oto twoje Pani, piję zdrowie
A pijąc będę przypuszczeń jej echem,
Że jak z ucztami, tak z mądrością, kto wie?
Czy ta się w oczach naszych nie pogrzebie;
Lub każdy mądrym będzie sam dla siebie.»
«Tego mniej dzisiaj niż kiedy-bym chciała.»
Odrzekła Zofia tonem bez znaczenia:
«Pani — to wszystko same przypuszczenia,
Które jak płonne są, to pewna mała

[1] Lacrymatoria, naczynia do łez szklanne, w grobach znajdowane.

Okolicznostka mogłaby okazać. —
I tak: elegiak pewny zapomina
Naprzykład notat z tabliczek wymazać
I gubi one» —

— «Więc wraz, nową wszczyna
Elegię, zgubę opłakując —»

«Przeto,
I mądrość niemniej, gdy się zapomina,
Może jej służyć to za szczeble nowe
Jak te elegie i tabliczki owe —
Lecz —» Aleksandra syn głosem odmiennym
Dodał, wpatrując się w Zofii wejrzenie:
«Czy o zdarzeniu jakiem bądź codziennem
Mowa? —» [1]

Gdy mówił to, zasłony drżenie
I kroków echa zwiastowały gości;
Co bacząc Zofia obróciła lica,
A Lucius z gestem dobrej znajomości
Weszedł i Florus znany z swej długości.
Pierwszy, zwyczajem Rzymskiego szlachcica
Zimno, acz grzecznie wstęp uczynił mały,
Ku Pani domu zwrócon i gościowi;
Drugi przyświadczał jak człowiek mniej dbały
Do kogo? o czem? mowa, lecz kto mówi.
Obydwa siedli — Pulcher był odziany
W przejrzystą szatę, a Florus w płaszcz tkany.
Sposobem zwykłym, te szaty przejrzyste
W Cos wyrabiane są, a rzecz ta droga,
Dla tego że jest lekka jak mgły dżdżyste,
Zazwyczaj zowie się vitrea-toga [2]

[1] Jest albowiem elegia sławna nad zgubą tabliczek z wierszami do Cynthii.

[2] Na wyspie Cos wyrabiano takie vitreas-togas — w takiej to komzy Neron chadzać lubił — Seneka, komzy takich używanie kobietom ochydza.

Jakoż mąż w szacie takiej jest podobny
Do rzeczy w szklanną pochowanej skrzynię
Ogółem-kształtu; bowiem szczegół drobny
Fałdami bywa zamglony, i ginie,
Zwłaszcza iż muchy złote albo gwiazdy
Porozrzucane są po tej tkaninie.
Krótka to była szata jak do jazdy;
Więc i na ręku płaszcz on miał — niechcący
Zwojem o pedum zaplątan kościane —
Czerwone ciżmy, w księżyc zamykane
Złoty — literą C, zdala świecący.[1]

Tak strojny usiadł, folgę dając ciału
Jak duch, co swego dobiegł ideału,
A w palcach pedum obracając giętko,
Coś do Florusa poszepnął przez ramię;
Potem na ciżmy pojrzał, strząsnął piętką
I umilkł — Florus, jak dąb, gdy go złamie
Burza i czołem ku ziemi zawróci,
Rękoma z krzesła ciężył żylastemi.

«Mieliśmy kwestię z filozofem gościem.»
Zapowie Zofia — Pulcher przerwał:

«Zgadnę!»

»Mów —»

«O czas, przestrzeń, nudę — miłość —»

«Żadne

Z zadań tych, których wyboru zazdrościm»
Więc Aleksandra syn rzecze — «Pytanie
Było, ażali wkrótce umiejętność
Dawania uczty, całkiem nie ustanie
Przez suchość serca, skąpstwo i namiętność —»
Tu Pulcher, jako gdy kto własne zdanie

[1] Takie C znaczyło liczbę sto i używało się za klamrę u ciżmów arystokratycznych.

Usłyszy, znacznie spoważnił oblicze
I rzekł — «na kwestyi takiej rozwiązanie
Więcej niż mniemaćby kto mógł, dziś liczę.»
Zdawna albowiem miałem w Pomponianie
Ugościć kilku przyjaciół i Panię —
Tak — iż by zamiar ten objawić, właśnie
Przychodzę —» mówiąc to, Zofii wejrzenia
Szukał, jak kiedy z drgającego cienia
Wnosisz że lampa ci przedwcześnie zgaśnie,
A jesteś w ciągu twego zatrudnienia.
«Czynem więc ma być kwestja rozwiązana?» —

«To jest w naturze mojej» Pulcher rzecze
«Tak się rozstrzyga wszystko w Pomponiana»
Florus rzekł: «węzły gordyjskie a miecze,
Spotykać winny się — to jest logika,
Przed którą bodaj wszech-syllogizm znika,
Co tak dalece w filozofii mojej,
Jako warunek sine qua non stoi;
Iż zczasem portyk[1] stworzę k'temu nowy,
Widząc do ila czcze są szkoły wszystkie.
Kierunek każdej krzywy i niezdrowy:
Tylko — mam jeszcze pierw do zbycia z głowy —»
Tu zamilkł — potem rzekł: «Nową artystkę
Witał Rzym wczoraj na Flory wyścigach.
Diwa Elektra!» — K'czemu Longin doda:
«Gra w cymbał, przy tem na dwóch tańczy bigach.»
— «Musi być bardzo młoda?» — «Bardzo młoda.» —
Odpowie Pulcher Zofii a ta znowu:
«Więc, do pańskiego wróciwszy systemu —
By przerwy temi nie być wstrętną jemu —»
Tu Pulcher przemilkł nieco, gdy gość dawny
Podpowie «Portyk jeszcze nie jest jawny?»
«Zaiste, dotąd, o tyle, o ile
Swobodne na to pozwoliły chwile,

[1] Portyk, oznacza tu publiczyny wykład.

Mniemam, iż wszystkie próżno nudzą tory,
Jakiemi mądrość jest poszukiwana.
Bierzmy z Wielkiego Aleksandra wzory:
Ten gdy mu była jedna z prawd nieznaną,
Tycząca bogów — tak zburczał kapłana,
Że odkrył mu ją na drugi dzień rano» —
To rzekłszy Pulcher Pomponius, dwa razy
Dotknął się palcem najdłuższym wielkiego, [1]
Jakby miał chłopca wołać i rozkazy
Dawać — lecz w gieście tym było coś złego.
Syn Aleksandra słuchał przez oblicze
Zofji — ciemne to może wyrażenie,
Ale jedyne i najmniej zwodnicze.
Zofia, słuchała jak przez uprzedzenie,
To jest, przed końcem każdego perjodu,
Co ma nastąpić wiedząc bez zachodu.
Florus, nie widząc by płynność się rwała
W przemowie Pulchra, czekał z zaufaniem,
Aż piękność treści wysłoni się cała
I nikt już z nowem nie wstanie pytaniem.
Więc tylko szeptał czasem «Pulcher! chwała!»
— Mistrz Arthemidor w ciągu tej perory
Wszedł, cichem ogół skinieniem powitał
I siadł, tabliczek dobył i coś czytał —
Potem rzekł —

«Inna, mniemam, jest brać wzory,
A inna: wzór brać —» i zamilkł.

— Te słowa
Dwulicej treści, ogół zaniemiły
I stron przeciwnych uwagę zwróciły,
Jakby tam postać weszła Janusowa.
Co gdy Mistrz spostrzegł, zwracał się ku Pani,
Niby rozmowę chcąc przetworzyć dla niej —
Gdy ta, nie słowem lecz giestem zapyta,
Jako sentencja niejasna się czyta? —

[1] Takie trzaskanie palcami, czyniło się ku zawołaniu niewolnika i zwano je crepitare-digitis.

I było cicho — Mistrz rzekł: «Tenże samy
Za przykład wzięty Aleksander, jadał
Wieczerzę leżąc — do obiadu siadał.
My, co na różny sposób dziś jadamy,
Jakoż powiemy? — ja siadłem, gość leży —
Ten i ów sposób do wzoru należy —
I tak: gdzieindziej żydowscy kapłani
Czynią, iż najmniej mąż ów ich nie gani;
Przyjmują nawet hołd od bohatera
Dla rzeczy którą prawda ich zawiera. [1]
Jakkolwiek powieść — powyżej wspomniana
Przez dorodnego mówcę a młodziana —

[1] Powieść — którą tu przytacza Pulcher o zburczeniu kapłana aby mu prawdę ciekawą odkrył, wzięta jest z listu Aleksandra do matki jego.

Co do pokłonienia są Aleksandra Wielkiego Bogu Abrahama i Jakuba to wszyscy historycy świadszą, ale Flavius Józef najwyborniej to określa. — «Jakoż kiedy Aleksander w gniewie wielkim na Jaddua najwyższego ofiarnika a przeto księcia Żydowskiego, szedł z falangami swemi w marszu na Jeruzalem: Objawione było najwyższemu ofiarnikowi na modlitwie w strachu zostającemu, aby w strojach świątecznych z pieśnią i kwiatami wyszedł przeciw przewidzianemu wojownikowi — i wyszli tak kapłani i Jaddus z niemi wyszedł w Ephodzie lazurowym, złotem tkanym, z lamą złotą na czapce swej a na lamie złotej napisane miał zwyczajem przyjętym Imię Najwyższego. — Wyszli tak do Sapha zkąd widać Jeruzalem. — Fenicjanie i Chaldejczycy w falangach Aleksandra pod bronią będący, poszeptywali sobie iż Aleksander ogniem i mieczem Jeruzalemskie zastępy i miasto zniszczy; wszelako wojownik Macedoński spostrzegłszy Arcy-Ofiarnika pokłonił się k'niemu i objął go potem i uścisnął — a gdy poufny jego Parmenion zapytał «komu to uwielbiany od świata i pół-bóg hołd oddaje? «Nie jego — odrzekł Aleksander — nie kapłana wielkiego, ale Boga, którego jest urzędnikiem uwielbiłem. — Albowiem, kiedy jeszcze byłem w Macedonii i rozmyślałem sobie, jakiemi sposoby podbić potrafiłbym Azję, w tymże stroju pokazał mi się On we śnie i polecał: abym nie obawiał się niczego, abym Helespont śmiało przeszedł i że on na czele wojsk mych będzie, czyniąc mię zwycięzcą Persów. — Jakoż nigdy odtąd nie spotkawszy nikogo ubranego w szaty one, które pamiętam ze snu mego, wątpić nie mogę iż wojnę tę wedle widoków Bożych prowadzę i że tak pogromię Dariusza, zniszczę perskie państwo i że wszystko według życzeń moich powiedzie mi się.» Po słowach tych szedł Aleksander w poczcie kapłanów do miasta i do świątyni pańskiej — i uczynił ofiarę Panu-Bogu wedle tego jak mu zalecił Arcykapłan, który potem księgi Daniela proroka podane sobie otworzywszy, okazał Aleksandrowi: jako proroctwo o Książęciu greckim perskie państwo zniszczyć mającym, właśnie na Aleksandrze Macedońskim wykonywa się.»

To podaje najszczegółowiej Flavius-Józef — Antq: Judai:
Księga XI. Rozd. VIII.

Prawdą jest — wzór więc siebie sam zaciera?
Nie — Aleksander rozliczne miał doby,
Acz tenże samy w treści swej osoby.
Wzór przeto biorąc, przedmiot się wykłada,
Gdy wzory z siebie na przedmiot się składa.» —
«Wzór jest to ogół przedmiotu, gdy wzory
Są to usterki, przymioty, lub pory,
Wzięte tak czasem iż cel się zaciera;
Bo wzór się bierze gdy wzory dobiera —
Jakoż — młodzieniec w wyrażeniu skory
Słusznie wniósł: bierzmy z Aleksandra wzory!»
— — — — — — — — — — — — — — —

To Arthemidor gdy rzekł, cisza trwała
Tylko niekiedy Florus szepnął «chwała!»
Syn Aleksandra zrozumiał sól rzeczy
I ile chwaląc mistrz, tem bardziej przeczy.
Gdy Zofia lekkim ku słudze skinieniem
Napełnić czary kazała. — Po chwili
Chłopcy dwaj z lirą weszli i z siedzeniem
Osobnem; które cicho ustawili
I wyszli, krokiem Kamillów [1] mierzonym.
Zofia powstała na pół z odniechceniem'
Na poły z giestem dobrze obmyślonym
I amiculę [2] z ramion odrzuciła
Idąc — osobne zajęła siedzenie
A lirę do-rąk wziąwszy, coś marzyła
Na nieumyślne strun patrząjąc drżenie. —
— — — — — — — — — — — —

Po chwili, czoło wzniosła okazale,
Struny tem silniej drasnąwszy iglicą;
I jęła mówić, z początku niedbale
Jak iskier rzuty — dalej błyskawicą

[1] Kamille, chłopcy przy obrzędach religijnych w chóry i processje ustawiane.
[2] Amicula-barbarica — krótki płaszczyk z rękawami — jubka — przyjaciołka.

Te tak ciskane słów iskry wstawały,
Twarz oświecały i nad czołem drżały. —

IMPROWIZACJA ZOFII.

1.

«Czy z Olympu to? gdzie są abrysy świata
Rzeczą harmonijnej kłótni bogów;
Czyjś upuszczony stil, na ziemię z brzękiem zlata,
Śmiertelnych, dziwowisko progów? —

2.

Nie stil, nie — choćby Dedalów dzieło
Nie narzędzie kruche, pism iglica;
Lecz twój o mistrzu głos i co się zeń przejęło
W myśl — i co krwią błysło na lica. —

3.

Bo inna pojąć wzór i cało-dźwięków tworu
W po-za-jawie słuchając, nad światy,
Samemu kwiatem wzrość, ku prawdzie pierwowzoru;
A inna — wieniec wić — lub rwać kwiaty — —
— — — — — — — — — — — — —
Jak ja» —

— Dodała wieszczka, kładąc lirę,
Głosem, co echa nie miał, lub nieszczere,
Gdy strun ostatnie dźwięki co raz letsze,
Strofę tę jeszcze powtarzały w wietrze:

— «Bo inna pojąć wzór — i cało-dźwięków tworu
W po-za-jawie, słuchając, nad światy,
Samemu kwiatem rość, ku prawdzie pierwowzoru;
A inna — wieniec wić — lub rwać kwiaty — —
— — — — — — — — — — — — — —

Syn Aleksandra, bardzo zadziwiony
Patrzył, na Zofii postać niepodobną
Do siebie samej, gdy za nią te tony
Rzuconej liry, na ławę osobną,

Odbrzękiwały jeszcze w cztery strony.
A postać wieszczki z nich rosnąć się zdała,
Jakoby z kręgu fali poruszonej
I szła, ku gościom, blednąc — przytem drżała,
Lecz nie przez dziewcząt obawę gołębią,
Raczej jak drzewa gdy wiatry je ziębią,
Jesieni skrzydłem odmiatając w stronę
Liście ich, co już żółte i czerwone.

Drżenie zaś takie, że jest z wysilenia,
By drugim swego udzielić natchnienia
I podnieść massę słuchaczy ku sobie,
Szybko się innym udziela; lecz czyni,
Że podnieść mogła ich, o ile w grobie
Umiała własnym pierw być jak mistrzyni.
Więc spiesznie k'wieszczce nawrócili lica
Goście — na sposób każdemu właściwy:
Pomponius z giestem Rzymskiego szlachcica —
Florus, jak człowiek gdy chce pytać «czemu?»
Lecz na obecnych pierw pogląda lica:
Syn Aleksandra, wieniec zdjąwszy z czoła,
Powoli, liście obrywał zielone.
Gdy Arthemidor-mistrz, w pośrodku koła
Stanąwszy — pojrzał w tę i ową stronę,
Na ramię potem rzucił płaszcza koniec
I już miał usta na w pół otworzone
By mówić skoro zawołano — «goniec!»

Był to posłannik Maga — postać chora,
Wchodząca krokiem wstępu i odwrotu,
A włos mająca zlepiony od potu;
Ten ręką z listem do Arthemidora
Skinął i pismo oddał — i znikł w sieni —
Gdy mistrz, to czytał zwitek, to szedł w stronę —
A goście byli nieco zadziwieni,
Sięgając myślą w list i za zasłonę.

Po chwili wszakże, dawny spokój wrócił —
Z nim przedmiot dawny czuć się dał w rozmowie
Więc mistrz, ująwszy prawy płaszcza koniec,
Na ramię lewe układnie zarzucił,
Jak człowiek ufny że dotrzyma w słowie.
Gdy nagle głośniej obwołano: «goniec!»
— Gońcem tym Liktor był z Cecarskiej świty
Dzierżący kartę pisaną czerwono. [1]
Stając jak dobrze z marmuru wyryty,
Mars lub gladjator z zwycięzką koroną —
Tak, iż pomiędzy goście cisza wiała,
Gdy Arthemidor brał list, chyląc czoło —
Florus sam jeden poszepnąć chciał «chwała!»
Lecz usta przyciął patrząc na około;
A Aleksandra syn te rzeczy ważył
Jawnie — zaś jawniej o odejściu marzył.

XVI.

Noc była — księżyc w przysionek otwarty
Szerokie składał promienie, jak karty
Księgi, z głębobą uwagą czytanej. —
Cienie dwa wielkie, ucznia i rabbiego
Z podłogi czołgać zdały się na ściany,
Wśród takiej ciszy, w której i niczego
Zląkłby się człowiek taką zdięty ciszą;
Gdy — że już koniec brzmień, myśli się słyszą —
Ta zaś, acz próżna, łamać się zdawała
Sama, na pewne akordy i spadki
Rwąc się — i ducha ruch wywoływała
Na słowo, jakiejś sfinksowej zagadki.
W przerwach tych, uczeń Mistrza śledził oko,
Poprawiał lampę, lub wzdychał głęboko.

[1] Imperatorowie czerwonym atramentem pisywali. —

Mag po fenicku mówił du Barchoba:
Który w podróżne zawity odzienie,
U nóg mu siedział i ramiona oba
Ku piersiom zgięte mając, tkwił wejrzenie
W każdy ruch wargi starca, w oka mgnienie.
«Przejezdną kartę, i na statek prawo
Wnijścia, z Cesarskiej woli się otrzyma —
Jedziesz» — tu Barchob błysnął okiem łzawo;
Co Mag zoczywszy dodał: «tego nie ma
Z postacią?» — «Nie ma!» Barchob mu odpowie,
Stwierdzając krymkę podróżną na głowie,
A potem, lampy światełko czerwone
Krzepił, strącaniem popiołu na stronę —
Więc Mag, znów rythmen jaki się używa
By czas przeczekać natrętny długością,
Mówił:

«Ten i ów rodzi się — a bywa;
Ci duchem — tamci, zbliżeni są kością,
A tamci głosu dźwiękiem — a ci mieniem,
A owi jeszcze głębszą wzajemnością
Bytów i onych spowinowaceniem.
Zastępy z tego ciągle sprawowane,
Że urastają w to co Grek nazywa
Drammą; prawdziwe rzeczy to i znane.
Lecz jest szczęśliwa rzecz — jest nieszczęśliwa!»
Tu westchnął — palcem poruszył siwiznę,
Tak ciągnąc dalej:

«Dramma też a dramma —
Grek, a Rzymianin, a Żyd, nie taż sama —
Zobaczysz jeszcze — będziesz miał ojczyznę
W dłoni — ja, może, skończyłem nad tobą —»
Tu Barchob czoło skłonił:

«Mnie, zostanie
Jak z wizerunkiem twym zostać, z osobą,
Której odbyło się w przyszłość skonanie —

Gdy ty siedm skrzydeł uniesiesz odemnie,
Bo może jesteś ów — może — to chyba
Sprawdzi mąż, który wszystkie odgadł ciemnie
I — żem nie zmylił się, powie Akiba[1]
Wtedy —»

Tu porwał Barchoba za ramię,
Ale mu w czoło wzierał tak głęboko
Jakby pisane tam dopatrzył znamię.
I spotkał się mistrz z uczniem oko w oko
Milcząc — — — — — — — — — —

Gdy nagle po płaskich kamieniach
Podwórza szybkie zabrzmiało stąpanie,
Rosnąc, a dalej i w przysionku cieniach
Mąż się pojawił nie nadspodziewanie.
Był to bynajmniej posłannik ów z miasta,
Lecz, o dziw! był to Barchob — Barchob drugi,
Tak samo wiotki, ni mąż ni niewiasta,
Młodzian, a z czołem pooranym w smugi!
Też same oczy, różowo płomienne,
Znużone z wierzchu i niby pół-senne
Wewnątrz, orlemu podobne wzrokowi. —
Taż sama młodość, stucznie starta wiekiem
Skłamanym — — obraz takowy widzowi
Zdawał się dwoić tym samym człowiekiem
Tak — iż domowy Barchob uczuł drżenie,
Gdy postrzegł gościa tego czy widzenie.
Jazon zaś — zimno patrzył nań z tą siłą,
Z którą ogląda rzeźbiarz dzieło swoje,
Tąż samą formą odlewane w dwoje;
Co? gdzie? udało się, lub odmieniło.
Uczniowi potem wskazawszy przybysza:
«Oto» rzekł «ten jest który cię ucisza
«I jako płaszczem od ludzi zasłania. —
Za trzy wigilie, masz się ku Judei —

[1] Akiba współczesny wielki mędrzec i Rabbi Żydowski.

On, tu czasowe pedejrzenia zgania —
To rzekł — tablicę wyjął z M. B. C. I.
Kościaną, w głoski te bitą złocone;
Na piersi ucznia zawieszając onę. [1]

Wszystko to szeptał mag fenicką mową,
Giest równy mając i twarz jednakową;
Tak, iż z daleka przybysz zatrzymany,
Barchoba nawet nie widział profilu
Ile że, twarzą zwrócon był do ściany:
Przybysz w oddali, jako innych tylu,
Czekał znak k'temu odebrawszy niemy,
Że gdy ten wyjdzie sami pomówiemy —
Mag uczył dalej:

— «Lista tych, z którymi
Kiedybądźkolwiek mówiłeś, zostanie —
Toć i on Barchob! spotkawszy się z nimi,
Przez stopniowane toż samo podanie
Utrzyma w ciągu, a zerwie to zerwie:
Tyś może zorzy-synem. [2] — Koniec z tobą
Nie mojej odtąd, jak mówią, Minerwie
Służysz — z twą drugą zostać mi osobą;
Coć powie wielki Akiba na górze.
To i ja wyznam, usłucham powtórzę —
Jam cię nauczył tylko abecadła
I wiesz jak, która wzrosła treść, lub padła.»
Tu — już po Rzymsku mówić począł głośniej —
«Rzym śni — jak wielki mąż — śni — i dośni
Potężny gieniusz!» —

— Romulus, na wszczęciu
«Praw — rzuca zaraz ojczyste puklerze [3]

[1] Insygnia zastępu Machabeuszów — tablica z kości słoniowej z napisem złotym M. B. C. I., który to napis wulgarnie oznacza Machabei a kabalistycznie wykłada się «któż jako Pan Bóg Izraelski!»

[2] Zorzy synem, Bareochebas wykładano kabalistycznie gwiazdy syn.

[3] Romulus, w pierwszej zaraz bitwie porzuca puklerz mały własny, na szeroki go Argijski zamieniając — i t. p. —

I już wybiera jak mąż, acz w dziecięciu,
Argijskie woli tarcze i te bierze,
Które też szersze są ku zasłonięciu. —

Łuczniki Rzymskie, zazwyczaj są z Krety,
Okręty z Rodu — do pchnięcia sztylety
Na miecze Gallów praktycznie się mieni
Z Etruryi teatr, z Grecyi bogów lica —
Bogów — których się ratuje z płomieni [1]
By nie zginęła sztuka — ta — dziewica!» —
Tu Mag splunąwszy głośno, dalej rzecze:
No — filozofia także, także nieco
Kwitnie! — Greccy to stoicy jej świecą,
Ku piersiom uczniów zawracając miecze. [2] —

Prawo? — przypomnij proszę samo prawo:
To nie w dziesięciu wierszykach spisane
Krótkich, że mógłbyś ręką je wziąść prawą
I w torbę schować, lub przybić na ścianę. [3] —
To ksiąg folianty;-to biblioteki
Takie, że gdyby barbarzyniec który
Tybrowi oddał je licznemi wory,
Skąpałby miasto przez sam wylew rzeki!
Zaiste szczęsny, komu się udało
Widzieć, wszechświata i państwa stolicę —
Lecz — gdzież jesteśmy?» — —

Domówił to z siłą
I wielką rzucił okiem błyskawicę,
Wstając, a potem z powszednim spokojem
Rzekł — «oto jeszcze chwilę razem stojem.»
I rękę kładąc uczniowi na czoło,
Które do kolan biegło jakby wagą
«Idźże —» domówił i patrząc w około
Ze zwykłą ciszą, ze zwykłą powagą

[1] **Sztuka**, patrz w następnej pieśni.
[2] Stoicyzmu doktryna kończenia samobójstwem.
[3] Do Mojżeszowego prawa zastosowanie.

Wyszedł — prez ramię dorzucając słowo:
«Posłańca spotkasz z kartą przejazdową —
Twoje, zaś, gościu, jutro się rozpocznie
Zowiesz się Barchob — wiem — niech Barchob spocznie»
— — — — — — — — — — — — — — — — —

Ten raźno wyszedł, owy toż do siebie
Wziąwszy, z podróżnym wychodził tłomokiem.
A po północy było już na niebie,
Przez księżyc obłok sunął za obłokiem.
Co raz to wietrzniej i mniej uroczyście,
Mdławo i piersiom duszno jak na burzę —
Ze ścieżek suche podfruwały liście,
Lub szeleściły kładąc się przy murze.
Wiatr bez kierunku, tu tam nagle rwący,
Suchemi w parów pryskał gałęziami
I znowu ciszy moment, acz niknący
Wracał i znowu wiatr miotł obłokami.
Wierzchami sosen obracał leniwo,
Księżyca promień chmurą łamał krzywą —
Widnokrąg cały zaciemniał się nieraz,
Błyskawicami migocąc od spodu
Tak, że wciąż myśleć mógłbyś: «oto teraz
Uderzy piorun.» —

— Barchob nasz, z ogrodu
Wyszedł, do miasta kwapiąc się ulicą —
Co czuł? wysłowić tego niepodobna:
Ogromna przyszłość, rzeczywistość drobna —
Żar — bo nie zapał — żaglem, trud; kotwicą —
Powrót po latach trzech nauk Jazoną,
Judei w dali miasteczka błękitne
I mrok — i znowu otchłań rozwidniona.
Myśli, niepewne kształtem, treścią szczytne —
Rzym pod nogami, ile razy jeszcze
Magowe słowa o nim pomnił wieszcze,
Co całą państwa sił architekturę,
Porozsuwały mu w myśli jak górę

W teatrum, z płutna, rozsuniesz klejoną,
Szczyt jedną wiodąc a spód drugą stroną.

To zwłaszcza śmiech mu do warg przyzywało,
Jak zakazany owoc — albo w mocy
Stawiło takiej, że miotałby skałą —
Gdy — nagle strażnik bram strzegący w nocy,
Krzyknąwszy właśnie przeraził go nieco:
— — — — — — — — — — — —
Tak to, nie wszędzie równie gwiazdy świecą! —

XVII.

Na plac z rozbiegu ulic wydarzony
Szerokie wrota pracowni rzeźbiarza
Otworzył człowiek pyłem ubielony —
I jak gdy słońca kto obieg uważa
Wigilie licząc, od wschodu do zmierzchu
Baczył — a potem, włosów wstrząsł kędziory,
Po sobie pojrzał i z rękawów wierzchu
Owiał pył — — ziewnął — wraz wyjrzał i wtóry,
Niemniej w tuniki fałdach ubielony,
Jakby z posągi gdy bywał, wziął na się
Obyczaj bozki Olimpijskiej strony.
Tracąc go, w miarę jak schodzi żyć w czasie —
Za niemi dwoma, z cieniu wyzierały
Antinousa biusty marmurowe
Smutne — jak gdyby płakać wiele miały
Lecz, nieskończony mając wzrok i głowę
Zapominały albo nie umiały. —
Gdy żywi, taką toczyli rozmowę:
«Dioskifilos biustów robi dwieście
Antinousa — dwadzieścia Cesarza —
Co będzie potem? — rozesłał po mieście
Ludzi: z tych każdy chodzi a uważa

Gdzie brak? i zaraz z posągiem tam idą
Lub, że przyjść mają zapisują kredą.» —
«Fidias — czy robił tak?» ozwał się z cieniu
Głos, jakbyś dłutem śliznął po kamieniu
Greckim, kryształy w swej mającym mące,
Podobne soli, stal odbijające.
Co rzekłszy wyjrzał: był to człowiek blady,
Ale bez-barwą czerstwą i przytomną:
«Nie nam w Fidiasa dziś wstępować ślady»
Najstarszy odrzekł z wykwintną skromnością.
Choćby dla tego «młodszy wraz dopowie»
«Że Fidias bóg był, gdy my, nie bogowie!» —
Sens tego słowa bóg, to jego nuta
Pokąd o bogach mowa — lecz, co pewna
To to, że Fidias-bóg używał dłuta
Tudzież marmuru, złota, kości, drewna —
Dalej — że pono za cel nie brał owej
Natury — albo z drugiej ją połowy,
Zachodził, która, że jest idealna,
Więc nieskończona i niewyczerpalna —
I ztąd, mógł robić wieki — do dziś może!»
«Komu?» «Tym, którzy byliby innemi!» —
Tu dał się słyszeć szmer i gwar na dworze,
Lektykę bowiem stawiano na ziemi
Ciężką, z wonnego budowaną drzewa,
Pstrą miedzianemi gwiazdy i gwoździami,
A jako ptasze z gniazda, nim zaśpiewa
Wychyli głowę; z takiemi ruchami
Elektry-diwy wyrastały lica;
Zaczem Pomponius rękę poniósł prawą
Ku niej — pierścieniem Rzymskiego szlachcica
Świetną — i Florus ze swą, niby z ławą
Szeroką skoczył: lecz Elektra zgadła
Obu i niźli spostrzegli wysiadła.
«Sto biustów warta!» [1] — Lucius rzekł, a owi
Którzy lektykę nieśli; zawołali

[1] W miarę zasługi nagradzano liczbą posągów przez senat wotowaną.

Pot ocierając»[1] niechaj żyją zdrowi! —
«Sto biustów warci!» — Rzeźbiarze witali
Gości, lecz rozruch w pracowni był taki,
Iż mało baczył kto, gdzie, posąg jaki.
Ciskane tylko słychać było słowa:
«Zeus! — Antinous! — oto Zofii głowa! —
Pies-Alcybiada! — Venus krótko-szatna! —
Natchnienie! — znawstwo! — amator! — spektator —
Ten ów, filozof — sztuka niepopłatna —
Bez-plamny marmur — divus Imperator! —
— — — — — — — — — — — — — —

XVIII.

Puste mieszkanie, z Epiru młodziana
Otworem stało jak wszystkie gospody,
Wytartym freskiem[2] każda z czterech ściana
Przedstawowała, jako Bachus młody
Z nimfami, sprawia winobrania gody.
— Obrazy one, w czterech medalionach
Odpowiadały sobie jak źwierciadło,
Też same, poznać dając po ramionach
Osoby, których indziej twarz odgadło.
Arabeskami, medaliony one
Były jak roślin zwojem oplecione
Mającym w liściach swych i inne twory
Poprzewijane owadem w gadzinę,
Gadziną w zwierzę, a zwierzem w upiory
Fantazyi — w sposób: iż zaledwo trzcinę
Postrzegłeś, ta się wyślizła ci wężem,
Wąż w ptaka plwał się wyrzucając ślinę,

[1] Krzykacze publiczni obwoływali często wdzięki kobiet tego rodzaju u wnijścia do teatrów.

[2] Można to jeszcze w Pompei widzieć o ile najuboższe nawet mieszkania ozdobione były zawsze malowanemi wzorowo legendami z Mytologii poetów.

Tej skrzydła w szatę nikłą — szata, mężem
Brzmieje — mąż, na hełm wytryska liściami,
Których kwiat tarczą a pręty orężem —
A pąki, iskier tlejących gwiazdami.
— Przy łożu skórą lamparta okrytym,
Z rękopismami stała cicha urna,
Na której jawił się mąż być wyrytym,
Gdy lampa wyżej świeciła poczwórna.

Tę na świeczniku prostym a wysokim
Stawiała właśnie gospody służebna:
A był czas, kiedy słońce bez-obłokiem
Nagie, dotyka jak rzecz niepotrzebna
I między zasłon rozdarcia lub szpary
Do domów wpadłszy, ozłaca filary.
Lampę oczyścić, poprawić posłanie
I kurz gdzieniegdzie otrząść, przynieść wody —
To całe służby wewnętrznej staranie,
W progach stojącej otworem gospody.
Jakoż krzątała się tak, dziewka owa,
Gdy weszedł człowiek, kosz mający w ręku;
Blady był, cera ta jednakże zdrowa
Nie ujmowała powagi i wdzięku
Profilom, linią szorstką rysowanym,
Twarzy i ramion, i nagich goleni;
Ten kosz stawiając rzekł «został przysłanym:»
«Od kogo?» — zamilkł i uszedł do sieni;
Co widząc, dziewka rzekła «mów! bo wydam
Że jesteś niemy zalotów służący.» [1] —
Na co odchodząc człek ów, jak niechcący
Z uśmiechu bladym przebłyskiem rzekł: quidam.
Dziewka przed koszem stanąwszy na chwilę
Poczęła kwiatów dziwić się ozdobie,
Co jako senne dyszały motyle
Na strunach prętów — tak pieśni są w grobie
Poetów, w strony lir pozaklinane
Kwitnąc, acz ciche i niezrozumiane. —

[1] Kwiaty posełano na znak współczucia.

Czy to myśliła ta Sabińska prosta
Góralka? — Nie wiem. — Lud jest zawsze może
Na równi z wiedzą, chociaż jej nie sprosta
Wypowiedzeniem, ni pojąć jej może. —
Lecz drgnieniem serca jednem wie, co ludzie
W umiejętności otrzymują trudzie.
Ci jednak innym oddawać to mogą,
Jakoby w rękach mając swe zdobycze;
Gdy lud, iść tylko, wydeptując drogą
Ślad — powolniejsze kroki — mniej zwodnicze
I mniej zwycięzkie — ciche jako strumień,
Płynący równo, po zieleni sumień —

Wyszła — — przy łożu leżał zwój pisany
W następujący sposób:

JEDEN ZE ZWITKÓW.

§. 1.

«Samotność znowu — każdy mi już znany —

§. 2.

Mniejsza, co ona w pamiętniku moim
Wyczytać mogła — czytam to z niej samej —
Może na drodze równie błędnej stoim
Oboje — wszakże ja, choć szukam bramy,
A skoro mylę się, mylę trudami. —

§. 3.

Jeźli świat cały z starców, mężów, dzieci
I niewiast złożon, za typy nam daje
Maga, Luciusa, Zofię — zwłaszcza trzeci —!
Jeźli, obyczaje — — — — — — — — — —
Są, pomnożeniem typów w zbiorowiska;
To jakiejż ceny wart on i nazwiska?

§. 4.

O Magu — że jest milczący, wiem pewno,
Arthemidora — znam, lecz subtelności —

Pomponius — jest to wytoczone drewno
Do osadzenia włóczni lub gry w kości;
Zofia? — bez liry w ręku — — — —

§. 5.

Z lirą w ręku —
Nie ona! — z kimże żyję? jeźli żyję?

§. 6.

Eureka! — wiem już, czemu trzeba jęku
I krwi — i widzieć jak z lwem się kto bije;
Albo na ostrze piersią paść otwartą? —
By, nie zapomnieć ześ ż y w.

§. 7.

— — — — — — — — — tyle warto
To wszystko.» —

Dalej wiersze przekreślone.

Kwiatów woń izbę napełniła całą —
Słońce plamami w tę i ową stronę
Na ściany biło nimfom w modre oczy,
Do złotych promień niosło im warkoczy
Lub malowane, nieme usta, grzało.
— Cisza nadobna — cisza, która k ł a m i e
Że można spocząć na świecie bez winy —
Która u p e w n i a, że Bóg jest, co trzciny
Złamanej, mimo idąc, nie dołamie.
Mistrz, Pan i Sędzia — znający człowieka
Nim był — litośne tak mający ramię,
Że — równie wiecznie i sądzi, i czeka! —

Nieme — bezkształtnie widne — tym podobne
Uczucia nieraz, młodzieniec z Epiru
Czuł i na miejsca uchodził osobne.
Szukając p r a w d y — i ciała jej, m i r u —
Będąc — jak dzisiaj nikt być już nie może! —
Nie chrześcianin bowiem, nie poganin:
Przez filozofii wpływ, wątpiący może

* Virtus.

O samej bajce olympijskich tkanin;
Tem mniej, osoby wyznający boże.

W śmierć wierząc — jako, w szczelnie zwarte wrota
W miłości napój wiosenny i w wiedzę
Matematyczną — i w dźwięk słowa: cnota,
Blizko znaczący wyrazowi: zdrowie
I wyrazowi siła — rzecz podobna
Do zaklęć, których jasno nikt nie powie,
A która wszakże jest i jest osobna. —

Błyskami także zórz nieznanej doby,
Widywał czasem kraje wyobraźni;
Gdzieś po nad groby, czy gdzieś po za groby
I czuł pogódę jakoby przyjaźni
W wiosennych wiatrach nieznanego kraju —
I rytm, muzykę jakąś — obyczaju!
To co i Plato, w ciche kiedyś niebo
Przez liście laurów patrząc, czuł potrzebą
I słyszał — pojąć zdołał — dać nie umiał,
Wysłowić nieraz mniej, niż sam się zdumiał!

XIX.

Nie jasna w mieście krążyła wiadomość
O niepokojach w prowincyi czy wojnie;
Czy że wyjechać ma Cesarz-Jegomość
W nocy — wyjechać, jak można, spokojnie
By tłum przywyknął czuć go i z daleka
Lub czcić w postaci zwykłego człowieka.
Inni twierdzili że wieść ta źle głosi,
Na zwykłe bowiem łowy się zanosi
Przeto iż dawno Cesarska prawica
Oszczepem w puszczy nie raczyła śledzić
Gdzie lega niedźwiedź lub gdzie zlega lwica:
W czem, nie rad Adrjan dawał się uprzedzić.

Inni nareszcie, tę powietrza zmianę
W zamku, i co zeń wywiało za ścianę,
Przypisywali wschodnim pewnym gościom;
Lub z okrętami przyszłym wiadomościom. —
Wieść każda w Rzymie, niż gdziekolwiek, więcej
Ma różnokształtnych ust swych sto tysięcy:
Które brukową najprzód tętnią wargą;
W jaśniejsze potem urastają głosy,
Oklaskiem dalej stają się, lub skargą,
Myślami Cara, i zowią się: Losy.
Acz bywa, że nim tę przebięgną gammę
Nie poznawają się i niszczą same.
Cesarz, jak zwykle, w bukszpanowym chłodzie
Z odkrytą głową, spoczywał w ogrodzie.
Obyczaj, który w dnie najmniej pogodne,
Chował, nie znosząc nic na nagiem czole —
Zkąd poruszenie głowy miał swobodne:
Nie takie wzroku, iż szukał kryć wolę;
Draźliwość, w spokój mędrca przyoblekać;
Także, iż lubił zgłębiać i nie czekać —
Dwie rządze, które zgodzić z sobą trudno:
Było to wszakże, gdy wszech-wiedzę państwa
Zdobył — część jego ludną i nieludną,
Używającą prawa i poddaństwa
Naocznie zwiedził, w wielkich dwóch podróżach —
Wolę i ludzi poznał wewnątrz żywych,
A o okopach myśląc i przedmurzach
Świat tworzył, linii nie nawidząc krzywych,
Przeto iż dłuższe, a ceniąc je bardzo,
Jako uczeńsze i słodsze w swych ruchach.
Więc był, jak którzy chwalą to, czem gardzą. —
Przy tem — nadeszła i wieść o rozruchach —
Te Adrian ważył mało. —

— Na marmurze
Stołu przed ławą, gdzie Cesarz spoczywał
Leżały zwitki, tabliczki i róże
Białe, a widno że idąc je zrywał,

I w palcach miesił, co może czas skraca —
Stał także kubek Sycionskiej roboty,
Z tetrafarmaku[1] resztką, złota taca
Niżej — miednica i nalewek złoty.
Sam był do kolan obrzucon opończą,
Której brzeg strzępy z nici złotych kończą.
Gdy Arthemidor za znakiem mu danym
Siadał na stołku kością wykładanym
I zdał się słuchać, lecz uważał szczerze. —

Cesarz tak mówił: «Jako w Antimaku,
Z Kolofon[2] więcej czytam, niż w Homerze,
Dziejów zaś szukam od pierwszego znaku
Historyi — nie zaś od Salustiusza;
Tak lubię z gruntu każdy przedmiot badać,
Nie lada połysk brać do animusza.
Wiedzieć albowiem, na to, aby władać,
Inna jest, niźli dla wulgarnej sławy —
Zkąd samej nawet astrologii męty,
Nie są nam obce — ani jakie wstręty
Płaskie mieliśmy, dotknąć się tej sprawy.»

Tu przemilkł — rękę wyciągnął ku tacy
Bawiąc się jadłem, jak to czynią ptacy
W klatkach, mający smaki pogardliwe
Dla zbytku strawy — lub syci próżniacy. —
Że jednak skromny był więcej w jedzeniu
Niż w duchu; rękę powrócił leniwo,
I mówił dalej —

«— Ten — chodzący w cieniu
Z laską, nieledwie długą tak jak krzywą
Charonowego posługacz okrętu[3] —
Jak się ma?»

[1] Tetrapharmacum, rodzaj pasztetu, potrawa ulubiona Adriana.
[2] Adrian porządkować chciał na swój wyłączny sposób i uznane sławy starożytne: Antimacha z Colofon nad Homera; nad Salustiusza zaś, przenosząc Coeliusa Antipatra i t. p.
[3] Patrz w XI. pieśni wiersz: «I charonowym nazywał go sługą?

— «Jazon» — wyrżekł nie bez wstrętu
Koryntczyk «wczoraj wiedzieć dał mi nocą,
Iż niespodzianą złożon jest niemocą —»
Tu przeszła chwila milczenia — aż znowu
Cesarz pół sobie, pół do gościa rzecze:
«Hellada! — wy ją znacie, tak, z narowu
Jam odgadł — ja ją podnoszę i leczę.» —
Mistrz Arthemidor pobladł — «jeźli komu
Literaturę poznać dawszy, skryją
Ziarna jej — gości — jak przyjaciel w domu
I je — wie, jaką rzecz, lecz nie wie czyją;
Grecja-bo nie jest kilka świątyń, ani
Pieśn jej —» Koryntczyk, jak góral z otchłani
Znanej mu, ale, bardzo niebezpiecznej,
Wychylon — wzrok niósł w koło niestateczny.
«Grecyi ja uczę ludy: od Eufrątu
Aż do Brytańskiej wyspy — ja to starą
Helladę dzisiaj pokazuję światu!» —
«Przez-nią jest świątło» Koryntczyk rzekł z wiarą.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

«Egipt?» — tym samym Adrian akcentem
Ciągnął — «przykryta rzecz, czasowym mętem:
Egipt jest wcale nie to! — w księgach Judy
Gdzie różne baśnie są — także i cudy,
O Abrahamie mówią, iż ten syna
Miał ofiarować. — Są, co byli dalej
W ofiarowaniu —»

Tu mu poszła ślina
Do ust i kalsznął mówiąc «cóż? — ażali
Antinousa krwi nie poświęcono?»[1] —

[1] Nie jest historyczną, pownością ani podaniem, aby Adrian w pojęciu ofiary Antinousa — najdroższej sobie istoty — porównywał się z Abrahamem, ale jest znane i widoczne do ila ten rozruszany na szerokość całego Państwa Rzymskiego umysł, we wszechgałęziach wiedzy i życia o przodkowanie się dobijał, w każdym elemencie składowym społeczeństwa i w każdej prowincyi, ducha jej starając się wedle mniemanej wyższożci swej dociągnąć i sprostować. Otoż immolacja Antinousa zaraz po podróżach w Syryi i Palestynie na wstępie do Egiptu miejsce miała. — Psychicznie jednakże, tragedia ta zupeł-

Tu wstał — i znowu legł, lecz inną stroną
I znów obrócił ciałem: — «by znać rzeczy
Ludów, trza każdy mieć jak swój na pieczy.» —
Więc Arthemiodor na to — «Mało komu
Dano jest mieszkać wśród wielkiego domu,
Niezostawując próżni.» —

— «Są studia ciekawe,
W których powołam was, filozofowie,
By kilka kwestyi wytoczyć na ławę —
Tylko mi jeszcze wstrętnem bywa zdrowie
Wątpliwe» — przy tem, dodał od niechcenia:
«A lubię rzeczy wywodzić z korzenia —
A te mi Żydy bredzą swe marzenia —
A nie tą drogą iść ma — jest u Żyda
To, że niesforny umysł ma i krzywy,
I nieporządny — nie zna inżynieryi,
Ni planów — jakoż do prac jest leniwy.
Zwierz dziki, gdy go zamkniesz w menażeryi
I jeść mu dawasz dobrze — zwolna — zwolna
Truchleje — jednak, drga w nim chuć swywolna —
— — — — — — — — — — — — — — — —
Mniemam — że i ta Chrześcian doktryna
Nie jest w swej pierwszej legendzie. — Możeby
I tego dotknąć przyszła już godzina,
Bacząc gdzie błędu wina, gdzie potrzeby — —
W Jeruzalemie, miejsce zmartwychwstania
Jupiterowi należy właściwie:
Ten jest, albowiem który się nie kłania
Mocny-bóg — dalej, i to bez-treściwie
O wykonaniu Chrystusa co bają,

nie inaczej się tłomaczy. — Adrian nadużył zachwycenia zmysłowego dla osobistości Antinousa do tego aż kresu, który w licencyi onej był już ostatecznie — odwrócić się więc mogło tak wysilone i przesilone uczucie w ironię uczuć, w melancholię; a ta, jako religijny skrupuł sama się w umyśle jego subtelnym upoetyzowała. Nieledwie zawsze adoracja dla człowieka przemienia się w przeciwne jej usposobienie — tak dalece nie względem człowieka uczucie to normalnem jest! —

Tam Venus miejsce mieć ma — a powoli
Uobyczają się i przyzwyczają [1] —
Nim tnę, uważać zwykłem ile boli
I pokąd? — bystrzy tak lekarze krają —
Cóż? — czy nie kocham Hellady?» —

— Te słowa
Lubo donośniej rzekł, głos mu nie służył
I sam to może poczuł że nadużył
Głosu — więc sięgnął gdzie go boli głowa
Przymrużył powiek i powstał leniwo:
W czem, Arthemidor zdążył mu co żywo,
I poszli długim ciennikiem z bukszpanu
Co raz, to ciche zatrzymując kroki. — —

O myśli ludzka! — ty, co przeczysz Panu,
Świadczyć mu musisz przez błąd swój głęboki!
A ty, coś prawdę poprawiał lub winił,
Gdybyś na skryte jej popatrzył cele,
Spytałbyś siebie, zfrasowany wiele,
«Ja, com pracował tak — cóżem uczynił? —

Czekaj — z Venerą twoją w Betlejemie
Aż wół i Łukasz i te Rafaele
Przyjdą — położyć się czołem na ziemię,
Wdzięki waszego zniósłszy ideału,
Nie ukazami — lecz, twórczo, pomału —
Tak — że by Fidias przed familią-świętą
Rafaelowską stanął [2] — a Jūpiter

[1] Stało się to z czasem, iż na miejscu świątyni Jeruzalemskiej — stanęła Jowiszowi Kapitolińskiemu poświęcona — statua Jowisza, na miejscu gdzie zmartwychwstanie Pańskie miejsce miało — Venery posąg, gdzie Chrystus Pan skonał. Do ila to doktryną jaką systematyczną przemyślone było, nie wiem pewno — ale z całego toku i tonu spraw Adriana widać już w tem jedno z tych śmiertelnych a potężnych doktrynerstw, które tyle razy potem pod różnemi postaciami na różnych polach życia i wiedzy przeciw duchowi ubogiemu Chrześciaństwa pojawiają się. Jest w tem symboliczne jednak acz mimowolne świadectwo, iż sprawa Pańska wszystkie ideały najwyższe przewyższywszy, przez to samo niejako objęła je.

[2] U sztukmistrzów Greckich — kontemplacja formalna, do najwyższego,

Świętego Pawła głowę baczył ściętą,
Spokojną — Merkur, druk składany z liter;
Neptun Kolumba co w krzyżowym znaku
Kotwicę znalazł na morza nieznane,
Na Ewangelią burze pokiełznane.[1]
  Pallas, Joannę d'Arc, żeby w szyszaku
Jej zobaczyła z mieczem na rumaku —
  Herkules, żeby pary-wynalazcę
Ujrzał — Eskulap, z wężem swym na lasce
Mojżeszowego węża zoczył z miedzi —
  Wszystkie by siły wasze, najporządnej,
Do mimowolnej doszedłszy spowiedzi
Znikły — pozostał rząd — i pył nierządny —

XX.

W czas, gdy firmament ciemno-safirowy
Wielością jasnych gwiazd oczy zawraca,
A cały urok nocy południowej
Łagodzi zmysły — iż pamięć ukraca:
W obecność jakąś przenosząc nieznaną
Myśl, wrażeniami za dnia pomiataną. —
Lub daje wiary chwilę, przez znurzenie,
Nawet zbrodniarzom, w kajdanach wilgotnych,
Że — jeźli nie kres, rytm ma ich cierpienie —
Samotność, że ma swoich współ-samotnych. —

niezaprzeczenie stopnia doszła. — Rafael wszakże i inni naczelni artyści Chrześciańscy nietylko wyrównali onym formalnym ideałom ale nawet najlegalniej je przewyższyli. Sztuka starożytna nigdy się nie podniosła do ideału familii świętej, gdzie, w warunkach najuboższych przedstawieni: dziecię-bóg dziewica-matka, starzec-anioł. Lubo nie poniża się przeto ani zatraca tego, co na polu formalnem starożytni pracownicy zdobyli i miło jest zaiste wspomnieć że na grobie Beato-Angelico da Fiesole, najwięcej Chrześciańskiego malarza jakiego znamy, słusznie położone jest: Non nichi sit laudi, quod eram velut alter Apelles, sed quod lucra tuis omnia, Christe dabam — ect.

[1] Wiadomo iż Krzysztof Kolumb, kiedy trąba morska podniosła się i szła prosto na okręt jego, a przerażenie było takie iż załoga na śmierć się gotowała, kazał sobie podać Ewangelię S^{o} Jana, a wyszedłszy naprzeciw strasznego fonomenu, czytaniem na głos pisma świętego morze uspokoił.

W czas perjodycznej ciszy — której mowa
Utula trzeźwych, niepoczciwych zwodzi —
Zastaje w domu, albo nie znachodzi,
Na drzwiach im rosą piszące zimne słowa:
I dłoń, przed świtem klamki szukającą,
Omywa szasem z krwi — lub krzepi drżącą. —

W czas tajemniczej bladości księżyca:
Syn Aleksandra wrócił do gospody —
Jak światło, co mu olśniło jagody,
Takie wejrzenie tęskne miał — i lica
Pełne takiego bezmiaru pogody,
Co przez głębokość swą, że jest wątpliwy
Mniemasz — lub śmiało, zwątpiłbyś czy żywy? —

Zwątpienia czczość mu serce rozłożyła
I ciężar siebie poczuł nieprzytomny,
Po świecie idąc, co choć ślepa bryła
I bez-zmysłowa i taki ogromny,
Nie traci przecież ciężkości swej środka:
Równo się toczy choć kometę spotka. —

A on — na onym ogromie malutki
Chromiał, że mdłe go wydrożyły smutki!

Więc niby mówiąc «czczo mi» — do gospody,
Wszedł — — Woniejące wraz mu na twarz chłody
Jakoby chustę pot ocierającą
Rzucając — dziwnie bardzo otrzeźwiły —
I mimowolnie wspomniał twarz cierpiącą
Gwida — gdy tak go odchodziły siły
Przed twardym sądem ludzi bez sumienia:
Lecz te, uboczne, pierzchły wraz wspomnienia —
Ciekawszem było, zkąd kwiaty? dla kogo? —
Lub jaką weszły do mieszkania drogą.

Ciekawość wszakże skoro już zgadywa,
Przestaje sobą być i chociaż nie wie

Że zgadła: wszakże, myśleń ciąg urywa,
Lub, dalej idąc, siebie nadużywa —
I taki czyni zamęt jaki w śpiewie
Przez rytmu zbytek, przez nadmiar perjodu;
Czyni się — pisząc śpiesznie, lub za młodu.
Chwilę więc myśląc: od kogo są kwiaty?
Już miał zapomnieć syn Aleksandrowy
Od kogo ulga, przez ich aromaty
Do ocierniouej ludziom wnika głowy;
Tak — rzeczywistość niewdzięczna jest treści,
Lubo z niej żyje przez to że ją mieści —

To zaś — dopóki człek wywikłać może
Niepodobieństwo by szczerze narzekał;
Chyba już takiej niewoli doczekał
Iż chwili nie ma — by pomyśleć: Boże!
I zastanowić się: gdzie prawda szczera? —
Gdzie zaś to co ją jawi i zawiera
Pozornie sprzeczne, choć wierne — litera. —

Balsam to wszakże, wówczas tyle skryty,
Ile pomijan dziś, lub nadużyty —
Ból zaś młodzieńca — oh! mniej zrozumiały,
Niźli dzisiejsza bywać może boleść:
Siły go z progów rodzimych wyrwały,
Te, co dziś o nich prawi ledwo powieść —
Sierota wprawdzie — lecz któż swoich nie ma! —
W świat poszedł szukać prawdy i mądrości:
Dziś już nie chadza się tak za obiema
Razem — ni pragnie się ich — ni zazdrości —
Jak to bywało w onych czasach dawnych
Dla myśli jednej, od sławnych do sławnych,
Z Grecyi pod cienie piramid trojkątne
Idąc — do Grecyi z Chin, [1] w głuchem milczeniu

[1] Pytagores około 20 lat w Egipcie, także podobno w Gallii i w Indiach — Lao-Tseu z Chin.

Na głośne lekcje, na szepty pokątne
Na inicjacje i ciemne, i w cieniu. —

Jakoż te trudy a radości one,
Nieznane już są po dawnem imieniu,
Zaniewiedziane albo przemienione. —
Że jednak władca, będąc doskonały
W zniszczeniu nawet ocala i tworzy,
Więc wszystkie rzeczy są, które bywały,
Acz w tryb ujęte co raz więcej Boży —
Jeźli więc one szukaczy boleści
Trwają — to inna je sfera dziś mieści.

Energie bowiem, wszystkie Pan ocala —
Stworzeniem jego będąc znakomitym;
Tylko usterka ich sama się zwala
Najściślej słusznym sądem, nieodbitym —
Ale też same dzielności uczucie,
Co Aleksander lub Annibał miewał,
Trwa — w prostotliwszej, w doskonalszej nucie,
Iż je ból zczasem wytworniej dośpiewał. —
Taż sama prawdy radość Sokratowa
Gdzieindziej dziś jest — ale jest — i nowa!
Pan bowiem jest i Mistrz — a rzekłbym prawie
I uczeń — trud tu równy już zabawie —
I ztąd jest owa niespożyta dzielność
Łaski — i ztąd jest w śmierci — nieśmiertelność.

Z Epiru młodzian, wśród czasowych mętów
Zawiei, mroku pełnej i łyskania
Nie znał był jeszcze onych diamentów,
Co do kołebek dżdżą dziś przez podania. —
Nad piersią matki paciorkami wiszą,
U nianiek nawet uszów się kołyszą —
I pod dziecięcia ochrzczonego stopy
Że położyły się raz jako snopy;
Urasta zczasem człek do tyla dziki,
Iż nogą depcze zbłoconą te skarby,

Jako ostatni wygnaniec na świecie
Żył — a miał pierwsze prawo na planecie! —
A był zniweczon tyle, ile w sobie
Wszech-pacierz całej tej tragedyi skupił;
I nad człowiekiem był w człeka osobie
I tak zmordować dał się —

I odkupił —
Kobiety może serce by to zgadło:
Ta jednak, wówczas była jeszcze niczem —
Dla wielożeństwa, nie istniało stadło:
A która żyła sama — była biczem
Przelatującym od ręki do ręki,
By ogniem chłostać, pociągając wdzięki —
Ubogi nie miał i takiej — bo droga!
Najpowabniejsze, z góry zapłacone —
Mędrzec niewiastę, co go jak raroga
Nie pojmowała, odsuwając w stronę,
Pozostawały jak ulga, a rada —
Traf wyjątkowy — stoicyzm — i szpada!

Syn Aleksandra przezierał to w sobie,
Gdy wonie kwiatów skronie mu oblały,
Jak posągowi na samotnym grobie —
Więc bardzo czuł się osobny i — cały. —
I począł Zofii odnawiać wspomnienie,
Pieśń, za śpiewaczki przyjmując sumienie:
Lirę na postać — i z tej dwoistości
Silił się jedność utworzyć — napróżno!
Rozdwajała się w ręku, bez litości
Na pieśń i postać, jak z dniem ciemność różną!
I czuł — że kłamać począł, acz niewinnie.
I czuł — że działać począł dobroczynnie —
I umęczył się bardzo tą robotą
Bez-narzędziową —

I wstał — kosz wziął w ręce
Na łoże sypnął nim, z ową pustotą
Niezgrabną, którą, giesta niemowlęce

Psują rzecz, cale nie troszcząc się o to —

— — — — — — — — — — — — —

Lampa u schyłku promień niosła drżący —
On legł na kwiatów stos, jak człowiek śpiący. —

XXI.

Wieści, co pierwej krążyły po Rzymie
W sposób nie dosyć jasny i czytelny
Zaczęły postać przybierać i imię:
Z Bretanii pono generał naczelny
Severus Julius wrócić miał niebawem,
Także legiony zdawna niewidziane
Cesarza wolą ściągano, czy prawem
Nowem? — Te nocą, nieraz jako ścianę
Równą, księżyca bielmem wyjaśnioną
Napotykałeś, ustępując z drogi,
A czułeś ścianę gmachu poruszoną
Mierzonych kroków massy szmer złowrogi. —
Orły, co w bramę głową pochyloną
Szły na chorągwiach, wojenne machiny
Skrzypiące w marszu: cały system żywy
Energii, tudzież zagład i perzyny
Elastycznością swą, miarą i siłą
Przerażał, wszystko co się doń zbliżyło —
Tak, że widz w sobie powtarzał zdumiony:
Bóg to Rzymianom wymyślił legiony![1] —
Niektóre domy wraz drzwi zamykały
Same, lub wiatru osobnym podmuchem,
Nim żołnierz otarł je ramieniem z skały.
Innych na dachy legion ciągnął duchem
Porywał oczy, kwiaty z rąk padały. —
Moc jakaś pierwej szła przed szeregami
Tych obnażonych kolan i tych ramion
I grzyw na hełmach — a wodzowie sami

[1] Wyrażenie Flaviusa Vegeciusa Renatusa «De re militari.»

Zdali się trzymać ją w literach znamion,
I magnetycznie giąć temi członkami,
Kutemi w miedzi błyszczącej obręcze;
Zbierać je w chmury, w grzmot — rozwijać w tęczę. —

Drammy aż naszej osoby to czuły:
Zofia nieznośną była dla służebnej —
Struny się liry nietykanej psuły,
Mag z lekarstwami swemi tak potrzebny
Jak niewidzialny, dla ciężkiej słabości;
Barchob, zmieniony jak nie swa osoba —
Odprawujący niemo natłok gości:
Mistrz Arthemidor, wzywany co doba
Do Cesarskiego gmachu lub ogrodu —
Pomponius nawet, odwłoką zachodu
Około uczty w Willa Pomponiana
Zmieniony nieco —

Więc — Elektra-diva
Sama — wśród tylu ruin niezachwiana
Tylekroć więcej świetna — i szczęśliwa!

Nikt wszakże jasno nie widział przyczyny
Tak niefortunnej odmiany powietrza —
Mag tylko mówił — słychać — «są, godziny
Różne — ta cięższa godzina, ta letsza;
Ta ma rozedrzeć, ta znów złączyć może.»
To mówił starzec, skarżąc się na łoże — —

XXII.

Syn Aleksandra stał przed Zofii łożem,
Grecki mającem kształt — perskie kolory,
I te jej słowa mówił:

«— Mag jest chory —
Któż może zdrów być? — sami często mnożym
Choroby, to jest chcę mówić — cierpienia.»

Zofia, rzuciła okiem na służebnę
A raczej bielmem oka bez wejrzenia:
Czy szyje — rzecz jej cale niepotrzebną —
Zwyczaj to wszakże, od czasu, do czasu
Na niewolnice okiem tem spozierać,
Jakoby pracę śledząc, bez hałasu —
Nie — by się na tej czujności miał wspierać
Interes życia, jak gdzie w domu biednym —
Lecz że się zwyczaj taki stał powszednym.
To Egipcjanka czując nim się stało,
Sunęła żwawiej swoją ręką małą.
Syn Aleksandra, błędnym okiem rzucił
Czy tuż stojącej liry nie wywrócił? —
I wyszedł — Zofia, na to bacząc mało
Zasnęła —
— Chwilkę, ktoś idąc zanucił:
(Śpiew przechodnia.)[1]

— — — — — — — — — — — —

«Tam Hektor, gdy swojej nie znalazł jedynej,
Ku progom znów wrócił służebnic wołając:
Ej! mówcież mi dziewki słowami szczeremi,
Andromaka gdzie znikła łabędzio-szyja? —
U mych-że sióstr? w szaty świątecze ubranych,
Czy gwoli próśb wyszła z Trojanki drugiemi
Ukoić gniew, bujnie-warkoczej Atene? —
Ej! — mówcież mi dziewki słowami szczeremi — —»

Zofia, gdy pierwsze usłyszała słowa,
Do sługi rzekła «— stało się wybornie
Iż gość odeszedł, bo jestem niezdrowa.» —
Tu Egipcjanka kłoniąc się pokornie
Rzecze: «Udatność, naśladując bogów
Na palcach sunął od łoża do progów.»
I szyć poczęła z niezwykłym pośpiechem
Gdy Pani uchem szła za pieśni echem.

[1] Nie trzeba sobie wyobrażać pieśni w znaczeniu muzykalnym tego wyrazu — są te wiersze z Iliady — VI. pieśni.

XXIII.

Lucius Pomponius leżał od niechcenia
Na łożu [1] skórą lamparta przysłanem
I piórem pawiem lekkie rzucał cienia
Na twarz Elektry — ta, wygiętym stanem
Łączyła, swego poduszkę siedzenia
Z krawędzią łoża, jak owca znużona,
Kiedy spoczynku szuka na pustyni,
Klękając przodem. — Wieńców miała kilka
Na ręku [2] — długie bardzo zausznice —
Jaskrawe oczy, dziwnie pełne lice
I wargi jakby je spinała śpilka. —

Słowem — że gdyby nie pewne ruszenie
Ramion, i silny śmiech; z diwy takowej
Byłoby bardzo przystojne stworzenie —
Lucius, tak mówił: «nie czuję się zdrowy» —
I pogardliwy giest dodawał nogą,
Jak ze złym koniem wjechawszy na rowy,
Przeskoczyć wątpiąc, uderzasz ostrogą —
«Niezdrowy jestem» — i giął pióro pawie
Chwiejąc nim: «chory nawet jestem prawie.»

«Pracujesz nadto w poetyckiej szkole
U onej sławnej Zofii» rzekła diwa —
Pomponius na to: «czytasz mi na czole;
Trudzę się — śmierć ztąd — ale śmierć szczęśliwa!»
Tu — piórem pawim pociągnął po stole.
Elektra smutek skłamała na licach:
Pomponius rękę podał jej leniwo;
I w dwóch — bez ognia — błyśli błyskawicach —
Bądź mi szczęśliwy!» —

[1] Trzeba pamiętać że leżeć, pokarm biorąc, przyjęte było.
[2] Na płaskorzeźbach spotyka się iż kobiety Greckie przy łożach w czasie uczt siedząc, wieńce nawleczone na ręku prawem miewały.

«Przynoszę wszakże wieść, iż niepokoje
W Judei wymiar biorą wielki — niewzgardliwy
Coś rzeczywiście podobnego wojnie —
Acz Janus może spoczywać spokojnie.»

— Pomponius, który przed gościa przybyciem
Zdał się pogardzać i śmiercią, i życiem,
I zalotami divy, i istnieniem,
Jak nadużyty człowiek, w onej porze
Kiedy jest blizki odwionięcia cieniem,
Tam gdzie nic nie chcąc chcieć, wszystko się może:
Skoro jednakże słuchać począł wieści,
Nie własne w niego wstępowały drgnienia —
Acz nie dla jakiej ztąd wysnutej treści,
Którаby wskrzesić miała ruch sumienia;
Tylko, że szlachcic Rzymski najmniej dzielny,
Jest politycznie człowiek nieśmiertelny.

Więc i ton jakiś nastroiwszy nowy,
Pytał o źródła zamorskiej powieści;
Ile w niej prawy głos? ile ludowy?
Brzmieć mógł. — «Bez Bogów wychowany cześci
Lud, jako Żydzi są, bez bogów, mówię,
Uznanych prawem w sposób przyzwoity;
Ani bez wiedzy, która w swej osnowie
Przez ogólnego głosu sens wykryty,
Za ster i stylu nam iglicę służy;
Cóż wyda? — oto wzburzy się i zburzy!»

To, gdy powiedział, sam usłyszał potem:
Tak nieumyślnie wyrzekłszy przysłowie,
Spostrzegasz później czy służyło mowie? —
Czy cudzym trafnie uderzyłeś grotem? —
I dodał: «Gdyby mi służyło zdrowie
«Ściągnąłbym rękę po stopień ojcowy,
Zawdziawszy pancerz nabijany złotem.»
Mówiąc to, macał się po wierzchu głowy.

Jako gdy hełmu poprawia wojownik,
Ramieniem przytem robiąc, jak pułkownik.

Diwa mu płaszczem piersi obrzuciła,
Coś Andromaki mając w tem ruszeniu;
Florus zaś, puchar jej, że nie skończyła
Na raz wychylił — i siedli w milczeniu.
«Ty przywiozłbyś mi wschodnie zausznice,
Ty byś ornaty przywiózł mi z kamieni.» —
Mówiła — licem w Pomponiusa lice
Kłoniąc się jako róża na jesieni.
«Ja Żyda nie znam żadnego — co oni? —
Czy są tam ludzie porządni w Judei? —
Bogaci w sługi? — czy każdy ich stroni
Brudnych, gdy taczki wodzą po kolei,
Po drugiej Tybru głębokiego stronie;
Mularzom służąc i drapiąc się w skronie? —

Żyd mię nie kochał żaden — czy wy znacie
Żyda, do rzeczy?» — te rzucała słowa,
Tu tam biegając w krótkiej swojej szacie,
Ta nieskończenie wdzięczna białogłowa.
Gdy Florus z pulchrem milczeli — po chwili
Drugi rzekł «Mag mi na pamięć przychodzi.»
A Florus za się «Mniemałżebyś, czyli
Ten — jeźli Żydem jest — jeźli nie zwodzi
Głos ludu — mógłby wieści zgadnąć wagę?» —
Elektra na to: «Mag! Mag! czy się godzi
Że nie znam! — będę sobie mieć za plagę,
Jeźli mi tego nie sprowadzisz Żyda,
Któremu matron senatorskich tyle
Zwyczaj ma, wolne swe poświęcać chwile.
Mądryś — mnie więcej uczoność się przyda,
Mnie, że nie jestem w filozofię wprawna,
Jak która inna stara — chcę rzec — dawna? —
— — — — — — — — — — — — — — — —
Ale — tyś nie rad mnie pokazać — jemu?
Ale ty może nie jesteś z nim blizko?

Aleś ty smutny — chory? — spytaj — czemu? —
Maga się poradź! — odmień mi nazwisko —
Przebierz mię — powiedz że twa jestem krewna;
Chcę znać go — poznam? — poznam — jestem pewna.»

XXIV.

Politycznego jeden obrot wiatru,
W ciele tym, ściśle politycznej treści,
Naszego scenę odmienił teatru —
Tak, że powrócić gładko do powieści,
Byłoby ująć z prawego jej toku.
Domy, na piasku lekkim budowane
Powodzi pluskiem odjęte są oku;
Tylko, gdzie skała podtrzymuje ścianę
Nad mętnej fali trwają szaleństwami.
Podobnież z ludźmi i społeczeństwami!

Kto słaby, chorzał, a kto nie był chory
Cierpiał — i zdały się rządzić humory,
Które są, jako cugi powietrzane
Dotykające, lubo niedotkliwe —
Po bólach tylko otrzymanych znane:
Krzywe na proste, a proste na krzywe
Paraliżując w człowieku zbiorowym —
Co — że zapomniał się nim — jest niezdrowym.

— — — — — — — — — — — — — —

Do kogóż wrócić w tej powieści całej,
Gdzie wchodzą ludzie a nie ideały? —
Na łożach jedni, drudzy po za sobą —
O wszczętej inni dyskutując wojnie,
Obecną, rzekłbyś, iż wzgardzili dobą
I odpoczęli w ruchu, niespokojnie:
Jakoby pierwej chcieli rozstrzygnięcia
Rzeczy, bynajmniej ich nie obchodzącej,
Nim do powszednich powrócą zaczęcia.

W mowy oglóe, w ogóle pojęcia
Fałsz jakiś, zapał jakiś nie-gorący
Rządził i ludzie bywali chwilami,
Jakoby sobą nie władnęli sami. —
Ten to powiadał co zasłyszał mętnie,
Zuchwale broniąc, bo nie swojej rzeczy;
Ów, że to uczuł, słuchał obojętnie —
Ten obojętność, mniemał iż mu przeczy;
Więc wieść podwajał by zrobić wrażenie,
Wywoływając tem większe zwątpienie.

Gniew ztąd w powszednie wmięszał się pożycie,
Jako element potrzebny koniecznie —
I darło się to zewnętrzne okrycie
Ładu — co ufać radziło bezpiecznie.
Nie — iżby rozruch w prowincyi dalekiej,
Mało ważony nawet przez Cesarza —
Zagrażał państwu — lecz, że dni i wieki
Często niewielki wypadek przetwarza;
I większość sobie obracając na tło,
Całèj epoki garnie na się światło.

Prawda to cudem czyni, ale — bywa,
Że i ironia w ten się płaszcz odziewa;
Ta siostra prawdy urzeczywistnionej
Głupia! — w zazdrości swojej dla natchnionej,
Podrzeźniająca giestom jej w mniemaniu,
Że uwielbienie podda urąganiu. —

Acz jest to siła! — lecz dwojakiej treści:
Bezwłasnowolna — przez ucisk powstała,
Która się rodzi z nadmiaru boleści
I współ-łez, niema, bo się przecierpiała.
Współczucie tylko ma złączone z rącją;
Zimna i pewna w zasadach, jak skała —
Tudzież ta, która władnąc fascynacją
Gore, a zawiść z nią, sztuczna z nią chwała
Samozwaństw, chcących być arystokracją [1] —

[1] Arystokracja — ἄρης, ἄριστος, po łacinie praestantissimus albo,

Fascynacja zaś składa się, nie rodzi —
Czem zaś jest przez się? — nie wiem, ani zgadnę;
To tylko jedno dodam: że pochodzi
Od fasces — jest to coś, tragicznie-żadne. [1]

Przez labirynty te, nie budowane
Głazami, z ludzkich uwiane żywotów,
Hieroglifami pozapisywane —
Duch, jako powój śród chruścianych płotów,
Gdy się przewinie raz, umierać gotów,
Tak żal mu właśniej siły, że dotrwała!
— — — — — — — — — — — —
Duch zaś — gdy umrzeć chce, to pragnie ciała. —

Od progów Zofii syn Aleksandrowy
Niósł się jak drzewo z posady wyrwane,
Gdy Akwilonem jest podejmowane
I idzie, wieniec otrząsając z głowy:
Upadku miejsca błędną szuka nogą,
Zniszczenie mając i celem, i drogą. —

«Czemu? — że jedno zimne go spojrzenie
Jak włóczni poszturch na skróś nie przebiło —
Czemu? — że nie ją, jej ukochał cienie —
Albo nie znalazł w niej, co mu się śniło —

bystry, bystrzejszy, najbystrzejszy — αριστος znaczy także: wyborny — χράτος, moc, władza, potęga — jednym słowem αριστοχρατια, znaczy: najznaczniejszych-władztwo.

[1] Fasces, pęk-łóz noszony przez liktorów na znak czujnej dyscipliny rządu. — Że pierwsza zwłaszcza epoka prawa Rzymskiego — sabińska — obejmowała w praktyce swej cały rytuał mimiczny, fasces takie pewnym sposobem wnoszone gdzieś, wywierało magnetyczny urok. — Należałoby aby czytelnik bliżej był obznajmiony z treścią żywota społeczeństw starożytnych, czego literalne książek samych czytanie, bez czytania pomników sztuki niepisanej i żywotów współczesnych o ile są tradycjonalnemi — nie nauczy; aby, z tych słów pojął o ile i jako filologiczne pochodzenie wyrazu fascinatia wywodzi się od fasces. Były różne akcenta mimiczne nierozłączne z odwoływaniem się do prawa, a właściwe naturom spraw, przed trybunał wytaczanych i prawie niemniej od samejże litery kodeksu ważne. Ale do powieści niniejszej dopiski tak szerokie mogłyby być za nadto mnogie — zostawia się je przeto uwadze i studiom czytelnika.

Lub chciał, ażeby te wiedziała rzeczy,
O których mniemał, że wiedzieć powinna —
Mąż nierozsądny! — I któż go uleczy
Z rany, co tyle krwawa i niewinna? —
Miałaż więc ona zgadywać te słowa,
Których się brzmienie powierza kamieniom,
Iż serc nie mają — a ludziom się chowa
Iż mają — mogą mieć? — które sumieniom
Są, jako morski żwir strusia wnętrznościom,
A jako zbroja ordzewiała, kościom? —

Nie rozsądniej-że było wziąść na stronę
Niewiastę onę? — — — — — — — —
— — — — — — i syllogistycznie
Rzec jej: uczucie dałaś za mammonę
I mniemasz, że ci z tą zamianą ślicznie —
I jesteś głucha na okolne bole,
Na mozajkowym oparłszy się stole,
Któryć odbija łokci alabaster —
Jako strumienia dno, pstre kamieniami:
A pieśń twa słodka jest — a miodu plaster
Z nietylu kwiatów, nietylu pszczołami,
Nie tylu kręgi lotów ich, uwity
Wdziękami, ilu rym twój znamienity. —

To, gdyby była dosłuchać łaskawa
Do końca treści, możnać by i dalej
Tłomaczyć: ile? jak? i gdzie ta sprawa
Serca, płomieniem się niszczącym pali.
Wątpliwość każdą wyjaśnić przykładem,
Ominąć każde wewnętrzne ziątrzenie —
I tak przepoić się jej własnym jadem —
— — — — — — — — — — — — —
A własne jednak dotrzymać sumienie:
I — stać się dla niej wydeptanym śladem,
Po którym nawet i nieme kamienie,
Bez krzywych zboczeń mogłyby się sunąć —
A potem — jad ów, wyssany tak, splunąć. —

I — że się ciężar przestało już nosić:
Upaść mu jeszcze do nóg — i przeprosić —
— — — — — — — — — — — — —
Wtedy — o! wtedy ona by widziała
Wszystko, prócz ceny prawd — i wszystko w tobie
Ceniła — prócz twej krwi i twego ciała!»
— — — — — — — — — — — — — — —

Słów tych wewnętrznie młodzieniec domawiał,
Jakoby obca, rozsądna osoba —
Gdy w gruppie ludzi potrącił Barchoba,
Który z rzeźnikiem stał: drugi oprawiał
Baranka, białe zeń ściągając runo,
Krwią do okoła rumiane ciepławą;
Jak gdy okrycie kto rozłącza z ławą,
Pierw do siedzenia miękkiego zasłaną,
Lub naklejone obicie ze ścianą. —

Było to bowiem miejsce, Placem zwane
Przedajnym — gwarne, wilgotne, zaulne [1]
W upały nawet — że nie zamietane,
Temperaturę mające szczególną
I coś szarego w powietrzu jak pyły. —
Tu, tam, wnętrzności leżały na bruku
Indziej się kwiatów wieńce czerwieniły —
Ptasząt śpiew wmięszan do powózek huku,
A do cięć głuchych w mięso, ludzka mowa,
Dawały temu obrazowi całość
Ducha, w rozpaczy, gdy wyczerpnął słowa
I zaniepoznał co radość? co żałość?
A widząc rzeczy-różnicę, nie rzeczy,
Gdy twierdzi nawet coś, to wstecznie przeczy. —

Barchob, od kupna odwróciwszy lice,
Napotkał oczy przechodnia ku niemu
Zwrócone, jako letnie błyskawice,
Lecz te, wraz giestem pytającym «czemu?»

[1] Zaulne od zaułek.

Usunął, sprawę swą kończąc z rzeźnikiem. —
Dziewczyna jakaś przeszła między niemi
Naczynie niosąc bełtające mlekiem —
Jak łani, ledwo że tykając ziemi.
Ta — zawołała «Quidam!» za człowiekiem,
Który szedł koszem do pół osłonięty
A ziół i kwiecia woń powiała w koło
Ostra, jakoby woń koszonej mięty:
Syn Aleksandra schmurzył blade czoło,
Nie mogąc pojąć milczenia Barchoba
I szukał okiem, zali się nie myli? —
Gdy ruch się zrobił w tłumie — tak, że oba
Za tłumem, w jedną stronę się zwrócili.

W głębi zaś placu powstała rąk chmura:
Lud, na bez-sprzężne powskakiwał bigi,
«Wół! wół!» wołając «święty!» — przytem «hurra!» —
A podbiegając z krzykiem na wyścigi
Kapłańskie sługi, w podkasanych szatach
Z stryczkami w ręku sunęli po kwiatach;
Po koszach, w błoto ległych z owocami,
Kapłańskie sługi biegli ze stryczkami.
Gdy wśród zwichrzenia tłumu, rogi złote
Byka, co onę rozganiał chołotę,
Jakoby księżyc zaledwo wschodzący
Na ziemię zleciał, toki nierównemi
Siekły przez obłok ludu pierzchający,
Od ziemi w górę i z góry do ziemi.

Policja Rzymska w tę wmięszana sprawę,
Organizować poczęła wyprawę
Głosząc: «schwytany ma być! jest schwytany!»
Włóczniami tłumy cofając do ściany.
I wraz, porządek gwałtem rósł, gdy szpiegi
Skoczyli niemniej szykować szeregi —
Czas, w którym człowiek z toporem na ręku
Uderzył w ramię młodzieńca z Epiru —

Szukającego w gwarze tym współ-jęku —
Tknięcie to, wzgardy pełne, twarz nieznana
Męża z toporem onym, tak dobodły
Poniewieraną wrażliwość młodziana,
Iż ściągnął k'niemu leniwą prawicę
Leniwą wargą drgnął i wyrzekł «podły!»
Ale już wtedy, gdy go jak kotwicę
Zgiętego rzucił o ziemię:

«Prze-bogi!!»
Tłum, zaczął wołać «morderstwo Kapłana!» —
Zwłaszcza iż wołu właśnie złote rogi
Ujęto stryczkiem, a rzesza wezbrana
Nie miała ujścia chuciom ani drogi.

Policja z swemi skoczyła włóczniami,
Gdzie Aleksandra syn trzymał pod nogą
Męża — a jakiś ogrodnik słowami
Łagodził rzeszę pachołków złowrogą,
Co krwawe stryczki nosi i kadzenia,
Ilekroć żertwa jest gdzie do spalenia.
«Puszczaj!» zawoła setnik, gdy młodzieniec
«Niech zaraz rzuca topór!» k'czemu za się
Ogrodnik dodał «z toporem szaleniec!»
A setnik ręką skinął — w tymże czasie
Kapłański sługa wyrwał się — a potem
Brązowy topór jak ptak z rąk mu sunął,
Powietrze skrzydłem swym przekroił złotem —
Padł — Aleksandra syn zadrżał i — runął.

Krwi sute pasmo fontanną wraz krzywą
Zpoczątku bystrzej, potem szło leniwo,
Kolana widzów pieczętując nagie,
W około trupa ciepłego zebrane —
Utrzymujące ciał tych równowagę,
Które traf skupił i ułożył w ścianę.
Trup się po bruku przeciągnął płaszczyźnie,
Podając rękę ku niebu, jak w chwili

Gdy naciągany łuk ci się wyśliźnie —
I rzekł: «Na targu — konać — jak w ojczyźnie
«Konać — wyśmiewa się z siebie ironia.» —
Coś jeszcze mówił gdy doń przyskoczyli,
Lecz oderwała słowa ust agonia,
Których świat nie wart, a śmierci są łupem:
T o zaś, co podjąć jęto, było trupem.

Ogrodnik tylko, obecny tej sprawie
Wyciągnął rękę, i rzekł — «Błogosławię
Duszy twej — a wy! co znaczy skonanie
Młodzieńca tego, kiedyś się dowiecie —
Którzy jesteście ślepi Kainanie,
Rozbijający braterstwo, na świecie
Obrazy stawiąc, własnego zbłąkania
Czynami, z których każdy was odsłania —
I jako scena w teatrum naucza,
Do prawd zakrytych by szukano klucza —
Bóg, gdy ofiarę nożem czynić miano
Na niewinnego młodzianka wzniesionym,
Nasunął owcę w ciernie uwikłaną,
Krwią ludzką nie chcąc aby był chwalonym
I wolał przenieść ofiarne skonanie,
Nad krwi wylanie. — —
Ale wy — byka minąwszy toporem
W człowieczej krwi się chłodzicie — szaleni!
Tym, mówię, czytać gdy poczniecie wzorem
Pisanie, co się w powietrzu czerwieni,
Padniecie na twarz —»

Precz z nim! — co on rzecze?
Wołano — ktoś jest ponury człowiecze! —
«Czytać» ogrodnik ciągnął, patrząc w górę
Jakoby w pisma zwój «czytać żywotów
I skonań księgę, czytać chmurę
I światłość czytać, zapisanie grzmotów —
Tak jest —» po chwili dodał. Grecy, z tłumu

Wołali: pół-bóg że zstąpił? — a męże
Żydowscy: ktoś ty? a Rzymscy: człowiek bez rozumu!
Rota, gwałtownie wstrząsnąwszy oręże,
Kazała milczeć lub z placu uchodzić —
Ogrodnik rękę wzniósł ponad zwłokami
I szepcąc, począł w powietrzu nią wodzić
Jako gdy w rolę rzuca kto ziarnami —
A szept ów, służył jemu za nasienie —
Gdy mąż, libertyn [1] pod-setnik, co wszczyna
Marsz, gdy w szeregach równają golenie [2]
Zawołał «człowiek ten szepcąc przeklina! —
Chrześciański to pies!» — a kapłańskie sługi
Stryczkami k'niemu puścili krwawemi,
Jako gdy brudne wiatr ogarnie strugi
Z dachów i luną z tak równym hałasem —
Że z góry nie wiesz trysnęły, czy z ziemi? —
I — niezadługo — w zawierusze tłumu
Widziałeś Gwida skroń lub ramię czasem,
A czasem sznura tylko silne drgania;
Co tu i owdzie chwilowo rozgania
Jak, gdy przewoźcy ciężar wleką promu
Nierównym chodem, po nadbrzeżnym piasku
Przy upominań się wzajemnym wrzasku. —

I niezadługo na tym placu gwarnym
Zamknięte tylko kupczących szałasy
Stały, szeregiem milczącym i czarnym.
— Zachodu słońce, purpurowej krasy
W błota się szybach mętnych odbijało:
Młodzieńca cichy trup leżał, okryty
Kwiatami z koszów gwałtem wywróconych —
Pies jakiś wietrzył krew — — jakieś kobiety
Przechodząc, kilka róż mało zbroczonych
Podniosły — cicho było i zielono,
Na bruku który właśnie opuszczono,

[1] Mąż libertyn znaczy: w Rzymie z niewolnika i niewolnicy urodzony — za Tybrem było ich przedmieście.

[2] Linje w wojsku równały się po goleniach. —

Podobnym, z barwy, miejsca i wspomnienia
Do wag-rzeźniczych — te, z urządzeń zmianą,
Z ciężkiego nader że były kamienia,
Do nóg męczeńskich gdy przywiązywano —
Krwi nieraz świętej bywał na nich napis,
Zkąd kamień wag tych, zwą: martyrum-lapis. [1]

XXV.

Jak przez czasowe gdy kto wieczne słyszy
I folgę daje obecności gwarnej
Bacząc, czy odgadł gdzie jest? bacząc w ciszy,
Której treść wielka, lubo pozór marny —
I próżen rzeczy znikomych kwapienia
Probuje tylko ile mu jest dano
I wolno swego uchylić sumienia
Za cyrk, gdzie jeszcze walk nie dokonano:
Tak Jazon, wieścią choroby okryty,
Samotnie wschody liczył i zachody —
To przed domostwem siadując jak wryty,
Niewiele baczny na wieczorne chłody —
To od przysionka przechodząc wzdłuż sali,
Gdzie drży fontanna i lampa się pali.

Zamorskich mężów mniej już zachodziło
Do drzwi Magowych pukać i przed domem
Czuwać — i jakby się coś dokończyło
W teatrum, pierwej co chwila ruchomem —
Znikli. — A jeźli pomnił kto osoby
Do tyla ciche, to gdy sam był w stanie
Uciszyć niemniej własny zmysł i doby,
Która się raczej miała na wezbranie —
I obfitością trafów, mniemań, wieści
Radziła owszem wybiegać po za nie:

[1] Kamień podobny do agatu jasno zielonego, z którego wagi rabiono, a potem zmieniwszy je, zużywano ten ciężar w męczeństwach, rozmaicie go stosując; pierwej zwany przeto aequi-pondus potem zaś lapis-martyrum.

I szukać, czego szuka się w boleści
Krzykiem, lub czego myśl pożąda w czasie;
Lecz co jedynie w duchu spotyka się — —
Więc, co pierw było, skryte jest zasłoną
Pewniejszą, niż by z głazów ją robiono:
Zdziwienia nawet nie zostawującą,
Jak nie zostawia zdziwienia na świecie,
Że starzec umarł — zrodziło się dziecię.

Przechadzkę swoją po izbie, niechcącą,
Prowadził starzec krokami równemi,
Gdy w drzwiach otwartych stanął mąż nieznany,
Bosy — że Jazon podniósł wzrok od ziemi,
Spotkawszy nogę obcą mu u ściany —
Tak, już był przywykł ufać iż nie inny
Kto? jeno Barchob u niego gościnny.

Mąż, że z daleka szedł, że w Rzymie świeży,
Po samej łyżce z cytymskiego drzewa, [1]
U pasa jego wiszącej, z odzieży
Także, poznałbyś — «Akiba się miewa
Dobrze — odgadłeś gwiazdę i jej syna —
Krew już płynęła — ta jest ma nowina.» —
Jazon ramiona wzniósł — uścisnął potem
Przychodnia, pierwej wysłuchawszy mowy,
Jakby odległym jawiła się grzmotem —
I zaczerwienił się w sposób niezdrowy
I zbladł — i rękę otarł jednę drugą
I rzekł — «spoczniemy — dziś — potem na długo
Spoczniemy — może» — i siadał wygodniej
Niż to zwykł czynić sam — a ręki giestem
Wskazywał by toż zrobił mąż przychodni.
I siedli — Jazon rzekł — «słuchaczem jestem.
Mów — a spokojnie — bez zdawania rzeczy,
Co już obyło się w poselskich słowach —
Jak odpasanych brzęk coś mówi mieczy,
Kiedy zatyka się je w łoża głowach.

[1] Drzewo citim którego robak nie toczy.

Tak mów, bym czasu powietrza i ziemi
Używał z ciebie oddechami memi.
To mówiąc, rękę kładł na męża ramię,
Skrzydłami nosa robiąc jak człek młody
I poprawując nieuważnie brody:
«Mów — Posłannika, jak zgadnięto znamię? —
Wielu ma z sobą?»

«Set było niewiele
Konnych, co zwie się Machabejska jazda;
Piechoty tysiąc, lecz dziś, rzekłbym śmiele
Dwa razy tyle wiedzie za się gwiazda,
Po drogach tkanych w gałązki zielone —
Bareochebas! wątła wprawdzie świeca
Kiedy się jawił — ta, rzekłbyś dziewica —
Pacholę — rzekłbyś, mało doświadczone —
«Zmężniał» — podpowie Jazon [1] —»

— «Rudo-grzywy!»
Przychodzień rzecze «ku Jaboku stronie, [2]
Ku Dekapolis, gdy grano w cięciwy,
Zakłuto pod nim numidzkie dwa konie.
Trzydziestu za to wraz na placu kładzie
Z pancernej jazdy Rzymskiej co najlepszej —
I nie masz w sobie dorównywać szpadzie
I nie masz od swej horągwi być krzepszy? —
Zwłaszcza że nie swój, ale prawie owy
Pierwszy obyczaj Machabeuszowy
Trzyma — we skrzydła dwa robiąc konnicę,
Łuczniki środkiem: a sam nakształt głowy,
Z ogromną ręką prawą, też z lewicą —
Z obiema zaraz po modlitwie wszczyna
Pieśń — a z trąb niźli się odleje ślina,
To krew się pierwej na toż miejsce rzuca,
Iż jest przeklęta krew — krew poganina!» —

[1] Wyobrażenie patriotyczne u Żydów że Messiasz musi być przed wszystkiem chrobry.
[2] Jabok ku Dekapolis nad odnogą Jordanu.

To rzekłszy, ziemię bosą zatarł nogą —
Gdy Jazon pojrzał na około — potem
Wstał — wyszedł — Barchob, że nadchodził drogą
K'niemu mistrz płaszcza połą jak namiotem
Wionął i giestem rzucił polecenie
I jako pierwej siadł — było milczenie. —

Po chwili weszło pacholę służebne,
Miednicę stawiąc z płuciennym ręcznikiem,
Toż sprzęty obce, do uczty potrzebne:
Drewnianą konew z winem, konew z mlekiem;
Stół, jakich w Rzymie nie ma, arfę złotą
Schowaną w kaptur z Sydońskiej purpury —
I piasek, którym sypało z ochotą
Na różnobarwne posadzki marmury;
Gałązki przytem mając oliwnemi
Tak odmienioną powierzchowność ziemi.

Wyszło — szeroki słońca promień z góry
W fontannę upadł, prysnął o marmury
I tęczę wywiódł sztuczną co na ścianie
Szukała przyledz jako malowanie;
Gdy Jazon włosy zarzuciwszy białe,
Do nóg przychodnia miał się. — «Być nie może!»
Zawoła pielgrzym «— a — broń że mię Boże!» —
I począł nogi swe okrzemieniałe
Cofać i ramię odsuwał Magowe —
Czego mistrz prawdę nareszcie poznawszy,
Usunął ręce, siwą otrząsł głowę
I prawie rośmiał się jak dziecko — żwawszy — —
A potem, z dziwnym na twarzy wyrazem
Ku arfie poszedł czerwono okrytej,
Mówiąc «gdyby się serce stało głazem
Miałoby taki kształt!» — i pojrzał w szczyty
Domostwa, rękę wyciągając prawą,
Jak gdy kto burzy nadchodzącej słucha.
Usta mu barwą zabiegły bladawą:
Cichość się więcej uczyniła głucha —

Przychodzień nie śmiał kropli zwiać w miednicę
I zamiast nogi swe, ocierał lice,
Tając że tai łzy, płacz tającemu:
Tak wzajem bali się pytania «czemu?» —
Ciszę tę świętą, przerwał głos od dworu
Żabiegający, wyraźny głos sporu
Między Barchobem a gośćmi — głos, który
Cichł i podnosił się i milkł w parowie
Dwojakiej zda się płci albo natury
Głos, jaki w serio tragediach faunowie
Mogliby jedni wywtórzyć na fletni,
Lub w czasie smutnym ludzie nieszlachetni —
Jakoż, Pomponius był to z swą przebraną
Elektrą — — Barchob, ostatnie rzekł słowo
I słychać było że się drzwi ze ścianą
Zwarły, aż młotek uderzył na nowo — —
— — — — — — — — — — — —

«Oto» — Mistrz rzecze — «masz ich — to — Rzymianie!
Pompejuszowi wnukowie — któremu
Macicę winną ze złota[1] na ścianie
Zawiesił Judzki król lat nieco temu —».
I dodał — «z chwili samego wyboru
Czy nie odgadłbyś fasces i toporu? —
O! ty co zamiast głupiej krwi będlęcej,
Antiochowych zbiłeś pięć tysięcy,
A powracając do Jeruzalemy,
Zastałeś kościoł chwastami zarosły,
Niemy — i ołtarz mchem zarosły, niemy,
I drzwi spalone w zuzel — gdzie się osły
Tarzały podłe — ty[2] jesteś tu blizko —
Czuję cię przez łzę i urągowisko!» —

«Uszczknijmyż nieco i w jego radości»
Przychodzień rzecze, a jako dni osiem

[1] Tę macicę winną zwaną Terpolis widział jeszcze Flawius Józef w świątyni Jowisza kapitolijskiego, a była ona z napisem: Aleksander, król żydowski.
[2] Judasz Machabeusz.

«Postanowił-był osiem dni światłości.[1]
Tak osiem godzin niech wesele znosim —
Znosim!» — bo rzecz jest nie cała — i krwawa —
K'czemu siadając Mag rzekł — «owo strawa
Na jaką stać mię» i chleb począł łamać. —
Ale solenność odeń odchodziła,
Jak gdy natchnieniu kto dozwolił skłamać,
Nie mocen doprząść tymże samym tonem
Treści, co albo zupełnie wątpliwa,
Albo wątpliwość stracić ma za zgonem —
I chociaż szczera jest, kłamie, bo żywa.
Tak bowiem swego Mag Barchoebasa
Za czekanego uważał Messiasa,
I wielbił prawdę; lecz przez opóźnione
Złudzenie, jako przy zachodzie słońca
Podziwiasz nieraz za dnia pominione
Okolic wdzięki — iż blizkie są końca! —
— — — — — — — — — — — — —

Skoro baranka napoczynać mieli,
Barchob z podrzędnym usiadł pacholęciem
I jedli służąc, słuchając z zajęciem
Rozmów, jakoby onych treść wiedzieli.
Żkąd chwile były tego zapomnienia,
W których gdzie znika, a myśl ze wspomnienia
Obecność tworzy — chwile przywołania
Przeszłości w jawność, lub czasu przyszłego,
Który się jeszcze oku nie odsłania:
Coś przynoszące upajającego
Przez oderwanie się od współczesności,
Bozkości nieco mające i czczości.
Chwile, co dają nieśmiertelność tchnieniem,
Uobecniając treści niedotkliwe,
A niepokoją wewnętrznie sumieniem,
Szepcąc: że nikłe są — że nad-prawdziwe — —

[1] Po przywróceniu czci kościołowi, postanowił Machabeusz 8 dni światłości w 3 lata po profanacyi, jak zapowiedziane było u Daniela proroka.

Więc, takie, wina popiwszy kielichem,
Godzisz się wreszcie z myślą żeś jest lichym —
Nie iżbyś szukał zniżenia się w źwierzę,
Lecz że nie będąc duchem, twierdzisz «wierzę!» —
A twierdząc, konasz rozumem doczesnym,
Stając się wiecznym, ileś nad-spółczesnym.

Tak ludziom na śmierć idącym się daje
Puchar [1] — i w innych też chwilach solennych
Stwierdzają prawdę oną obyczaje
Ludów, bynajmniej sobie nieościemnych.

Właśnie tak Jazon kielich wzniósł — gdy z dworu
Stuk młotka zabrzmiał, a potem ten samy —
Lecz już jak cięcie obuchem toporu.
A dalej poświst zawias, co od bramy
Wypartej, darły się wstęgą brązową
I tupot skorych nóg zmięszany z mową — —
Mistrz wstał, lecz w chwili gdy miał się ku sieni,
Liktorów weszło dwóch i znaczna rota —
Co widząc: «Bądźcie albo pozdrowieni» —
Rzekł «albo — niecnie zmyliliście wrota —
Cesarz-że pisze do mnie?» — Liktor na to
Pierwszy: «litera którą trzymam, złota,
Mówi, że skazan jesteś na wygnanie,
Ty — filozofy — tudzież chrześcianie» [2]
Co rzekłszy zaciąg czynił straży zbrojnej,
W przysionku stawiąc szepczących żołnierzy;
Jak człowiek swoje gdy pełni, spokojny
I zimny — pełni to co się należy —
A łatwość w tem ma utrzymania rzeczy,
Iż sam nie wątpi i nic mu nie przeczy.

«Kończmy!» Rzekł Jazon i puchar wychylił,
Ale ust nieco kielichem omylił

[1] Salomonis XXI. 6.: «Dajcie napój mocny ginącemu, a wino tym którzy są ducha sfrasowanego.»
[2] Po wiele razy tak chrześcian i filozofów razem wygnaniem jednem dotykano.

I do setnika palec niosąc — rzecze:
«Kajus» [1] — posłuchaj służebny człowiecze —
«Cezar, czterykroć zwan Imperatorem —
Pierwszy raz konsul — także Dyktatorem
Nazwany wiecznym, księciu Hirkanowi
W umowie głównej głosi i stanowi:
Iż, skoro posły Żydowskie przybędą,
Z senatorami na igrzyskach siędą
Patrzeć, jak rzymski chłop się w cyrku bije.
A gdy zaniosą skargę do senatu
Tedy — jeżeli Rzym trwa, Cezar żyje
I jak panować ma, panuje światu —
Dnia dziesiątego po listów złożeniu
Dyktator, albo pułkownik konnicy,
U żydów onych stanąwszy w przedsieniu
Zapyta, czyli chcą z nim iść lennicy —
Rzym-że trwa jeszcze? Cezar, jak się miewa?
To, mówiąc kaszlać począł nieprzytomnie
I chwytał łyżkę z cytymskiego drzewa —
I obracał ją w ręku — —

— «Ile do mnie
Rzecz ta należy?» zawoła przychodzień
«Jam nieznajomy gość tu — wam zaś — zbrodzień!
Jam jest z powstańców mąż — obcy magowi.
Czyńcież co czynić macie — czyńcie zdrowi.» —

Mistrz Jazon słowa te słysząc wzniósł rękę
I popychany żołnierstwa poskokiem
Wołał — «coś w wietrze czuję — jakby mękę
Człowieka — krzyże — pod ciężkim obłokiem,
Przy Jeruzalem — na trupich-głów górze —
I padł po piaskiem zasłanym marmurze,
Skroniami miecąc gałązki oliwne,
Co zdały mu się uwieńczać siwiznę.

[1] Edykt ten Juliusza Cezara prawie dosłownie przytoczony tu jest. —

XXVI.

«Tyś winna;» mówił Pomponius do diwy,
Że oto dzień ten tyle nieszczęśliwy.»
I łamał pedum kościane jak trzcinę
Na co raz więcej drobne kawałeczki —
A kość parskała i złote zeń cwieczki
Wylatywały jak skry. — «Wina winę
Powiększa» diwa na to mu odpowie:
«Gniew, pedum niszcząc, nadweręża zdrowie»[1]
— «Koniecznem było, zamiast starca budzić,
Napisać raczej do Zofii słów parę»
Pomponius mówił. —

«— Zamiast palce trudzić
«Łamaniem kości — pisz! — lub czekaj: stare
Tam są, od różnych patrycjuszów karty:
Wybioręć sama list» — co rzekłszy, z śmiechem
Wybiegła — niby stając za zasłoną
Pobrzmiewającą wszakże kroków echem —
Tak, że Pomponius w głos zawołał «żarty!» —

I chęć mu przyszła niespodziankę oną
Przedłużyć, wiary dziecinnej udaniem,
Gdy diwa z twarzą wbiegła rozjaśnioną,
Mówiąc — «posłałam — krótki list — z wyznaniem
«List twój i kwiaty — po drodze ich wiele
Zakupić można? — prawdaż? —

W rzeczach tylu
Życzenia twoje i pragnienia dziele —
Czemuż mam obcą być i w tem —?»

[1] Ta moralna uwaga o gniewie nie jest wcale obcą społeczeństwu starożytnemu, owszem precepty higieniczno-moralne mamy właśnie że z tamtych źródeł,

— «Motylu!» —
Pomponius z zimną ufnością odpowie
«Gdybyś zrobiła to!» —

«— Gdybym zrobiła!» —
I wieniec rąk nań białych zarzuciła,
Wśród pocałunków poszeptując «kto wie» — —

XXVII.

W podróżnym płaszczu, z ogoloną głową[1]
Jako niewolnik, lub człowiek ubogi,
Mistrz Arthemidor wchodził w Zofii progi,
Postawę nie swą mając, raczej ową,
W którą się rzeźbiarz stroi, kiedy bogi
Przedstawiać każą mu śmiertelni ludzie,
Hojni dość, nie dość rozmyślni o cudzie.

Zofia kończyła właśnie swą rozmowę
Z posłańcem, który miał doń list, a leki
I kwiaty z willi przyniósł niedalekiej.
Od Pomponiusa list, rzeczy nie nowe
Powiadający, tem szczególny w sobie
Że zdał się innej należeć osobie —
I nic o lekach nie mówił od Maga.
Rzuciła go więc, rzekłszy «nieuwaga!»
Skinieniem słudze dając pożegnanie.
Gdy, Arthemidor siadł i jak w koronie
Król, za majestat swój, mając wygnanie,
Mierzonym głosem te jej mówił słowa:
«Bądź zdrowa! — więcej niż kiedy, bądź zdrowa —
Wybrzerza Galii[2] dzikiej, niezadługo
Przyjdzie mi oczy oglądać tęsknemi

[1] Dotknięci wygnaniem pozbawieni bywali możności noszenia togi i nieraz w krótkiej sukni z głową ogoloną, szlachcic rzymski w prowincyi oddalonej szkołę zakładał i uczył.

[2] «Wybrzerza Galii dzikiej.» — Lubo państwo Rzymskie obejmowało nieledwie świat, linia jednak od dzisiejszego Krymu do Marsyli przez

Rzymie! wołając, sławo i zasługo!
Zniknijcie — ziemio, wracaj się do ziemi!
Laury! suchemi rozmieććie się pyły —
Brak środków, dwakroć uolbrzymia siły.»
To rzekł — lecz jakby mówił to już pierwej,
Nie dawał uczuć aby krócił żale,
Lub poruszone uspokajał nerwy —
Swobodny owszem, i przytomny wcale
Nim, Zofia z swem się współczuciem ozwała;
Kwiatami począł bawić się niedbale,
Każąc by leków swych nie przerywała,
Solennie nagląc, by niebył natrętny;
By napoj wzięła zbawienny acz mętny —
Co też doraźne dało porównanie
Iż niemniej gorzkie, a przyjął — wygnanie! —

Więc Zofia leżąc rękę mu podawszy,
Chyliła do ust maleńką amforę;
Rumieniec mając co raz to jaskrawszy
Jak, gdy weselą się osoby chore. —

I obraz to był za prawdę ciekawy:
Wygnańca, gdy się z ręką tej kobiety
Leżącej bawił, wzrok mając bez-łzawy,
Lecz nieobecny, po za miejsce wryty —
I tej, z rumieńcem swoim horobliwym
Nadobnej, co mu rękę swą podała —
Leżąc, pomiędzy człekiem nieszczęśliwym
A lirą, która z drugiej strony stała —
Pijąc coś, wzrokiem iskrząc, piersi drganiem
Co raz to silniej odrzucając szaty. — —

posadę Europy wyciągnięta dałaby niżej właściwą, Ojczyznę Rzymianina, wyżej zaś kraje do robienia karier wojskowych i miejsce wygnań. — I jako naprzykład Ameryka względem Europy bywała i jest krajem ucieczki z różnych przyczyn, tak był na on czas ów obszar środkowej Europy. — Po ukrzyżowaniu Pańskiem, Herod, Piłat i Śta Magdalena zostawują wspomnienia iż w dzisiejszej Francyi przebywali — było przysłowiem Rzymskim poszedł na ryby do Marzylii» co znaczyło iż wygnany jest albo źle uważany.

Prz. aut.

Obraz, nie wiedzieć czyjem pożegnaniem
Napiętnowany, zwłaszcza, że tuż kwiaty
I list rzucony najniedbalej leżał;
Jakby tam przeszedł jeden z onych smutków,
Co od nikogo z ludzi nie należał —
Ani należał komu — owoc skutków! —

Po chwili, puste rzucając naczynie,
Ścisnęła ręką dłoń Arthemidora
I przechyliła k'niemu blade skronie,
Mówiąc coś, jakby osoba nie chora,
Lecz jak się dzieci bawią w swej pościeli —
Rękoma, włosy zgarniając na oczy
Z kwileniem płaczu, to, znowu weselej
Do rozpierzchniętych gadając warkoczy,
Jak gdy kto z żywem bawi się stworzeniem —
«Bądź zdrów!» wołając i znowu «bądź zdrowa.»
Liry mi z sobą nie unieś, bo jęknie —
Podsłyszą szpiegi, co się w lirze chowa,
Rozbiją na krzyż, że każda z strun pęknie,
Spadkami pękań tych wyrzekłszy słowa
Wszystkiego — co jest na świecie coś warte —
A ludzie patrzeć będą, jak ta mowa
Odleci w lazur, pierś mając rozdartą.
I jeszcze o drachm założą się parę,
Czy też do Grecyi szczątki jej dolecą? —
— — — — — — — — — — — — — —
Oh! tak jest — mówię ci — kolosy stare
Z gajów swych cicho wyzierając, lecą —
Orfeusz, Homer! — Patrz — »

I wskazywała
Palcem w zasłony cienie purpurowe —
«Sokrat, z motylem czy liściem na czole —
Pokazuje mi coś [1] — amforka mała —

[1] Kiedy Sokrates wypić miał truciznę, pocieszany był we śnie przez postać cytującą mu wiersz Homera; widzenie więc to Zofii na tem jest osnute.

A taki wielki świat! — tak wielkie bole! —
I śmierć — sen — sen — śmierć — — »

I skonała —
« Oh! niźli pójdę precz » wygnaniec rzecze
« Trzebaż mi było ostatnią z Hellady
Pożegnać pierwej? — Eheu! — nie miecze,
Lecz poniewierka już, a skryte jady
Narodu resztom następują w ślady! » —
Co że zawołał głosem rozpaczliwym,
Służebne wbiegły, Egipcjanka z niemi
I rozpoczęły nad ciałem nieżywem
Szlochać — list, flaszkę, kwiaty brały z ziemi —
Noc nadchodziła: sąsiednie osoby
Wchadzały, mimo niegościnnej doby.
Pochodni kilka, tam i owdzie — długo
Noszono — szepcąc, gdy Mistrz w swej opończy
Wytartej, stał się pogrzebowym sługą:
Przyjaźnią, prawdą i bolem okryty
Nie myśląc jak z nim pocznie wieść i skończy —
Wygnania nawet zapomniał — łez syty.

XXVIII.

Po za murami, po za czerwonemi,
W około wzgórza sypanego z ziemi,
Jako, gdy ogień wzniecają pastuchy,
Ludzie się jacyś krzątali czy duchy? —

Gdy wiatr jesienny, idąc po Kampanii,
Skrzydłami swemi stos poddymał suchy
I słowa imał śpiewanej litanii,
Smutki swe do nich mięszając stepowe —
Dym, zwijał w kłęby, albo zażegnięte
Porywał z stosu wieńce cyprysowe,
Okrągłe — ciskał dalej, rozwinięte —
Bursztynowemi polewan aromy,

Palił się stos ów czworobocznie stromy
A gruppy ludzi odeń aż ku bramie
W zbliżeniach różnych stały. Było rano,
Chłodno — — Mąż jakiś, obrzucając ramię
Gęstemi płaszcza fałdami, za ścianą
Appijskiej bramy, w którą właśnie bigi
Wchodziły — szepnął ku towarzyszowi:
«Niedługo, konne zaczną się wyścigi —
Jezdnych.» [1] — Co ledwo skończył, ludzie nowi
Od miasta cwałem ku bramie zdążali.
Jeden z nich, Łowczym był Cesarskiej świty;
Drugi, jakkolwiek w pół twarzy zakryty
Od strony, gdzie się stos na wzgórzu pali,
Dawał się po swej poznać wykwintności,
Że był Pomponius. — «Fatum nam zazdrości
W wyścigach — owo stos i trup na stosie.» —
Łowczy rzekł. «Fatum wstrętne filozofii,
Hippice, za cóż ma uwłaczać w losie?» —
«Przysiągłbym bowiem, że to resztki Zofii!» —
K'czemu Pomponius chyląc się na grzywę,
Przeto iż cugle legły, a koń skrami
Rażony, szyję podejmował krzywę:
«Nie mięszajże mnie» odparł «z wygnańcami.»
I ręką chroniąc wzrok od wschodu słońca,
Trzeciego zdał się upatrywać gońca —
— — — — — — — — — — — — —

Po za murami, po za szerokiemi
Droga się w wąwóz zakrzywiała czarny
Z kamienia, miękkość mającego ziemi
Zmarzłej — lub jako zuzel jest pożarny,
A kamień taki tuffo [2] się nazywa
Topora cięciu echem nie odzywa.

— Tam w czeluść groty mimo blizkiej drogi,
Wnosili męże trzej rzecz płaszczem krytą,

[1] Konne wyścigi jezdnych — ten wyraz znaczy tu po rzymsku jezdnych, to jest szlachty rzymskiej.
[2] Tuffo kamień czarny, miękki. Najstarsze groby, np. Scypionów, z tego kamienia są robione: groby — nie zaś sarkofagi.

Gdy jeźdcy nasi, w kształt konnej załogi
Wąwozu czarne mijali koryto —
Niesionej rzeczy błysły w cieniu n o g i —
Że je z pośpiechem uchodząc, odkryto,
Białość i zmarszczki mające sędziwe,
A jako zmarły kwiatu pąk, n i e ż y w e. —

Mąż, co je spuszczał w grotę [1] ręką lewą,
Podrzucił prawą ku jeźdcom jak drzewo,
Kiedy je skręci wiatr i za rumakiem
Pulchra, coś wołać wszczął tej ręki znakiem;
Jakoby mówić chciała ta osoba:
«P o m ó ż g r z e ś ć s t a r c a, o d p o z n a j B a r c h o b a!» —
Gdy grzywy poświst i szelest klamidy
Zdawał się odrzec: «nie znałem was — Żydy!» —

[1] — Nie tylko palono na stosach ale i sposobem orjentalnym grzebano w jaskiniach; nawet pieniądze w usta kładziono grzebanym: pod koniec bowie Imperium i już od połowy ciągu jego, grzebano na sposoby każdemu wyznaniu właściwe. —

CYWILIZACJA.

(LEGENDA.)

1861.

I.

Znajomy mój młody uwagi mi robił że żaglowym lepiej okrętem przepływać Oceanu przestrzeń. — Pozwoliłem mu mówić w tym przedmiocie i słuchałem go oparłszy się kolanem o tłomoczek podróżny a biodrami o ciosaną z kamienia poręcz wybrzeża portowego. —

Ale skoro domówił on perjodu — ale skoro spojrzałem na wielki zegar miejski i zmiarkowałem iż za niewiele czasu parostatek zwany: Cywilizacja ruszy z miejsca gdzie przystał był i osobę moją z sobą poniesie, przerwałem młodemu przyjacielowi memu jego mówienie.

Był czas, rzekłem, kiedy w rzeczywistości dotykalnej pod ręką moją miałem klucze piękności onych, o których marzenie swoje mi przedstawiasz — — A słów tych domówiwszy wbłąkały mi się w pamięć rymy które nuciłem, oglądając klamry i zamknięcia podróżnego mego tłomoczka.

— Co dzień woda w okręt ciecze,
Nogą z łoża ani stąp;
Co wieczora — o! człowiecze
W górę rękaw! — i do pomp.

Pożegnałem, co kochałem,
Upominek złączy nas;
Ręką jedną, przestrzeń dałem,
Drugą ręką dałem czas. —

Co dzień woda w okręt ciecze
Nogą z łoża ani stąp;
Co wieczora — o! człowiecze
Rękaw w górę — i do pomp.! —

Oto i widzisz, mówiłem mojemu młodemu znajomemu, że rzeczy te nie są mi wcale obce, owszem, od ogromnych żaglowego okrętu podwalin, budowanie arki przypominających, a które spoczywają na samym dnie łodzi okrętowej. — Przeszedłszy następnie miejsca ciemne, gdzie ordzawione wodą słoną, łańcuchy kotwic się pierścienią lub wyciągnięte są podłużnie w niedbałym na posadzce odpocznieniu: przeszedłszy jeszcze wyżej do korytarzy kabin, i wyżej na pokład okrętowy, którego każda deska biała jest i miękka od umywań, a wszystkie są jakoby wieko skrzypiec pięknie wygięte. — I podniósłszy oczy tam gdzie lin wielu okrętowych niewzdrygliwe siatki się przekreślają na niebiosach, albo i gdzie powietrze rozbija namioty swoje szerokiemi żaglami — albo i gdzie trzy masztów krzyże kończynami swojemi podobne są jakiejś mistycznej troistości, kiedy umierają we mgłach rannych, w mętach opalowego światłocienia a wilgoci ciepłej i słonawej; mętach, niekiedy przedartych zgubionymi przez odeszłe słońce promieniami — wszystko to — jak widzisz, jest mi znane. To — i nadto huk żagli pękających, do wystrzałów poddać się mającego miasta podobny — i upadanie majtków niebezpieczne, ze szczytów zatrzęsionego burzą masztu — i przekleństwa ich językiem mówione morskim, który może jeszcze fenickie ma w korzeniu swoim pierwiastki — i niecierpliwienie się czterech łodzi, zawieszonych po okrętu bokach, a które tylko w czas przystani spokojnej, lub wczas ostatecznego niebezpieczeństwa bywają z łańcuchów swych spuszczane.

Jakoż — od oczyszczanego najstaranniej miedzianego gwoździa okrętowego, aż do gwiazdy w niebiosach jak gwóźdź błyszczącej. — Także, od safirowej chwili najpogodniejszego uciszenia aż do czarności otchłannej burz powietrznych — od wyciągniętych różowych rąk dziecięcia ku rybom wielkim, co idą za okrętem niby że psy domowe, aż do rzucających twarde rozkazy giestów okrętowego kapitana w rękawice futrem szorstkie uzbrojonego. Jakoż od tego co podpiera i

uspokaja, aż do tego co tobą jako liściem suchym pomiata i czyni ciebie znikomością podrywaną z planety, albo daje ci uczucie do onych dwóch w niczem niepodobne: bo uczucie tępego i głuchego spokoju materyi ze znurzenia — uczucie głębokie i nikczemne! — podobne do rozmowy ciała człowieczego z piaskiem grobu który jemu należy, albo atomów ciało człowieka składających z planetarnym ciążenia środkiem. — Kiedy, jednem słowem jesteś dla tego tylko, że chwilę przed tem byłeś, nim na mokrym i mętnym zwoju poplątanych sznurów okrętowych wyciągnąwszy się, rzekłeś sobie niezrozumiałym językiem dla nikogo: «Oto jest stateczność i spoczynek.» —

O! tak — powiadam tobie i widzisz, że poezja tych rzeczy bezpośrednio mi znana — ani co nowego pod tym względem obiecywać sobie potrafiłbym! — Lecz zmęczony już jestem i dla tego wybrałem dogodny paro-statek Cywilizacją zwany, ażeby wśród rękojmi, które człowiekowi epoka ofiaruje, zarazem drogiego użyć spoeznienia i zarazem chwili jednej nie utracić, z szybkością wielką postępując. A kiedy to mówiłem, usłyszeliśmy niecierpliwy poświst i usłyszeliśmy gwałtowny szum wybuchań kotła parowego. I żeglarzy dwóch w kapeluszach, na których wypisane było słowo: Cywilizacja, ujrzeliśmy idących ku nam po szerokiej desce łączącej pokład statku z wybrzeżem — ci, uchwycili podróżny mój tłomoczek — a ja uścisnąłem miękką rękę młodego mego znajomego i poskoczyłem za unoszącymi ciężar, aż wzdrygnęła się deska która wybrzeże z Cywilizácją połączała. O! deski te, żebyście wiedzieli! — jak deski, które w portowych miastach na wybrzeżach martwo i cicho leżą — żebyście wy wiedzieli, do ila patetycznemi one są sprzętami! — — Wszakże one nie więcej nad półtora stopy bywają długie, a połączające nieraz świata części! —

Pożegnałem, co kochałem —
Upominek złączy nas:
Jedną ręką przestrzeń dałem,
Ręką drugą dałem czas.

II.

I nie wygłaszając słowem mówionem, ale tylko nutą samą dośpiewując te rymy, wbiegłem pomiędzy ramiona dwóch żandarmów, którzy odpłynięcia statku strzegli, jako karjatydy dwie, czcząc powietrza podpierające — — i oto pomiędzy onymi policjantami dwoma, jakoby przez odrzwia furty żywej, wszedłem na Cywilizacji pokład.

Pięknie było — świeciło słońce Boże, odbijając przybywające do nas przez otchłanie-otchłani promienności swoje, w świecących guzikach policjantów i w mosiężnych parostatku gwoździach — czystość albowiem i porządek nigdzie może więcej uwidomionemi nie bywają, jak na odpłynąć mającym statku parowym.

A że znałem tam, wśród podróżnych, niejakiego lekarza powielekroć drogę tę robić nawykłego, tedy umyśliłem sobie iż obeznać mię będzie mógł nieledwie ze wszystkiem i nieledwie że wszystkiemi. Był to zaś człowiek wieku podeszłego, który przez lat trzydzieści lekarskie rzemiosło praktykując, tak wielką zyskał sobie wziętość, iż nareszcie musiał zaniedbywać powierzających się mu chorych z powodu, iż zbywało mu czasu na indywidualności ich mieć względy — wycofał się przeto jak mąż zacny z tak niebezpiecznego pola prac swych i przestawał najwięcej z przyjacielem swoim adwokatem, który niemniej, tąż samą drogą, dla tego tylko że słynnym był i sumiennym, na prywatne usunął się był ustronie.

Tych mężów dwóch szukałem oczyma memi, na statek wchodząc, ale mięszało się jeszcze krzątanie się podróżnych, którzy właśnie że weszli i krzątanie się służby okrętowej, którą portowy rządził pilot — spostrzegłem więc tylko kilku dzikich ambassadorów niejakiego książątka z wysp odległych, którzy z tłomaczem swym i służbą obchodzili do koła wnętrze okrętu, macając rękoma poręcze wschodów machoniowe i ozdoby mosiężne bardzo świecące — a na twarzach tych dzikich była radość, że wszystko do koła, jest tak równo, pięknie i gładko.

III.

I płynęliśmy dzień jeden i dzień wtóry — a dnia trzeciego gdy byliśmy jeszcze na onym wstępnym Oceanu pasie, gdzie zielone fale uderzają o ściany wapienne i pionowe wysp niewielkich, wzmogły się wiatry znaczne i była burza. Co, jak tylko się pomiędzy podróżnymi rozgłosiło, zeszli jedni do kabin ażeby wyciągnąć się na łóżkach swoich, drudzy zaś na pokład okrętu pośpieszali, ażeby — mówili oni — burzę widzieć. —

I widziałem jako wstępował na ów pokład, niejaki oficer kawaleryi płaszczem się swoim okrywając, z pod którego kończyn świeciły się krzywe ostrogi — był to energiczny człowiek i mający giesta niespokojne, jakoby szukające w koło siebie czyli nie jest co? do uskromienia. — Żywioł wszelako rozchukany, parskając białemi śliny swemi, mało waży sobie energie ludzi pojedyńczych, skoro te nie za pośrednictwem praw żywiołowi onemu właściwych krzątają się i jakkolwiek bądź sprężyście się niepokoją: jest to żywiołowi obojętne. Majtek jeden w opończy ceratowej od stóp do głów strumieniami wody jaśniejący, przebiegł gwiżdżąc obok oficera kawaleryi i podtrzymał zachwianą postać niewieścią, która właśnie że na pokład wstępowała, trzymając się ręki pewnego młodego podróżnego: O osobie tej zaś mówiono na okręcie że jest przez nadobnego towarzysza swego wykradzioną. —

Piękna była to dama, ale co do nieposzlakowanej dorodności należało się więcej jej miłemu, który przytem bardzo rzewliwe miał spojrzenia i ruchy więcej niż wykwintne. Spoglądali oboje, jako ludzie morza nieświadomi, którym się wydawa iż burza morska ustępów nie ma, bardzo blizko uczuć się dających, ale że jest czemś z daleka i od razu do widzenia możebna jak opera. On zatopił błękitne oczy swoje w chmur nawały, a ona zdała s ę wejrzeniem i poczuciem iść za wszelką myślą towarzysza, gdy tymczasem miotły się fale ogromne na przechylany w otchłań pokład i nie było bynajmniej winą moją, że dostrzegłem obówie więcej niż lekkie na udatnych stopach nieznajomej, tak, iż myślą mą było zbliżyć się i ostrzedz tę osobą jak dalece naraża zdrowie swoje — — lecz, gdy na to wspo-

mniałem iż wykradziona jest, wstrzymałem się i zwierzyłem to zacnemu doktorowi, z którym na jednej z ław pustych usiedliśmy.

Ku czemu poważny mój przyjaciel rzecze do mnie: «Obraziłbyś młodego tej pięknej osoby towarzysza, ale i ja sam dopiero jutro uwagę tę zrobić im potrafię, gdyby mię w tym względzie zapytano; jakkolwiek znam młodzieńca, owszem, dlatego właśnie iż znam go, jestem ostrożny. Jest to albowiem czuły człowiek — czuły, mówię — to jest, obraźliwy — raz usłyszysz od niego łzą rzewną przesiąkłe słowo, drugi raz znowu jednę z tych sentencyi, która gdyby była wyrzezaną na mosiężnej gałce grubego jakiego kija, zaledwo że byłaby na miejscu swojem. Przy tem słodkie i tkliwe ma on chwile — sam powiada iż jest artystą — żony swojej pod rękę mu nie dawaj, bo się jej oświadczy z łzami w oczach — książki mu ani parasola nie pożyczaj, bo gotów je zatrzymać sobie na pamiątkę!

A gdy słów tych właśnie domówiał poważny mój przyjaciel, spostrzegliśmy że i oficer kawaleryi mojego będąc zdania zrzucił płaszcz swój szeroki, pod stopy go pięknej nieznajomej chcąc podesłać — lecz ośmiu majtków zadyszanych z wołaniami służbie okrętowej właściwemi, przewlekając tamtędy ogromną linę rozdzieliło nagle ową grupę i wepchnęło ją w otwór, którędy schody do salonów i do wewnętrznych kabin prowadziły.

Poważny mój przyjaciel i ja, wcisnęliśmy się w głąb siedzenia, aby przez to dać miejsce linie ciągniętej, a obok nas zajmował miejsce człowiek do pół oblicza szalem wielkim szkockim osłonięty, który zwykł był zacięcie milczeć albo się o rzecz najmniejszą oburkiwać i którego przeto, na okręcie zwano konspiratorem. — Był to wszakże spokojny obywatel, ale hipokondryk i boleściom romatyzmów podległy, a który — że wiedział — iż go za konspiratora uważano, nie tłomaczył się z zarzutu tego, aby przeto na siebie tem więcej podejrzeń nie sprowadzić. Korrespondent jednego z bardzo użytecznych dzienników Europejskich miał wyraźnie na oku postać ową w szal szkocki do pół oblicza osłoniętą, a majtkowie nieraz znakami massońskiemi milczącego obywatela pozdrawiali. — Ściśle rzecz określając, burza była zaledwo tyleż burzą, ile ów o zbrodnię stanu posądzany podróżnik był tem za co go brano. Są

albowiem zawichrzenia morskie, które zdawałoby się że ku temu tylko istnieją, aby świeżo zapoznanym z tego rodzaju podróżą gościom zadowolenie sprawić. Kapitan się nie ruszał z wielkiego salonu, gdzie grał w szachy z tłomaczem ambassadorów dzikiego książątka i żuł cicho Amerykański tytuń, żółty jak złoto.

Po przestanku niewielkim rozświeciło się powietrze i wielka jakoby błogość napełniła je wiosennem tchnieniem — a na ogromniej przestrzeni fal ruchomych i pianami białemi grzbiety swoje giętkie rysujących, położyła się ogromna tęcza, która dla niezmiernego wody obszaru nie dostawała prawie niebios, ale raczej podobną była do ukośnie wspartego gotyckiego okna, po za którego szybami trójbarwnemi widać było każdą z fal, i widać było wszystkie fale coraz drobniej łamane, aż do nieustannie ruchomych a ostatecznych kresów widnokręgu.

Że zaś na okręcie każdym są osoby, które dopiero zjawisko jakie rzadkie wywołuje z ich kabin — albo które i owszem wtedy jedynie na pokładzie pokazywać się lubią, kiedy domyślać się można że jest pusty: miałem przeto sposobność zauważyć iż płynęliśmy w towarzystwie katolickiego księdza missjonarza, tudzież kilku zakonnic, na dalekie świata krańce nieść mających służby swoje, miłość i pokorę. Ci jednak podróżnicy, ażeby suknią kapucyńską i szatami wyłącznych krojów, nie wzbudzać śmiechu, bardzo rzadko się na C y w i l i z a c j i pokładzie pokazywali.

Tęcza, nikła powoli, a okręt nasz wielkiemi swemy kołami na dwie strony odpychał góry ogromne tych fal czarnych, które nieraz od najwyższych okrętu żaglowego masztów wynioślejsze bywają i zwiastują pośredni, że nazwałbym o s i o w y, pas Oceanu. —

Emigrant niejaki — zacny człowiek — i podróżnik jeden uczony, który wyłącznie archeologią się zatrudniał, zbliżyli się do ławy którą z przyjacielem moim zajmowałem, ale ten, którego zwano k o n s p i r a t o r e m uprzedził ich giestem pogardliwym, okazując iż wystarczającego miejsca nie było.

Zdarzenie to, acz małe, byłoby mi wcale nieprzyjemne; gdyby nie poszło za niem pośpieszne przyjaciela mego ostrzeżenie, który wszystkich podróżnych znając, tak do mnie mówił:

Emigrant ten, bardzo szanownym jest człowiekiem i zaiste że o nim powiedziećby należało że konsekwentny jest. Cierpiał on długo w Europie i oto po za jej krańce teraz udaje się odpocząć — to zaś go przedewszystkiem zbliża z Archeologiem iż ów pierwszy będąc Rzymianinem, chce nieodzownie Rzymu na stolicę Włoch odrodzonych. Archeolog zaś dalej się posuwa, proponując aby koniecznie stolicą Polski przyszłej była Kruszwica, lub przynajmniej stojąca na Gople wierza-mysza. — Co zaś do Francyi, tę ma rządzić prokonsul Rzymski, w monumentalnem Nimes lub Arles obyczajem dawnym konsystujący.

«Jedna wszakże rzecz jest szczególniejsza» dodał następnie mój przyjaciel «to jest — że mąż oddany po szczególe samej tylko Archeologii, nigdy na mszę nie chodzi!» — Cóż więc rzekłem pojąć on może z umiejętności swojej? — A przyjaciel mój mi odpowiedział: — «Jest partykularnym akademii korrespondentem.» —

I chciał jeszcze dalej coś mówić mój przyjaciel, ale usłyszeliśmy iż Emigrant począł przypatrującemu się znikającej tęczy kapucynowi ciskać żarty, z udziału Świętego Ducha w kościoła sprawach, żarty gwałtem jako przedmiot naciągane; a rozmowa ta rosła bezprzykładnie i już mogła była w koło siebie wiele osób zgromadzić, gdyby nie pokazanie się nagłe Redaktora — jednego z bardzo użytecznych Europejskich czasopismów — którego to Emigrant skoro spostrzegł, uchylił się na bok magnetycznie, jako kiedy północnej jakiej armii sierżant robi miejsce samemu Generałowi. —

IV.

I płynęliśmy jeszcze dni trzy — i jeszcze pół dnia, co uczyniło razem sześć dni — a około południa dnia siódmego wyszedłem na pokład okrętowy czując uciśnienie smutku — smutku, którego treść i powód były mi zupełnie nieznajome. Są albowiem boleści wnętrzne i udręczenia ducha, które się bezpośrednio i doraźnie z pochodzenia swojego nie tłomaczą. Co większa, iż sama wrażeń ekonomia i następstw ich porządek nie są rzeczą dla śmiertelnika najjaśniejszą.

Jakoż, wielce chcąc płakać, ale nie mogąc i jednej łzy uronic aby spadła w Ocean, przysłuchiwałem się perjodycznemu chrząstowi budowy parostatku z niedbałością człowieka, któremu jest wszystko obojętne. Cywilizacja zaś szła jak nigdy, wielką dymu kolumnę na niebiosach i nikły ślad na falach Oceanu zostawując za sobą. — Ludzie dzicy z tłomaczem przechadzali się po pokładzie, ogłaskując rękoma poręcze i wręby okrętowe — a widziałem radość na ich obliczach że tak wszystko równo, pięknie i gładko.

Wszelako siedząc, nie powiem w zadumaniu, ale w czczości myślenia, rozświeciło mi się nagle zapełne pojęcie istoty smutku mego — rzecz, której się bynajmniej nie doszukiwałem sztuką badania. Tak dalece pewno jest, iż ażeby zapalić ogień urządza się zaprawdę długo wszelakie palne materjały i zanieca się iskrę; ale ażeby buchnął tenże ogień trzeba jeszcze dla tego wszystkiego chwili pewnej, która siebie nadto dodając, czyni iż nagle całość płonie. I nie inaczej rzecz się ma z myśleniem. —

I oto więc rzekłem sobie na raz: «Zaiste że przyczyną smutku mojego jest zupełna samotność — — Cóż albowiem wszystkość tych obywateli okrętu naszego pomoże mi, albo w czemże jesteśmy sobie współ-udzielni? — Nie wystarczyło-ż oto siedmiu dni, ażeby dojść do tego, iż otworzywszy usta, można wiedzieć naprzód wszelakie następtwa djalogu — wiedzieć: co człowiek czuły i co oburkliwy obywatel i co energiczny oficer i co archeolog, co emigrant i co Redaktor — jednego z bardzo użytecznych Europejskich czasopismów — odpowiedzą. — Myśl żywotna w ludzkości byłażby tak mechaniczną pracą i tak źródłowej żadnej wnętrzności swojej nie mającą? — Prawda jestże tylko ostatecznością wynikłą ze starcia się i wzajemnego odpychania jednostronnych humorów, rozmawiających z sobą obywateli? — Ale sama przez się, ażali powtarzam prawda nie jest niczem, tylko czczością myślenia — tylko jestże ona jakoby tem miejscem na coś przypadkowego i tą jakoby idealnie pojętą próżnią, o której się mawia w umiejętnościach, wiedząc wszelako iż próżni nigdzie nie ma. Jednem słowem — jestże więc prawda kłamstwem?

Albo — mamże raczej przypuścić jako obowiązujące osta-

tecznie pojęcie: iż prawda jest wynikiem tylko samej redakcyi myśli i zdań. I że ona przeto jest jako te na cyrkach płatnych Amazonki, które z pędzącego w około siodła i konia, podskakując, przebijają czołami w korony ubranymi wielki arkusz bibuły, ażeby po drugiej tegoż arkusza stronie na uciekającego upaść źrebca, przy oklasku i przy śmiechach rzeszy patrzącej? —

Zaiste że jedna jest rzecz łącząca doskonalej obywateli okrętu tego — rzecz, mówię jedna jest. —

A słowa te wyrzekłszy uderzyłem nogą w ruchomy pokład statku jakoby powiadając sobie samemu — oto jest ta rzec jedna i nic więcej. —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Szczególniejszej natury powiew i poświst zerwał płaski kapelusz jednemu z chłopców okrętowych, porzucając go precz, daleko na fale Oceanu — a na kapeluszu tym w około była wstęga czarna i był złocony na niej napis: Cywilizacja.

I.

Kilka osób poskoczyło wraz ku wrębowi okrętu, w stronę gdzie wiatr pomiótł kapeluszem, nie ażeby myślą ich było coś w tem pomódz, ale że to w naturze nagłych wydarzeń leży iż za sobą nerwy pociągają. — Szczególniejszy był to wiatru poświst, nie mający nic w sobie podobnego do otaczającego nas powietrza — zimny — nagły, ale nie dorywczy i przechodni — owszem, utwierdzający się co chwila, jakby całą atmosferę miał odmienić i odmienić miał siłę.

Ci co w morze patrzyli, kędy już na pianie fal dalekich dojrzeć nie można było kapelusza, spostrzegli nagle krągłą bryłę jakoby kryształ jaśniejącą, którą koła okrętu odepchnęły, aż usłyszany mógł być odepchnięcia owego cios i poszturg — Majtków dwóch, pobiegło na maszt główny — rozruch jakiś i poszept wywołał samego kapitana, który krokiem mierzonym przeszedłszy wschody stanął w odrzwiach do pół widny, zakryty wnętrzem schodów. Kapitan ręce miał w kieszenich, czapkę na tyle głowy zarzuconą ukosem i poobiednie piórko w zębach.

Ktoś z podróżnych usłyszał w kuchni okrętowej, że zbliżają się lody niespodzianie od północnego bieguna oderwane i płynące obszarem Oceanu—ale tenże sam w chwil niewiele głośno zaprzeczał jakoby coś podobnego miał usłyszeć! — Tymczasem wszelako do około już było zimno i grudniowo, a mało kto zostawał na pokładzie — i zmrok upadł wcześniejszy niż za dni przeszłych.

I stało się coś pomiędzy podróżnymi w salonach okrętu, ale wiedzieć nie można było o co idzie. — Ktoś powiedział że wiele dni podróży naszej straciliśmy — ktoś pomyślił że sam Kapitan pomylił się w rachunkach swoich.

Przy herbacie wieczornej usługa poczęła być mniej ściśle dopełnianą, a Kapitan bynajmniej się na dole okrętu nie pokazywał. Uważałem, że energiczny oficer kawaleryi wziął w protekcję swoją piękną osobę wykradzioną, a młodzieniec czuły zbierał klucze od podróżnych torb i tłomoków.

Zaś około północy, kiedy jeszcze nikt nie spał oprócz dzieci, a zakonnice podróżne w kabinach swoich kryjome modlitwy odmawiały, usłyszano wołania niezwyczajne na pokładzie, który był ciemnością bezksiężycowej nocy osłonięty, tak, że na mdłej niebios jasności, czarną ledwo plamą się wydawał, przechadzający tam i owdzie po strażniczej desce kapitan, który z niej już od wielu godzin nie zstępował. — I uważałem go, o ile dostredz można było, że był spokojny.

Ale wołania niezwyczajne i po całym rozlegające się okręcie, spowodowawszy za sobą kilkunastu ludzi służby żeglarskiej, pędem wielkim biegnących z zapalonymi w rękach kagańcami, uczyniły, że bynajmniej już wątpić nie można było o nadpływającym szlaku wielkim polarnych lodów, które każdy mógł widzieć — bryłami ich ciskały ogromne fale, co dawało nadzieję iż wielkim pędem statek mimo przemknie i szło jedynie o to, aby na widnokręgu krańcach dojrzeć; ażali gdzie mnogiemi, lodów pokładami zaostrzone powietrze na rozłomy te oddziaływając, w jednolite prawie całości ich nie jednoczy?! —

Poświsty wiatru jakby brzemiennego szronem, raz po raz przez wszelaki otwór budowy okrętowej przechodziły. — Cofnąłem się w jeden z korytarzy, lecz zbłądziłem w kuchni okolice. — Majtków kilku spostrzegłem pochylonych nad beczką wódki

którzy po za ramiona swoje pół-ostrożnem a pół-pogardliwem cisnęli ku mnie spojrzeniem. Zdawało mi się że Kapitan otarł się o ramię moje w korytarzu i zdawało mi się że ten, który mię właśnie ubiegł miał pistolety w rękach — usłyszałem dwa strzały i dwóch ludzi pijanych, odepchniętych od beczki konwulsją śmierci, zobaczyłem — poznałem Kapitana z dymiącemi w rękach pistoletami — dawał rozkazy reszcie żywych, którzy zdawali mi się trzeźwieć.

A cofając się od jęku konających w boczny statku korytarz usłyszałem śmiechy, przekleństwa i gadanie ochrypłem gardłem, niestateczne — i coś podobnego do naglonych pośpiechem modlitw — więcej przeklinaniu podobnych.

Zobaczyłem że emigrant wychylał butelki, a archeolog zbierał próżne i nadziewał je rękopismami swymi na niebezpieczną się chwilę przygotowując. W salonie Redaktor zapowiadał iż trzeba ażeby się wszyscy zgromadzili dla wystosowania komitetu, złożonego z mężów zaufania, któryby nadwerężonego strzegł porządku, ale koło lewe, właśnie wtedy o ogromną bryłę lodu uderzając, wyszczerbiło się z łoskotem strasznym i cały się okręt wstrząsł gwałtownie. Kapitan po raz pierwszy usta swoje otworzył dla zapowiedzenia publiczności: iż oczekuje świtu aby niebezpieczeństwa ważność mógł ocenić. I widziałem że z krzyżem w ręku wszedł kapucyn nogą bosą na okrętowy pokład, ale mu Kapitan kazał precz iść, ażeby się panik nie roznosił pomiędzy publicznością i majtkami — parę głosów powstało przeciw temu, owszem, żądając księdza. — I zawołał kapucyn: «Na morzach tych czasu onego, Krzysztof Kolumb w takimże jak ja dzisiaj, stroju — —» ale Kapitan ręką skinął i odsunięto mnicha, a Redaktor ozwał się do publiczności że stateczniej niźli kiedykolwiek władzę prawą szanować trzeba i mówił jeszcze coś więcej o przesądach ultramontańskich, czego wszakże zrozumieć nie można było bo był pijany.

Kapitan zaś przeszedłszy mimo mówcy, skinął ręką ażeby się dzieci i kobiety w okolicy głównego masztu trzymały — potem wytężonym okiem szukał długo pierwszych brzasku jasności — i chciał jeszcze raz wnijść na strażniczą deskę, ale w połowie schodów się zatrzymał i zawołał głosem wielkim ku

maszyniście na dół: «o g n i a!» — — A oto nagle cały okręt zdawał się porywać jako balon, który właśnie że uwiązania swe opuścił i wszystko co było na okręcie jakoby się zaniosło na pęd wielki, gdy wraz góry lodowe z dwóch stron statku na koła dwa się wtarły, aż odpryski wielkości przeraźliwej po nad głowami tłumu lecąc, uderzyły w komin okrętu z dziwnym łoskotem. — Chciałem gdzieś iść — gdzie? nie wiem. — Chciałem szukać kogoś — nie wiem kogo? — wydawało mi się że odebrałem w czoło uderzenie wielkim lodu odłamem, lecz rozeznać nie mogłem czy mi się w oczach zaświeciło, czyli zajaśniały blaski ranne? — Zgadywałem że uwięziony za dwa swoje koła parostatek, targał się tam i owdzie na podobieństwo uwikłanego w pęta słonia, a cokolwiek poruszyć się chcąc naprzód, lubo gdzie?! nie wiem: uczułem się nagle porwanym jak ciężar martwy — i uczułem się zatoczonym po pokładzie i rzuczonym głową na przedmiot miękki, który dawał mi się poznać że był ramieniem. —

VI.

A kiedy już nie wiem kóre od onej pamiętnej nocy słońce weszło?! rozpoznawać zacząłem iż oparty jestem o ramię s i o s t r y s z a r e j, jakoby podobnej do jednej z owych, które na rozbijającym się, statku byłem widział. Ale umysł mój był osłabły i zdawało się że niewiele już prawa do rzeczywistości posiadającym będąc duchem, począłem spojrzenia moje ograniczać na widnokręgu nie zbyt od dłoni mojej szerszym. — Więc patrzyłem na fałdy grube szaty wełnianej, którą zakonnica była osłonięta i podniosłem palec, ażeby z sukni jej odtrącić plamę zastygłego wosku, którą okapana będąc, wydawało się, jakby jej różaniec bursztynowy po fałdach spływał. —

Ale ona rzekła mi głosem dziwnym, bo podobnym do wszystkich głosów, wszystkich przyjaciół moich: «W o s k t e n z o s t a w, a l b o w i e m j e s t z g r o m n i c y, k t ó r ą n a p o g r z e b i e t w o i m t r z y m a ł a m w r ę k u.»

POLKA.

«Sunt verba et voces.»

I.

Dla harfiarzy dwóch wieniec jedyny,
Jedyny był laur dla dwóch śpiewaków.
Lud się z całej zgromadził krainy
Polot pieśni sądzić, jak dwóch ptaków.
Starcy, męże i hoże dziewczyny
I książęta, w cieniach swych szyszaków,
Ucichnęli — a była treść wierszy:
Piękność polki. — Tak śpiewak wszczął pierwszy:

II.

PIERWSZY HARFIARZ.

«Nie! Ty się próżno wysilasz przyrodo
Na tworów wdzięki, na wdzięków koronę;
Fiołki, wzrosłszy nad błękitną wodą,
Przy jej źrenicach bledną zamyślone. —

Gwiazdy, jasnością zrównałyby może
Lecz, niższe barwą i łzom niedostępne;
Bławatki z wstydem ukryły się w zboże,
Nieznane woląc być, niźli występne!

Maliny z mlekiem tej nie dają krasy,
Którą dziewicze jej lica się zdobią;
Nad księżycowy blask łona atłasy,
A sploty same wdzięcznemi się robią.

Pereł sznur, w czystej oprawie z korali
Do jej się równać ust gdyby poważył,
Zgasłyby perły, jak mętność opali,
A koral pierwej tchnieniem by się sparzył!

Całego nawet pełnią arcydzieła —
Wszech-wdzięków nawet harmonią i zgodą
Próżnobyś jej się wyrównać podjęła,
Ty! najpiękniejsza, lecz po niej — przyrodo! —

III.

Tu — zakończył on, alić wzruszenie
Rękę mając jako oklask długą,
Podało mu nią laur, za natchnienie:
Gdy drugi wszedł śpiewak stroną drugą,
Harfę wlekąc swą — czy zniechęcenie,
Czy może był dnia onego chory? —
Ucichnęli — i tak zaczął wtóry:

VI.

HARFIARZ DRUGI.

Gdzie wnijdzie, i gdzie postawi stopę swoją
Nie oglądają się ludzie zadziwieni
Lecz jak stali pierw, stoją. —

Potem, niby ocknieni,
Czują więcej światłości w około siebie
I rozpowija się im powoli w oczach,
Jako jutrznia na niebie,
Odbłysk na jej warkoczach.

Ale włos, jakiej ma barwy? zapomniałem
Ale oko? — nie wiem do prawdy czy modre:
Jeźli to gdzie pisałem,
To odszukam i podrę! —

Wiem, że od wierzchu jej ramion do sandału
Każda fałda, głównemu służy skinieniu,
Jak zdrowie służy ciału,
Co wypoczywa w cieniu. —

Ale ile jest białą? — jej płeć — ani wiem —
Nawet koral ust, nie pomnę jak namiętny!
Śmiech, nim żywy słowa tchem,
Pythagorejsko-smętny. —

Męczennicy nieco w jej skroń nakłonieniu;
Ale w szerokości czoła coś Platona.
Wzrok dziecka w osłupieniu
Z iskrą Pigmaliona!

Coś matrony, coś wodza w piersi potędze,
Jak ta Marja, co za wielkich dni Mojżesza,
Podobna psalmów księdze,
Szła przodem — za nią rzesza. —

Podobna Viktoryi bosej z laurem w dłoni,
Co wskroś obłoków bystro bywa lecąca;
Jak heroicznych koni
Rżenie, do blasku słońca!

Lecz skoro potocznego znów życia tknie się,
Podobna do ucichłej palmy na stepie,
Nieumyślny cień niesie
I nie powiada: «krzepię —»

Ale jakie ma zębów perły? — nie pomnę,
Ani ile jest w rumieńcach jej korali?
— Słowa są wiarołomne —
Skończyłem! — nie wiem dalej — —

V.

I tu przemilkł — bowiem śpiewak owy,
Któremu jedyny wieniec dano,
Uniesiony po nad tłumu głowy,
Gdzie swym laurem skinął, wraz klaskano:
Starcy, dziewki, i hufiec bojowy
I młodzieńcy z tuniką rozwianą,
Jako wielkie morze, w słońca blasku,
Szli — — —
Aż przeszli w historyi-oklasku.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.